

# A. E. VAN VOGT



## SKLEPY Z BRONIA NA ISHER

(The Weapon Shops of Isher)



A. E. VAN

**VOGT**

**SKLEPY Z BRONIĄ**

# NA ISHER

(The Weapon Shops of Isher)

# Prolog I

# Czy magik

## zahipnotyzował tłum?

Jedenastego czerwca 1951 roku. Policja i prasa przypuszczają, że już wkrótce mistrz magii odwiedzi Middle City, gdzie spotka się z serdecznym przyjęciem, jeśli raczy wyjaśnić, w jaki sposób sprawił, że setki ludzi uwierzyły w to, iż widzą dziwny budynek, najwyraźniej przypominający sklep z bronią.

Wydawało się, że budynek pojawił się w miejscu, które i przedtem, i teraz zajmują jadłodajnia Cioteczki Sally i zakład krawiecki Pettersona. Pracownicy przebywający w tym czasie w środku nie zauważyli niczego niezwykłego.

Wielki, jaskrawy znak na froncie sklepu z bronią, tak cudownie wyczarowanego z nicości, skutecznie przyciągał wzrok. Znak stanowił pierwszy dowód, iż cała scena to mistrzowska iluzja. Patrząc z różnych stron, zawsze widać było słowa układające się w slogan:

DOBRA BRONÍ

PRAWO DO KUPOWANIA BRONI

PRAWEM DO WOLNOŚCI

Okienna wystawa ukazywała asortyment raczej osobiwie ukształtowanych karabinów, strzelb oraz broni krótkiej. Świecąca reklama w oknie wieściła:

NAJLEPSZA BRONÍ ENERGETYCZNA

W ZNANYM WSZECHŚWIECIE

Inspektor Clayton z wydziału śledczego spróbował wejść do sklepu, lecz drzwi wydawały się zamknięte. Kilka chwil później C.J. (Chris) McAllister, reporter „Gazette-Bulletin” bez trudu otworzył je i wszedł do środka.

Inspektor Clayton podążył za nim, lecz ponownie napotkał barierę nie do

przebycia. Według relacji świadków McAllister przeszedł na zaplecze.

Natychmiast po jego wyjściu na zewnątrz osobliwy budynek zniknął tak nagle, jak się pojawił.

Policja jest zdumiona, w jaki sposób mistrz magii stworzył tak sugestywną i trwającą dłuższy czas iluzję przed tak dużym tłumem, lecz jest gotowa bez zastrzeżeń zarekomendować jego przedstawienie.

(Nota autorska: Powyższa relacja nie wspomina, że służby śledcze, niezadowolone z przebiegu wypadków, próbowały skontaktować się z McAllisterem w celu przesłuchania go, lecz reporter okazał się nieuchwytny. Wiele tygodni poszukiwań nie przyniosło żadnych rezultatów.

Co stało się z McAllisterem, gdy stwierdził, że drzwi do sklepu z bronią nie są zamknięte?)

Drzwi sklepu z bronią miały osobliwą cechę. Kiedy McAllister lekko ich dotknął, odskoczyły, jakby ważyły tyle co powietrze. Odniósł wrażenie, że klamka sama wsunęła mu się do dłoni.

Znieruchomiał zaskoczony. Pomyślał o Claytonie, który minutę wcześniej napotkał opór zamkniętych drzwi. Myśl była jak sygnał. Za plecami zagrzemiał głos inspektora:

- Ej, McAllister, teraz moja kolej.

Wewnątrz sklepu panowały nieprzeniknione ciemności, a w niewytłumaczony sposób oczy nie mogły przyzwyczać się do intensywnego mroku. Reporterski instynkt nakazał McAllisterowi iść ku najgłębszej czerni, która wypełniała prostokąt kolejnych drzwi. Kątem oka spostrzegł rękę inspektora Clayтона sięgającą do klamki, którą on sam puścił przed paroma

sekundami. Nagle zdał sobie sprawę, że żaden reporter nie wszedłby do tego budynku, gdyby inspektor mógłby temu zapobiec. Stał z odwróconą głową, wpatrując się bardziej w policjanta niż w otaczające go ciemności. Gdy postąpił krok do przodu, stało się coś dziwnego. Inspektor nie zdołał dotknąć klamki, która jakby wiedzona energią, wykręciła się osobliwie, lecz pozostała na miejscu jak dziwny zamazany kształt. Drzwi ruchem tak szybkim, że aż niedostrzegalnym, dotknęły pięty McAllistera. W chwilę potem, zanim jeszcze zdążył zareagować, czy nawet pomyśleć co się stało, siła rozpędu popchnęła go do wewnątrz. Gdy wtargnął w ciemność, dało o sobie znać nieprzyjemne napięcie nerwów. Drzwi za plecami zamknęły się szczelnie. Przed sobą ujrzał jasno oświetlony sklep; z tyłu pozostały niewiarygodne rzeczy!

McAllister czuł pustkę w głowie. Stał sztywno, niejasno zdając sobie sprawę z wystroju wnętrza sklepu. Całą uwagę skupił na tym, co znajdowało się poza przezroczystymi drzwiami, przez które właśnie wszedł.

Po ciemności nie pozostało ani śladu. Po inspektorze Claytonie również.

Zniknął pomrukujący tłum gapiów i szereg obskurnych sklepów po przeciwnej stronie ulicy. To nawet nie była ta sama ulica. W tym miejscu nie było żadnej ulicy. Zamiast tego pojawił się spokojny park, a za nim, połyskując w promieniach południowego słońca, wyłaniało się olbrzymie miasto.

- Życzy pan sobie pistolet? - Melodyjny kobiecy głos rozwił ciszę za jego plecami.

McAllister odwrócił się. Ruch był automatyczną reakcją na dźwięk. Widok miasta zniknął natychmiast, utwierdzając go w przekonaniu, że całe zdarzenie jest tylko snem. Skupił wzrok na młodej kobiecie, która wyszła z zaplecza.



Przez chwilę nie potrafił zebrać myśli. Wiedział, że powinien coś powiedzieć, lecz nie zdołał. Szczupła, zgrabna dziewczyna uśmiechała się miło. Brązowe oczy harmonizowały z pofalowanymi włosami tego samego koloru. Prosta sukienka i sandały wydawały się tak naturalne na pierwszy rzut oka, że nie poświęcił im wiele uwagi. W końcu zdołał wykrztusić:

- Wciąż nie mogę zrozumieć, dlaczego temu policjantowi nie udało się wejść do środka. I gdzie on się podział?

Ku jego zdziwieniu, uśmiechnięta twarz dziewczyny nabrała lekko skruszonego wyrazu.

- Zdajemy sobie sprawę, że innym ludziom nasza starożytna wojna wydaje się głupia i bezsensowna. - W głosie zabrzmiały stanowcze tony. - Wiemy, jak silna jest propaganda rzekomej głupoty naszego stanowiska. Tymczasem nigdy nie pozwalamy jej ludziom tutaj wchodzić. A nasze zasady traktujemy niezwykle poważnie.

Przerwała, jakby spodziewała się zrozumienia po swoim słuchaczu, ale powoli pojawiające się w jej spojrzeniu zaintrygowanie uświadomiło McAllisterowi, że na jego twarzy maluje się taka sama pustka, jaką czuł w głowie. Jej ludzie! Dziewczyna wypowiedziała te słowa tak, jakby dotyczyły jakiejś osobistości i były bezpośrednią reakcją na jego pytanie o policjanta. A to oznaczało, że jej ludzie, kimkolwiek jest ona, to policjanci i nie wolno im wchodzić do tego sklepu. Tak więc wrogo usposobione drzwi zagradzały im drogę do wnętrza. Pustka w umyśle McAllistera dorównywała pustce powodującej ucisk w żołądku i poczucie nieprzeniknionej głębi oraz pierwsze oszałamiające przeświadczenie, że nic nie jest tak, jak być powinno. Usłyszał

ostrzy głos dziewczyny:

- Widzę, że nie ma pan pojęcia, iż przez całe generacje okresu

niszczyielskich energii, gildie sprzedawców broni egzystowały jako jedyna

ochrona zwykłych ludzi przeciwko niewoli? Prawo do nabywania a broni...

Przerwała obserwując go spod przymrużonych powiek.

- Po namyśle dochodzę do wniosku, że jest w panu coś szczególnego.

Pański osobliwy ubiór. Nie pochodzi pan z północnych równin, prawda?

W milczeniu pokręcił głową, coraz bardziej strapiiony swoimi reakcjami.

Nie potrafił jednak temu zaradzić. Napięcie narastało z chwili na chwilę, stając

się niemożliwe do zniesienia, jakby życiowa sprężyna została rozciągnięta do

punktu krytycznego.

Młoda kobieta kontynuowała, tym razem nieco szybciej:

- A po głębszym zastanowieniu dziwi mnie jeszcze bardziej, że policjant,

który próbował otworzyć drzwi, nie uruchomił alarmu.

Poruszyła ręką. Światło odbiło się od metalu jasnego jak stal skąpana w

oślepiającym blasku słońca. Gdy dziewczyna odezwała po raz kolejny, w głosie

nie było słyhać nawet cienia skruchy.

- Proszę pozostać na miejscu, dopóki nie wezwę mego ojca. W naszym

fachu, z uwagi na odpowiedzialność, jaką ponosimy, nigdy nie ryzykujemy. Coś

tu jest nie tak.

Osobliwe, że w tym właśnie momencie umysł McAllistera zaczął

funkcjonować normalnie. Myśl nadeszła równolegle z jej myślami. Jakim

cudem ten sklep znalazł się na ulicy w 1951 roku? Jak znalazłem się w tym

fantastycznym świecie? Coś rzeczywiście jest nie tak.

Jego uwagę przyciągnął pistolet. Był to cienki przedmiot w kształcie rewolweru, lecz z trzema sześcianami sterczącymi w półkolu na szczycie bulwiastej komory. McAllister poczuł zimny dreszcz, jako że ten niewielki instrument błyszczący w brązowych palcach dziewczyny był równie realny jak ona sama.

- Wielkie nieba - wyszeptał. - Cóż to za diabelska broń? Proszę opuścić ten przedmiot i spróbujemy wszystko wyjaśnić.

Wydawało się, że kobieta nie słucha. Spostrzegł, iż błądzi wzrokiem gdzieś na lewo od niego. Podążył za jej spojrzeniem wystarczająco szybko, by zauważyć siedem miniaturowych, białych światełek. Dziwnych światełek! Zafascynowała go gra świateł przeskakujących od jednej maleńkiej kulki do drugiej, nieustanny ruch, nieskończenie wiele powiększeń i zmniejszeń, niewiarygodnie ulotny efekt natychmiastowej reakcji na jakiś superczuły barometr. Światła znieruchomiały nagle. Reporter przeniósł wzrok na dziewczynę. Ku jego zdumieniu odłożyła pistolet. Chyba zrozumiała wyraz jego twarzy.

- W porządku - przemówiła chłodno. - Automaty pana kontrolują. Jeśli mylimy się co do pana, proszę przyjąć nasze przeprosimy. Tymczasem z przyjemnością zademonstruję pistolet, jeżeli jest pan wciąż zainteresowany jego nabyciem.

A więc jestem kontrolowany przez automaty, pomyślał McAllister.

Świadomość tego nie przyniosła mu jednak ulgi. Te automaty, czymkolwiek są, z pewnością nie stoją po jego stronie. To, że kobieta, mimo swych podejrzeń odłożyła broń, świadczyło o skuteczności alarmów. Oczywiście musiał

wydostać się z tego miejsca. Tymczasem dziewczyna najwyraźniej

przypuszczała, że mężczyzna, który wszedł do sklepu, chce kupić pistolet. Nagle zdał sobie sprawę, że ze wszystkich rzeczy, które przychodziły mu do głowy, najbardziej pragnął obejrzeć jeden z tych dziwnych pistoletów. W ich kształtach kryły się nieprawdopodobne implikacje. Odezwał się głośno:

- Tak, jak najbardziej. Proszę mi go pokazać. Nie wątpię, że pani ojciec jest gdzieś na zapleczu i bacznie mnie obserwuje.

Kobieta nie wykonała najmniejszego ruchu, żeby pokazać broń. Zamiast tego wpatrywała się w niego z zakłopotaniem.

- Może pan nie zdaje sobie sprawy - odezwała się wreszcie, powoli cedząc słowa - że już wyrócił do góry nogami całą naszą firmę. Światła automatów powinny włączyć się chwilę po naciśnięciu przycisków przez ojca, co zrobił, kiedy go wezwałam. Nie włączyły się! To nienaturalne, a jednak... -

Zmarszczyła bardziej brwi. - Skoro jest pan jednym z nich, jakim cudem sforsował pan te drzwi? Czy to możliwe, że jej naukowcy odkryli ludzi nie wywierających wpływu na czułe energie, a pan jest tylko jednym z wielu przysłanych w ramach eksperymentu, który ma udowodnić, że wejście można sforsować? Ale to przecież nielogiczne. Gdyby nawet łudzili się nadzieją na sukces, nie odrzuciliby przecież wszechpotężnego zaskoczenia. W takim przypadku oznaczałoby to, że jest pan forpocztą ataku na większą skalę.

Swoistym klinem. Ona jest bezwzględna i genialna. Pragnie całkowitej władzy nad głupcami takimi jak pan, którym nie starcza rozsądku, by nie czcić jej i splendoru cesarskiego dworu.

Przerwała ze słabym uśmiechem przylepionym do twarzy.

- No i znowu wygłaszam polityczną przemowę. Ale sam pan widzi, że istnieje co najmniej kilka powodów, dla których powinniśmy zachować ostrożność w stosunku do pana.

W rogu pomieszczenia stało krzesło. McAllister ruszył w tamtą stronę.

Jego umysł znacznie się uspokoił.

- Poczekaj - zaczął - nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz. Nie wiem nawet, w jaki sposób znalazłem się w tym sklepie. Zgadzam się z tobą, że cała sprawa wymaga wyjaśnienia, ale w inny sposób, niż ty to robisz.

Głos uwiązał mu w krtani. Właśnie siadał na krzesło, gdy znieruchomiał w połowie drogi. Wyprostował się powoli, jak bardzo stary człowiek. Jego wzrok spoczął na małym znaku jaśniejącym ponad szklaną gablotą wypełnioną różnymi rodzajami broni. Po chwili odezwał się chrapliwym głosem:

- Czy to kalendarz?

Zaintrygowana podążyła za spojrzeniem mężczyzny.

- Tak. Jest trzeci czerwca. Czy coś nie tak?

- Chodzi mi o te cyfry powyżej. Chodzi mi... jaki to rok?

Dziewczyna sprawiała wrażenie zdziwionej. Zaczęła coś mówić, lecz po chwili przestała i odwróciła się ponownie, by odpowiedzieć:

Niech pan tak nie patrzy. Wszystko w porządku. Mamy rok cztery tysiące siedemset osiemdziesiąty czwarty Cesarzkiego Domu Isher. Wszystko się zgadza.

McAllister bardzo ostrożnie usiadł na krześle. Myślał o tym, jak powinien się czuć? Nawet zaskoczenie nie przyszło mu z pomocą. Wypadki zaczęły układać się w pewien wypaczony wzór. Front tego dziwnego budynku nałożony na dwa sklepy z 1951 roku, sposób działania drzwi i wielki zewnętrzny znak - dziwne połączenie wolności z prawem do kupowania broni. Wystawa broni w oknie. Najlepsza energetyczna broń w znanym wszechświecie...

Uświadomił sobie, że dziewczyna rozmawiała przed chwilą z wysokim, siwowłosym mężczyzną stojącym w wejściu, z którego wyłoniła się wcześniej. W rozmowie wyczuwało się napięcie. Słowa wypowiedane niskimi głosami tworzyły w uszach McAllistera zamazany pogłos, dziwny i niepokojący. Nie potrafił zrozumieć sensu poszczególnych wyrazów, dopóki dziewczyna nie odwróciła się mówiąc:

- Jak się pan nazywa? Reporter przedstawił się.

Po krótkim wahaniu odparła:

- Panie McAllister, mój ojciec pragnie wiedzieć, z którego jest pan roku.

Siwowłosy mężczyzna wyszedł naprzeciw.

- Obawiam się - zaczął poważnie - że nie ma czasu na wyjaśnienia. Stało się coś, czego my, sprzedawcy broni obawialiśmy się od pokoleń: ponownego nadejścia kogoś, kto pragnie nieograniczonej władzy i, aby ją zdobyć, musi najpierw zniszczyć nas. Pańska obecność jest manifestacją nowej potężnej energii, jaką ona skierowała przeciwko nam. Tak nowej, że nawet nie wiedzieliśmy o jej istnieniu. Ale nie mamy czasu do stracenia. Wyciągnij wszystkie informacje, Lystra, i przestrzeż go przed bezpośrednim

niebezpieczeństwem. - Wysoki mężczyzna odwrócił się i drzwi zamknęły się za nim bezgłośnie.

- Co miał na myśli mówiąc bezpośrednio niebezpieczeństwo? - McAllister uniósł brwi.

Kiedy dziewczyna spojrzała na niego, dostrzegł niepokój w brązowych oczach.

- Ciężko to wyjaśnić - zaczęła niepewnym głosem. - Po pierwsze, proszę podejść do okna, a postaram się wszystko wytłumaczyć. Przypuszczam, że na razie ma pan mętlik w głowie.

Wziął głęboki oddech.

- Nareszcie do czegoś doszliśmy.

Podenerwowanie ulotniło się bez śladu. Siwowłosa mężczyzna zdawał się wszystko rozumieć, a to oznaczało, że McAllister nie powinien mieć trudności z powrotem do domu. A jeśli chodzi o niebezpieczeństwo, w jakim znaleźli się sprzedawcy broni... to było ich zmartwienie. Postąpił krok w stronę dziewczyny. Ku jego zdumieniu skuliła się lekko, jakby stanowił zagrożenie. Gdy wpatrywał się w nią pustym wzrokiem, roześmiała się sztucznie i powiedziała:

- Proszę nie myśleć, że jestem głupia; bez urazy, ale przez wzgląd na własne bezpieczeństwo proszę nie dotykać nikogo, z kim będzie pan miał kontakt.

McAllister poczuł chłód na karku, a kiedy dostrzegł przerażenie na twarzy dziewczyny, zalała go fala zniecierpliwienia.

- Posłuchaj - odezwał się zduszonym głosem - chciałbym, żeby wszystko stało się jasne. Możemy bezpiecznie tu sobie rozmawiać pod warunkiem, że cię

nie dotknę, albo nie podejść zbyt blisko. Zgadza się?

Odpowiedziała skinieniem głowy.

- W rzeczywistości podłoga, ściany i najmniejszy kawałek mebla w sklepie wykonane są z nie przewodzącego materiału.

McAllister miał wrażenie, że balansuje na cienkiej linie rozciągniętej nad otchłanią bez dna.

- Zaczniemy od początku - odezwał się po dłuższej przerwie. - Skąd ty i twój ojciec wiedzieliście, że nie jestem... - przerwał szukając w myślach najlepszego określenia - ... z tego czasu?

- Ojciec prześwietlił pana - odpowiedziała szczerze. - Prześwietlił zawartość pańskich kieszeni. W ten sposób pierwszy odkrył, w czym rzecz.

Widzi pan, te czułe energie stają się same nośnikami energii, którą jest pan naładowany. To właśnie było nie w porządku. Dlatego automaty nie skupiły się na panu i...

- Energia? Naładowany? - przerwał jej krzywiąc twarz. Dziewczyna nie odrywała od niego wzroku.

- Nie rozumie pan? - wysapała. - Przebył pan siedem tysięcy lat w czasie. A ze wszystkich energii we wszechświecie czas jest największą, najpotężniejszą. Jest pan naładowany trylionami cząstek czasoenergii. Gdyby wyszedł pan z tego sklepu, to wysadziłby pan w powietrze stolicę imperium i okolice w promieniu osiemdziesięciu kilometrów.

- Najprawdopodobniej - zakończyła niepewnie, a głos jej zawisł w powietrzu - zniszczyłby pan Ziemię!



Wcześniej nie zauważył lustra. To śmieszne, bo było bardzo duże, prawie dwuipółmetrowe, zawieszona na ścianie przed nim, w miejscu, gdzie minutę wcześniej (mógłby przysiąc) lśnił solidny metal.

- Proszę spojrzeć na siebie. - Dziewczyna mówiła relaksującym tonem. -

Nie ma nic tak uspokajającego jak własny wizerunek. W rzeczywistości pańskie ciało bardzo dobrze znosi psychiczny szok.

McAllister wpatrywał się w swoje odbicie. Szczupła twarz, jaką widział przed sobą, była blada, lecz zachowało spokój ciała, w przeciwieństwie do zawirowań w jego umyśle. Nagle zdał sobie sprawę z obecności dziewczyny.

Przyciskała palcem jeden z przełączników na ścianie. Poczł się dużo lepiej.

- Dziękuję - powiedział cicho. - Właśnie tego potrzebowałem.

Uśmiechnęła się zachęcająco. Dopiero teraz zdziwiła go jej osobowość. Z jednej strony nieporadne wyjaśnienia sprzed kilku minut, z drugiej posunięcie z lustrem wykazujące znajomość ludzkiej psychiki.

- Teraz - odezwał się - oczywiście z twojego punktu widzenia, problem polega na tym, by odpowiednio podejść tę kobietę z Isher i zabrać mnie z powrotem do mojego czasu, zanim wysadzę Ziemię w powietrze w roku... Jaki to mamy rok?

- Ojciec mówi, że można pana odesłać z powrotem, ale jeśli chodzi o resztę, proszę spojrzeć!

Nie zdążył nacieszyć się możliwością powrotu do swojego czasu.

Dziewczyna nacisnęła przycisk, zwierciadło zmieniło się w metalową ścianę.

Usłyszał kliknięcie kolejnego przycisku. Ściana zniknęła. Przed nim rozciągał

się park podobny do tego, który widział już przez drzwi frontowe. Były tam drzewa, kwiaty i zielona, zielona trawa połyskująca w promieniach słońca.

Olbrzymi budynek, masywny i ciemny, wbijając się w niebo, dominował nad horyzontem. Znajdował się jakieś pięćset metrów stąd i, co niewiarygodne, był przynajmniej tak wysoki i długi. Ani w pobliżu budynku, ani w parku McAllister nie dostrzegł żywych istot. Pomimo to wszędzie widniały dowody ludzkiej działalności. Nie widział też żadnego ruchu, nawet drzewa stały nieporuszone w bezwietrznym, słonecznym dniu.

- Proszę patrzeć! - powtórzyła łagodnie.

Tym razem nie było kliknięcia. Dziewczyna nastawiła jeden z guzików i obraz zamazał się nieco. I nie było istotne to, że zmalała intensywność słonecznego światła. Nie chodziło nawet o to, że w miejscu, gdzie przed chwilą nie było nic, zmaterializowało się szkło. Pojawiła się tam nieruchawa niewidoczna substancja oddzielająca McAllistera od parku. Park jednak nie był już opustoszały.

Roiło się tam od ludzi i maszyn. Wpatrywał się w zdumieniu, a potem, w miarę jak iluzja bladła i coraz bardziej rozumiał zagrożenie, jego odczucia przerodziły się w przerażenie.

- Niesamowite - wymamrotał w końcu - ci ludzie to żołnierze, a maszyny to...

- Broń energetyczna! - odpowiedziała. - Zawsze mieli problem z przetransportowaniem tej broni w okolice naszych sklepów. Oczywiście, aby nas zniszczyć. Nie chodzi o to, że te działa nie posiadają wystarczającej siły rażenia. Nawet z naszych karabinów można zabijać z odległości wielu

kilometrów. Ale jesteśmy tak dobrze chronieni, że aby nas zniszczyć, muszą użyć największego działa i to z niewielkiej odległości. Do tej pory nie udało im się tego dokonać, ponieważ jesteśmy właścicielami otaczającego nas parku, a system alarmowy działał bez zarzutu. Nowa energia, jakiej używają teraz, jest nie do wykrycia przez nasze systemy ochronne, a co gorsza spełnia też rolę idealnej tarczy. Oczywiście niewidzialność jest znana od dawna, lecz gdyby pan się nie pojawił, zostalibyśmy zniszczeni nie widząc nawet, co się stało.

- Ale - krzyknął ostro McAllister - co zamierzasz zrobić? Oni tam ciągle są...

Brązowe oczy zapłonęły silnym żółtym blaskiem.

- Mój ojciec ostrzegł Radę. Jej członkowie odkryli, iż niewidzialni ludzie ustawiają równie niewidzialną broń dokoła sklepów. Rada ma się wkrótce zebrać, aby przedyskutować plan obrony.

McAllister obserwował w milczeniu żołnierzy, najprawdopodobniej łączących niewidzialne kable biegnące od olbrzymiego budynku w tle. Kable o grubości trzydziestu centymetrów wiele mówiły o mocy przeciwstawionej temu niepozornemu sklepowi z bronią. Nie trzeba było żadnych wyjaśnień.

Rzeczywistość na zewnątrz przyćmiła wszelkie sądy. Spośród tutaj obecnych był najmniej użyteczny, a jego opinia najmniej istotna. Nie zdawał sobie z sprawy, że głośno myśli, dopóki nie doleciał go przyjazny głos ojca dziewczyny.

- Jest pan w błędzie, panie McAllister. To właśnie pan jest najbardziej użyteczny. Dzięki panu odkryliśmy, że Isher właśnie nas atakuje. Co więcej, nasi wrogowie nie wiedzą o pańskim istnieniu, i dlatego jeszcze nie spostrzegli pełnego efektu działania nowej, osłaniającej energii, jakiej używają. Pan zatem

stanowi nieznany czynnik, a my musimy niezwłocznie to wykorzystać.

Wykorzystać pana.

Siwowłosa mężczyzna wyglądał teraz starzej. Kiedy odwrócił się do córki, jego pociągłą twarz pokrywała sieć zmarszczek, a głos był ostry i suchy.

- Lystra, numer siedem!

Gdy palce dziewczyny dotknęły siódmego przycisku w rzędzie, starszy mężczyzna wyjaśnił pośpiesznie:

- Najwyższa Rada gildii właśnie zebrała się na sesję wyjątkową. Musimy wybrać najbardziej skuteczną metodę rozwiązania problemu i omówić szczegóły. Prowadzi się już regionalne rozmowy, ale jak dotąd przedstawiono tylko jeden dobry pomysł i... Witam panów!

Patrzył ponad ramieniem McAllistera, który odwrócił się raptownie.

Mężczyźni wychodzili z masywnej ściany, jakby przekraczali próg stojących otworem drzwi. Jeden dwóch, trzech, trzydziestu. Ludzie o posępnych twarzach, wszyscy, z wyjątkiem jednego, który zerknąwszy na McAllistera, chciał go minąć, jednak zatrzymał się z lekkim uśmiechem.

- Nie patrz tak tępo. Jak inaczej, według ciebie, udałooby nam się przetrwać tak długo, gdybyśmy nie potrafili teleportować przedmiotów. A tak w ogóle, nazywam się Cadron... Peter Cadron!

McAllister skinął niedbale głową. Nawet fantastyczne automaty - końcowe produkty epoki maszyn - przestały robić na nim wrażenie; nauka i wynalazki były tak zaawansowane, że ludzie nie musieli wykonywać zbyt wielu czynności.

Prawie wszystko robiły za nich maszyny. Mężczyzna o twarzy buldoga zwrócił się do niego:

- Zgromadziliśmy się tutaj, ponieważ to oczywiste, że źródłem nowej energii jest ten budynek za sklepem...

Wskazał na ścianę, która przedtem była lustrem, a teraz oknem, z widokiem na monstrualną konstrukcję. Po chwili ciągnął dalej:

- Wiemy, odkąd ukończono budynek jakieś pięć lat temu, że jest to maszyna mocy wycelowanej w nas. Teraz wyemanowała z niej nowa energia, aby otoczyć świat. Energia wielkich możliwości, tak potężna, że przełamała napięcia czasu. Na szczęście tylko w pobliżu tego jednego sklepu.

Najwidoczniej słabnie wraz ze wzrostem odległości.

- Poczekaj, Dresley - przerwał mu mały, szczupły człowieczek. - Po co ten przydługi wstęp. Sprawdzaliście różne plany przedstawiane przez grupy regionalne. Czy nie ma w nich niczego konkretnego?

Dresley zawahał się. Ku zaskoczeniu McAllistera zatrzymał na nim powątpiewające spojrzenie; mięśnie twarzy pracowały przez chwilę, po czym stężały.

- Istotnie, jest pewna metoda, lecz wiąże się ze zmuszeniem naszego przyjaciela z przeszłości do podjęcia ogromnego ryzyka.

Wszyscy wiecie, o czym mówię. Dzięki temu zyskamy niezbędny czas.

- Co do chole... - McAllister znieruchomiał z grymasem zdumienia na twarzy, gdy spojrzenia zgromadzonych dokoła ludzi spoczęły na nim.

Zdziwił się, że znowu potrzebuje lustra, by odzyskać dobre samopoczucie. Przeskakiwał wzrokiem po twarzach mężczyzn. Handlarze bronią tworzyli osobliwy widok w sposobie, w jaki siedzieli, stali czy pochylali się nad szklanymi gablotami. Wydawało mu się, że jest ich mniej niż poprzednio. Jeden, dwa... dwadzieścia osiem razem z dziewczyną. Mógłby przysiąc, że były trzydzieści dwie osoby. Przeniósł spojrzenie akurat w porę, by zobaczyć zamykające się drzwi na zaplecze. Zniknęło za nimi czterech mężczyzn. McAllister potrząsnął głową, zaintrygowany i utkwiał zdumiony wzrok w otaczających go twarzach.

- Nie rozumiem, jak którekolwiek z was nawet mógł pomyśleć o przymusie. Według was jestem naładowany energią. Może się mylę, lecz gdyby ktoś spróbował rzucić mnie z powrotem w rynnę czasu, albo tylko dotknąć, ta energia dokonałaby straszliwego spustoszenia...

- Masz rację, do cholery! - krzyknął młody mężczyzna, a następnie szczerknął zirytowany na Dresleya: - Jakim cudem, do diabła, popełniłeś taki psychologiczny błąd. Wiesz, że McAllister musi zrobić to, co chcemy, aby uratować samego siebie. I to bardzo szybko!

Dresley chrząknął.

- Do diabła, prawda jest taka, że nie mamy czasu na wyjaśnienia, a właśnie zrozumiałem, że może nas łatwo zastraszyć. Z tego co widzę, mamy do czynienia z inteligentnym człowiekiem.

McAllister obserwował ich spod przymrużonych powiek. Wyczuł kłamstwo.

- Nie kadźcie mi tutaj o inteligencji - zripostował impulsywnie. - Wszyscy pociecie się krwią. Powystrzelalibyście własne babki i podstępnie wciągnęlibyście mnie w to bagno, ponieważ świat, o którym myślicie, że jest dobry, został zagrożony. Jaki jest ten wasz plan, do uczestnictwa w którym zamierzaliście mnie zmusić?

Odpowiedział mu młody mężczyzna:

- Dostaniesz od nas izolujący kombinezon i zostaniesz wysłany z powrotem do swojego czasu... - Umilkł nagle.

- No cóż, brzmi całkiem nieźle - stwierdził McAllister. - Gdzie jest pułapka?

- Nie ma żadnej pułapki!

McAllister utkwiał w nim świdrujący wzrok.

- Posłuchaj uważnie - zaczął powoli. - Nie serwuj mi takiego gówna. Skoro jest to tak proste, jak u diabła, mam wam pomóc powstrzymać energię Isher?

Młody człowiek rzucił gniewne spojrzenie Dresley'owi.

- Wzbudziłeś w nim podejrzenia tą swoją gadaniną o przymusie. -

Przeniósł wzrok na McAllistera. - Zamierzamy zastosować pewnego rodzaju dźwignię energii, wykorzystując zasadę punktu podparcia. Ty masz być ciężarkiem na długim ramieniu huśtawki energii, który podniesie ciężar umieszczony na krótszym ramieniu. Cofniesz się w czasie o pięć tysięcy lat.

Maszyna w wielkim budynku, do której dostrojone jest twoje ciało, powodująca te wszystkie kłopoty, przesunie się w przyszłość o kilka miesięcy.

- W ten sposób - wtrącił ktoś inny, zanim McAllister zdążył otworzyć usta

- powinniśmy zdobyć czas na znalezienie innego kontragenta. Musi istnieć

rozwiązanie. W przeciwnym razie nasi wrogowie nie działaliby w tak sekretny sposób. Co o tym myślisz?

McAllister podszedł powoli do krzesła, na którym siedział uprzednio.

Umysł pracował z szaloną prędkością, lecz dręczyło go posępne przeczucie, że nie posiada technicznej wiedzy niezbędnej do ochrony samego siebie. Odezwał się cedząc słowa:

- Na mój rozum, ma to działać na zasadzie dźwigni. Stara zasada mówiąca, że jeśli ma się dość długą dźwignię i odpowiedni punkt podparcia, można by zepchnąć Ziemię z orbity.

- Dokładnie tak! - krzyknął Dresley wykrzywając się. - Jedyne to działa w czasie. Przebędziesz pięć tysięcy lat, budynek przebywa... - Jego głos osłabł a zapal przygasł, gdy dostrzegł wyraz twarzy McAllistera.

- Posłuchaj - odezwał się człowiek z przeszłości. - Nie ma nic bardziej żalostnego niż banda uczciwych facetów zamierzających zrobić coś nieuczciwego. Jesteś silnym człowiekiem, typem intelektualisty, który przez całe życie starał się przeforsować idealistyczne koncepcje. Zawsze sobie powtarzałeś, że jeśli to będzie konieczne, nie zawahasz się przed drastycznym poświęceniem. Nie weźmiesz mnie jednak na plewy, bracie. Gadaj, gdzie jest pułapka?



McAllister miał dziwne uczucie trzymając to ubranie. Zauważył mężczyzn wyłaniających się z zaplecza i niezmiernie zdumiało go, że przynieśli izolujący kombinezon, nie wiedząc przecież, czy zdecyduje się go włożyć. Patrzył posępnie na Petera Cadrona, który podając mu nieciekawą, obwisłą szarą rzecz, powiedział napiętym głosem:

- Wskakuj w to i ruszaj w drogę. To sprawa minut, człowieku! Kiedy te działa na zewnątrz zaczną bombardować nas czystą energią, nie będziesz już żył, nie mówiąc już o gadaniu o naszej uczciwości.

McAllister wciąż się wahał. Wydawało mu się, że w pomieszczeniu panuje niewiarygodny upał. Strużki potu spływały mu po policzkach i poczuł dyskomfort niepewności. Gdzieś w tle jakiś głos mówił:

- Po pierwsze musimy zyskać na czasie, potem umieścimy nowe sklepy w społecznościach, gdzie nie będą narażone na ataki. Równocześnie skontaktujemy się z każdym cesarskim potencjałem zdolnym pomóc nam bezpośrednio lub pośrednio i wreszcie musimy...

Głos płynął nieprzerwanie, lecz McAllister przestał rozróżniać słowa. Jego nerwowe spojrzenie spoczęło na dziewczynie stojącej w milczeniu w pobliżu drzwi. Podszedł do niej. Jego gniewny wzrok, albo sama obecność z pewnością przeraziła ją, ponieważ skuliła się i pobladła.

- Posłuchaj - powiedział głośno. - Siedzę w tym bagnie po same uszy.

Gdzie tkwi niebezpieczeństwo? Muszę czuć, że mam jakąś szansę. Powiedz mi, gdzie w tym wszystkim jest pułapka.

Twarz dziewczyny stała się szara, niemalże tak szara i martwa jak

kombinezon przewieszony przez ramię Petera Cadrona.

- Chodzi o tarcie - bąknęła w końcu. - Może się zdarzyć, że będziesz miał problemy z przebyciem całej drogi do 1951 roku. Widzisz, będziesz swego rodzaju „obciążeniem” i...

McAllister odwrócił się na pięcie. Wślizgnął się do miękkiego, niemal mglistego kombinezonu, nie zwracając uwagi na swój nienagannie wyprasowany garnitur.

- Ciężko przechodzi przez głowę, co?

- Tak! - Odpowiedź nadeszła z miejsca, gdzie stał ojciec Lystry. - Gdy tylko zasuniesz zamek błyskawiczny, kombinezon stanie się całkowicie niewidzialny. Osobom postronnym będzie się wydawało, że masz na sobie zwyczajne ubranie. Twój nowy strój jest bogato wyposażony. Mógłbyś w nim mieszkać na Księżycu.

- Nie rozumiem jednego - poskarżył się McAllister. - Dlaczego muszę to wkładać? Dostałem się tutaj bez problemu nie mając go. - Spochmurniał nagle. Słowa wypadały automatycznie z jego ust, lecz niespodziewana myśl przerwała ten potok.

- Zaraz, zaraz - wykrztusił - co dzieje się z wypełniającą mnie energią, kiedy jestem zamknięty w tym impregnowanym ubranku?

Nieruchome spojrzenia zgromadzonych dookoła ludzi powiedziały mu, że trafił w sedno.

- A więc o to chodzi! - warknął. - Ta izolacja ma mnie chronić przed utratą energii. W ten sposób utworzy się ten cholerny ciężarek. Teraz już jestem pewny, że istnieje jakieś połączenie kombinezonu z tamtą maszyną. No cóż,

jeszcze nie jest za późno.

Wykonując desperacki obrót odbił w bok, by ominąć wyciągnięte ramiona czterech mężczyzn, którzy równocześnie skoczyli ku niemu. Uchwyt okazał się zbyt silny. Palce Petera Cadrona mocnym szarpnięciem zasunęły zamek, a ich właściciel powiedział:

- Przykro mi, ale na zapleczu my również włożyliśmy izolujące kombinezony. To dlatego nie mogłeś nam nic zrobić. Zapamiętaj sobie: nie ma dowodów, że właśnie poświęca się twoje życie. Na naszej Ziemi nie istnieje krater, co świadczy, że nie eksplodowałeś w przeszłości, lecz w jakiś inny sposób rozwiązałeś ten problem. A teraz niech ktoś szybko otworzy drzwi!

Przenieśli go w stronę wejścia. I wtem...

- Zaczekajcie!

To był głos dziewczyny. Jej oczy błyszczały jak czarne klejnoty, gdy ścisnęła w dłoniach małą, jasną broń, w pierwszym momencie wycelowaną w McAllistera. Ciągący go mężczyźni stanęli jak wryci. Prawie nie zwrócił na to uwagi. Teraz istniała dla niego tylko dziewczyna i sposób, w jaki układały się jej usta, gdy wykrzyczała niespodziewanie:

- To kompletne szaleństwo. Czy jesteśmy aż takimi tchórzami? Czy to możliwe, że duch wolności może przetrwać jedynie dzięki tandetnemu aktowi morderstwa i podeptaniu praw jednostki? Ja mówię nie! Pan McAllister musi mieć ochronę hipnozy. To drobne opóźnienie z pewnością nie okaże się śmiertelne.

- Lystra. - To był głos jej ojca. McAllister uświadomił sobie widząc jego zachowanie, jak błyskawicznie starszy mężczyzna reagował na sytuację.

Podszedł do córki i wyjął pistolet z jej dłoni. Jedyne człowiek w tym pomieszczeniu, pomyślał McAllister, który teraz mógł do niej podejść mając pewność, że dziewczyna nie wystrzeli. Histeria malująca się w jej twarzy i łzy spływające po policzkach świadczyły, jak niebezpieczna mogła być w takim stanie dla pozostałych.

Ku jego zdziwieniu nawet przez chwilę nie odczuł ulgi. Akcja zdawała się rozgrywać gdzieś w innej rzeczywistości. Pozostał tylko biernym obserwatorem. Wydawało mu się, że stoi tak przez całą wieczność, a kiedy w końcu emocje doszły do głosu, zdziwił się, że nie popchnięto go ku przeznaczeniu. Z jeszcze większym zdziwieniem zobaczył, jak Peter Cadron uwalnia jego ramię i odchodzi na bok. Oczy mężczyzny emanowały spokojem, gdy stał z dumnie uniesioną głową.

- Pańska córka ma rację. W tym momencie wznosimy się ponad nasze obawy i zwracamy się do tego nieszczęśliwego młodzieńca: Odwagi! Nie zapomnimy o tobie. Nie możemy ci niczego zagwarantować. Nie możemy nawet powiedzieć, co się z tobą stanie. Ale powtarzamy z przekonaniem, że jeśli tylko leży to w naszej mocy, pomożemy ci. A teraz musimy chronić cię przed destrukcyjnymi naciskami psychologicznymi, które w przeciwnym razie zniszczyłyby cię, w prosty lecz niezwykle skuteczny sposób.

McAllister spostrzegł zbyt późno, że wszyscy pozostali odwrócili się od niezwyklej ściany. Nawet nie zauważył, kto rozpoczął to, co nieuchronnie miało nastąpić.

Oślepił go błysk światła. Przez moment miał wrażenie, że jego umysł jest obnażony. Głos Petera Cadrona naciskał:

- Utrzymać samokontrolę i trzeźwość umysłu - to twoja nadzieja. Zrobisz

to wbrew wszystkiemu! A dla twojego dobra rozmawiaj o swoim doświadczeniu

tylko z naukowcami, lub z władzami, które, według ciebie, okażą zrozumienie.

Powodzenia!

Oślepiające światło sprawiło, że prawie nie czuł dotyku popychających go

dłoni. Poczł, że spada.

## **Rozdział 1**

Zatopiona w mroku wioska przedstawiała osobliwy widok. Zadowolony

Fara szedł ulicą obok swojej żony, wdychając powietrze o smaku wina. Myślał o

artyście, który przybył z Cesarskiego Miasta i stworzył to, co określono w

telestatkach jako - pamiętał żywo to powiedzenie - „symboliczny obraz

przypominający scenę z ery elektryczności sprzed siedmiu tysięcy lat”.

Fara wierzył w to całkowicie. Ulica z ogrodami pielęgnowanymi przez

automaty, z cofniętymi pośród kwiatów sklepami, z trawiastymi ścieżkami i

ulicznymi lampami, które wysyłały światło z każdego zagłębienia swoich

kształtów - to był prawdziwy raj, gdzie czas stał w miejscu.

Obraz wielkiego artysty - ta spokojna scena, jaką Fara wciąż miał przed

oczyma - obecnie znajdował się w prywatnej kolekcji cesarzowej. Wychwalała

to dzieło i naturalnie, po trzykroć błogosławiony malarz natychmiast wybłagał u

niej przychylność. Jakąż radość musiało mu sprawić osobiste złożenie hołdu

wspaniałej, boskiej, pogodnej, miłosiernej i ukochanej Inneldzie Isher, sto

osiemdziesiątej z rodu.

Nie zwalniając kroku Fara zerknął na żonę. W przyćmionym świetle

najbliższej latarni, łagodna, wciąż dziewczęca twarz prawie niknęła w

półmroku. Zamruczał miękko, instynktownie ścisząc głos, by harmonizował z pastelowymi odcieniami nocy.

- Powiedziała... Cesarzowa powiedziała, że nasza mała wioska Glay wyróżnia się delikatnością, która stanowi również najwspanialszą cechę jej mieszkańców. Czyż to nie cudowne, Creel? Cesarzowa z pewnością wiele rozumie.

Doszli do bocznej uliczki i widok, jaki ukazał się przed ich oczyma, jakieś pięć metrów dalej, zamknął mu usta.

- Patrz! - mężczyzna odezwał się chrapliwie, wskazując sztywnym palcem na znak świecący w mroku nocy:

DOBRA BRONĀ

PRAWO DO KUPOWANIA BRONI

PRAWEM DO WOLNOŚCI

Fara odniósł dziwne wrażenie wpatrując się w płonące litery. Widział, jak inni wieśniacy zbierają się dokoła. W końcu odezwał się silnym, ochryplym głosem:

- Słyszałem o tych sklepach. To miejsca nikczemników, z którymi rząd cesarzowej zrobi pewnego dnia porządek. Buduje się je w ukrytych fabrykach, a potem w całości transportuje do wiosek takich jak nasza. Mają jakoby pomagać w obronie własności. Godzinę temu tego tu nie było. - Rysy jego twarzy stężyły a głos nabrał niemiłego brzmienia. - Creel, wracaj do domu.

Zdziwił się, gdy nie zareagowała od razu. Przez wszystkie lata małżeństwa była posłuszną żoną, dzięki czemu uczyniła jego życie przyjemnym. Spozstrzegł, że wpatruje się w niego szeroko rozwartymi oczami, a nieśmiały strach trzymają

w miejscu.

- Fara, co ty chcesz zrobić? - zapytała drżącym głosem. - Nie zamierzasz chyba...

- Wracaj do domu! - Przestrasz Creel zwiększył jego determinację. - Nie pozwolimy, by te potworne rzeczy profanowały naszą wioskę. Pomyśl tylko. -

Jego głos zadrżał pod wpływem przerażającej myśli. - Ta dobra, konserwatywna społeczność, którą zdecydowaliśmy zachować dokładnie taką, jak w galerii obrazów cesarzowej, została właśnie wypaczona przez to paskudztwo. Ale tego tu nie będzie. I koniec dyskusji.

Miękki, przesycony przerażeniem głos Creel tym razem pozbawiony nieśmiałości, wypłynął z mrocznego zaułka.

- Nie rób niczego w pośpiechu, Fara. Pamiętaj, że to nie jest pierwszy nowy budynek w Glay od czasu namalowania obrazu.

Fara milczał. Tej cechy żony - przypominania o nieprzyjemnych zdarzeniach nie pochwalał. Wiedział dokładnie, co miała na myśli. Gigantyczna, rozrośnięta korporacja „Automatyczne Atomowe Warsztaty Remontowe” wtargnęła tu wbrew prawom stanu, wbrew wiejskiemu zgromadzeniu, ze swoim błyszczącym budynkiem i zabrała mu już przeszło połowę klientów.

- To co innego - warknął w końcu. - Po pierwsze ludzie odkryją w końcu, że te nowe automaty remontowe robią straszną fuszerkę. Po drugie to jest zdrowe współzawodnictwo. Ale ten sklep z bronią jest wyzwaniem dla dobrych obyczajów, którą sprawiają, że życie pod skrzydłami Domu Isher jest tak radosne. Spójrz na to absurdalne hasło. Przecież to czysta hipokryzja. „Prawo do kupowania broni...” ech! Wracaj do domu, Creel. Dopilnujemy, żeby w tej

wiosce nie sprzedali nawet jednej sztuki.

Przez chwilę obserwował wysmukłą sylwetkę żony, ginącą w ciemnościach. Creel dotarła do połowy ulicy, kiedy zawołał za nią:

- A jeśli zobaczysz gdzieś naszego syna, zabierz go z sobą. Powinien zrozumieć, że o tak późnej porze nie należy przebywać poza domem.

Niknąca w mroku postać nie odwróciła się. Fara patrzył, jak porusza się w świetle ulicznych latarni, po czym odwrócił się na pięcie i ruszył szybko w stronę sklepu. Tłum rósł z każdą minutą; nocne powietrze pulsowało podekscytowanymi głosami. Bez wątplenia, było to największe wydarzenie w całej historii wioski Glay.

Szyld sklepu z bronią był, o czym Fara wiedział, sprawą iluzji. Kiedy zatrzymał się przed olbrzymią szybą wystawową, słowa reklamy tkwiły nieruchomo na froncie sklepu. Ponownie z pogardą skonstatował znaczenie sloganu, po czym odwrócił się w stronę napisu w oknie:

**NAJLEPSZA BRONŃ ENERGETYCZNA**

**W ZNANYM WSZECHŚWIECIE**

Iskierka zainteresowania wznieciła płomień w umyśle Fary. Wpatrywał się w błyszczące pistolety, zafascynowany wbrew sobie. Leżała tam przeróżna broń od małych miotaczy do szybkostrzelnych karabinów. Wszystkie wykonane z jasnych, twardych substancji: błyszczącej szklanej masy, różnokolorowego lecz nieprzejrzystego plastiku, czy zielonego, opalizującego berylu. Ten szeroki asortyment służący do zniszczenia zmroził Farą. Taka ilość broni dla małej wioski Glay, gdzie, z tego co wiedział, broń posiadało nie więcej niż dwoje ludzi, a ci używali jej tylko do polowania. No cóż, rzecz była absurdalna i



przerażająca.

Jakiś człowiek za jego plecami powiedział:

- To jest na parceli Harrisa. Niezły dowcip zrobili temu staremu łajdakowi.

Ciekawe, czy robi im awanturę? - Kilkanaście osób zachichotało, a ich głosy wypełniły gorące, lecz świeże powietrze. Fara widział, że mężczyzna mówi prawdę. Sklep z bronią miał dwanaście metrów szerokości i zajmował środek zielonego skweru starego Harrisa.

Fara zmarszczył brwi. Sprytnie. Ci ze sklepów kupowali ziemię od większości nie lubianych ludzi we wsi, dając każdemu godziwą zapłatę. Ich działania były grubymi nićmi szyte i choćby z tego powodu nie powinno im się udać. Fara wciąż ciskał gromy oczami, kiedy zobaczył pulchną postać sołtysa Mela Dale'a. Czym prędzej podszedł do niego, dotknął z szacunkiem czapki i zapytał bez wstępów:

Gdzie jest Jor?

- Tutaj. - Wioskowy konstabl torował sobie łokciami drogę przez tłum. -

Jakieś plany?

- Istnieje tylko jeden plan - odpowiedział śmiało Fara. - Wejść tam i aresztować ich.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, po czym wbili wzrok w ziemię. Postawny policjant przerwał niezręczną ciszę mówiąc krótko:

- Drzwi są zamknięte i nikt nie odpowiada na walenie. Zamierzałem właśnie zasugerować, by odłożyć tę sprawę do rana.

- Nonsens! - Zniecierpliwienie podsycało ogień w Farze. - Trzeba wziąć topór i rozwalić te drzwi. Zwłoka doda jedynie tym ludziom odwagi i stawia

większy opór.

Nie chcemy ich w naszej wiosce nawet przez jedną noc. Czy nie jest tak? -

Stojący najbliżej gapie przytaknęli pospiesznie. Zbyt pospiesznie.

Fara rozejrzał się dookoła, zdumiony tym, że nikt nie chciał spojrzeć mu prosto w oczy. Wszyscy są przestraszeni i niechętni, pomyślał. Zanim jednak zdążył coś powiedzieć, odezwał się konstabl Jor:

- Chyba nie słyszałeś o tych drzwiach. Ludzie powiadają, że nie da się ich sforsować.

Farę zmroziła świadomość, że to właśnie on będzie musiał przedsięwziąć jakieś kroki.

- Wezmę ze swojego warsztatu atomowy przecinak - oświadczył w końcu. -

To rozwiąże nasz problem. Czy mam twoje pozwolenie, sołtysie?

Pot na twarzy otyłego mężczyzny perlił się w świetle okiennej wystawy.

Wyciągnął chustką, wytarł nią czoło i powiedział nieswoim głosem:

- Może lepiej będzie jak skontaktuję się z dowódcą cesarskiego garnizonu w Ferd i poproszę go o pomoc.

- Nie. - Fara rozpoznał wykręt. Ogarnęło go nagłe przeświadczenie, że tak naprawdę, tylko on stanowi realną siłę całej wioski. - Musimy działać sami. Inne

wspólnoty pozwoliły im zagnieździć się u siebie, ponieważ nie podejmowały zdecydowanego działania. My musimy stawić opór. I to niezwłocznie. Więc?

„W porządku” sołtysa przypominało zaledwie westchnienie. Fara nie

potrzebował jednak niczego więcej. Podzielił się swymi zamiarami z tłumem. W chwilę potem, kiedy już wy dostał się na zewnątrz, spostrzegł syna, który wraz z innymi młodymi ludźmi wpatrywał się w wystawę.

- Cayle, chodź i pomóż mi z tą maszyną - zawołał.

Chłopak ani drgnął. Fara zamierzał wytknąć mu nieposłuszeństwo, lecz odszedł poirytowany. Ten nieznośny chłopak! Pewnego dnia podejmę stanowcze działanie, pomyślał zgorzkniały. W przeciwnym razie nie będzie z niego żadnego pożytku.

Energia płynęła bezdźwięcznym i gładkim strumieniem. Żadnych trzasków, żadnych wybuchów. Jaśniała delikatnym, czystym, białym światłem, pieszcząc metalowe panele drzwi. Po minucie Fara wciąż nie widział efektu. Nie chciał wierzyć w niepowodzenie i nadal manipulował energią o niezmiernym potencjale. Kiedy wreszcie wyłączył maszynę, był zlany potem.

- Nie rozumiem - wysapał. - Przecież żaden metal nie może wytrzymać stałego strumienia energii atomowej. Nawet te twarde metalowe pokrywy stosowane wewnątrz silnika pobierające eksplozję w nieskończonych ilościach. Taka jest teoria, lecz w rzeczywistości stała praca krystalizuje pokrywę po kilku miesiącach.

- Jest dokładnie tak, jak mówił Jor - powiedział sołtys. - Te sklepy z bronią są... duże. Rozprzestrzeniają się po całym imperium i nie uznają cesarzowej. Wyraźnie zaniepokojony Fara zaszurał stopami po twardej trawie. Nie podobało mu się to, co usłyszał. Co więcej, był to oczywisty nonsens. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, odezwał się jakiś mężczyzna z tłumu:

- Słyszałem, jak gadali, że te drzwi otwierają się tylko przed tymi, co nie mogą przynieść szkody ludziom w środku.

Szokujące słowa wyrwały Farę z otępienia. Niepowodzenie miało niekorzystny wpływ na jego psychikę. Odezwał się ostrym głosem:

- To absurdalne! Gdyby istniały takie drzwi, wszyscy byśmy je mieli. My...

- Powstrzymała go nagła świadomość faktu, że nigdy nie widział, by ktokolwiek próbował je otworzyć, zaś sądząc po otaczającej go niechęci istniało duże prawdopodobieństwo, że nikt nie próbował. Postąpił krok naprzód i pociągnął.

Drzwi otworzyły się z nienaturalną lekkością, dającą złudzenie, że klamka została mu w ręku. Sapiąc otworzył drzwi na oścież.

- Jor! - wrzasnął. - Wchodź!

Konstabl wykonał nieokreślony ruch, po czym błyskawicznie skonstatował, że nie może się wycofać na oczach tyłu pobratymców. Skoczył niezdarnie, lecz drzwi zatrzasnęły mu się przed samym nosem.

Fara wpatrywał się głupio w swoją wciąż zaciśniętą rękę. Przeszył go dreszcz. Klamka wykręciła się i wyslizgnęła z naprężonych palców. Sama myśl o tym dawała uczucie nienormalności. Uświadomił sobie, że tłum obserwuje go w cichym napięciu. Ze złością sięgnął ponownie do klamki, lecz tym razem ani drgnęła. To niepowodzenie przywróciło mu determinację. Skinął na konstabla.

- Cofnij się, Jor. Pociągnę.

Mężczyzna wycofał się, lecz na próżno. Drzwi nie chciały ustąpić. Gdzieś z tłumy wydobył się ponury głos:

- Postanowiły cię wpuścić, a potem zmieniły zdanie.

- Co za brednie wygadujesz! - zareagował gwałtownie Fara. - Zmieniły zdanie. Oszalałeś. Drzwi nie mają rozumu.

Strach napełnił drżeniem jego głos. Wstyd z powodu własnej reakcji wyostrzył zmysły. Fara patrzył ponuro na sklep. Budynek majaczył pod nocnym niebem. Był jasny jak dzień, obcy, złowrogi i już nie taki łatwy do pokonania.

Mężczyzna pomyślał, co zrobiliby żołnierze cesarzowej, gdyby kazano im działać. I nagle zaświtało mu, że nawet oni nie byłiby w stanie nic zrobić.

Przestraszył się własnych refleksji i usiłował wyrzucić je z umysłu.

- Te drzwi już raz otworzyły się przede mną - powiedział dziko. - Otworzą się i drugi.

Tak też się stało. Delikatnie i bez oporu, z tym samym wrażeniem lekkości, osobliwe drzwi poddały się jego dłoni. Za progiem, w szerokiej alkwie panował półmrok. Sołtys Dale zawołał za nim:

- Fara, nie bądź głupcem. Co masz zamiar tam robić?

Fara ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że przekroczył próg. Odwrócił się stropiony i spojrzał na kłębowisko twarzy.

- No cóż... - zaczął niepewnie, ale w następnej chwili rozpromienił się - no cóż, oczywiście kupię broń.

Przez moment był zafascynowany swą błyskotliwą odpowiedzią. Nastrój zmienił mu się jednak, kiedy zdał sobie sprawę, że stoi w słabo oświetlonym wnętrzu sklepu z bronią.

## **Rozdział 2**

Wewnątrz panowała niezmacona cisza. Z zewnątrz nie dochodził żaden dźwięk. Fara stąpał ostrożnie po dywanie tłumiącym kroki. Jego oczy przywykły do delikatnego oświetlenia odbijającego się od ścian i sufitu.

Oczekiwał czegoś niezwykłego, a typowe atomowe oświetlenie działało na napięte nerwy niczym balsam. Rozejrzał się dokoła, odzyskując pewność siebie.

To miejsce wyglądało w miarę normalnie. Zwyczajny, skąpo umeblowany sklep. Na ścianach i podłodze znajdowało się dwanaście gablot. Ładne, lecz nie

nadzwyczajne. Dostrzegł też podwójne drzwi prowadzące na zaplecze.

Fara czujnie obserwował wejście, przypatrując się jednocześnie kilku gablotom, z których każda mieściła trzy lub cztery rodzaje broni. Spod przymrużonych powiek oceniał szansę na wyjęcie zza szyby jakiegoś egzemplarza, by potem, kiedy ktoś nadejdzie, wyprowadzić go siłą na zewnątrz prosto w ręce Jora. Za plecami usłyszał cichy, męski głos.

- Życzy pan sobie broń?

Fara odwrócił się raptownie. Gdy zdał sobie sprawę, że jego plan legł w gruzach, przez moment opanowała go wściekłość. Gniew ulotnił się po ujrzeniu sprzedawcy - przyjemnego człowieka o siwych włosach, starszego od niego.

Pomimo niepokoju przytaknął.

- Tak, tak, broń.

- W jakim celu? - zapytał mężczyzna. Fara był w stanie jedynie na niego patrzeć. Myślał, że oszaleje. Miał ochotę powiedzieć tym ludziom, co o nich myśli.

Jednak wiek rozmówcy związał mu język. Wysiłkiem woli zdobył się na otwarcie ust.

- Do polowania. - Te wiarygodne słowa usztywniły go. - Tak, zdecydowanie do polowania. Na północ stąd jest jezioro - kontynuował już pewniej - i...

Przerwał nie mogąc znieść swych kłamstw. Nie był gotów, się pograżać aż tak bardzo.

- Na polowanie - powtórzył po kilku sekundach.

Fara znów stał się sobą. Nienawidził tego człowieka za to, że postawił go w

tak niekorzystnym położeniu. Przenikliwym wzrokiem obserwował jak sędziwy mężczyzna otwiera gablotę i wyjmuje z niej zieloną, błyszczącą strzelbę. Kiedy sprzedawca trzymając broń w ręku odwrócił się do niego, Fara rozmyślał:

„Całkiem sprytne, postawić jakiegoś starego faceta na froncie. Taka sama przebiegłość kazała im wybrać posiadłość Misera Harrisa”.

Sięgnął po broń, lecz mężczyzna trzymał ją poza zasięgiem jego ręki.

- Zanim pozwolę panu wypróbować tę strzelbę - powiedział - regulamin sklepu nakazuje mi poinformować, w jakich okolicznościach może pan zakupić broń.

A więc mieli prywatne prawa. I system psychologicznych sztuczek, aby wywrzeć wrażenie na łatwowiernych.

- My, producenci i sprzedawcy broni - kontynuował łagodnie sprzedawca - skonstruowaliśmy broń, która może zniszczyć każdą maszynę lub obiekt wykonany z czegoś, co nazywamy materią. A zatem każdy, kto posiada choć jeden nasz egzemplarz, przewyższa siłą bojową pojedynczego żołnierza cesarzowej. Mówię przewyższa, ponieważ każda broń stanowi centrum pola siły działającego jak idealna tarcza przeciwko niematerialnym siłom destrukcji. Ta tarcza nie jest odporna na pałki, włócznie czy pociski, albo inne substancje materialne. Aby jednak przeniknąć tą wspaniałą barierę wytwarzaną wokół swego właściciela, niezbędne jest małe działo atomowe.

- Oczywiście rozumie pan - ciągnął swą wypowiedź - że tak potężna broń nie może wpaść w niepowołane ręce. Zgodnie z tym, co powiedziałem, broni zakupionej u nas nie można użyć do agresji czy morderstwa. W przypadku strzelby myśliwskiej, można strzelać z niej jedynie do ściśle określonych,

dzikich stworzeń, których listę od czasu do czasu wywieszamy w oknie wystawowym. Wreszcie, broni tej nie można odsprzedać bez naszej zgody. Czy to jasne?

Fara skinął głową. W tej chwili nie potrafił wydobyć z siebie ani słowa.

Zastanawiał się, czy powinien roześmiać się w głos, czy też wyzwać mężczyznę za to, iż ośmielił się obrazić jego inteligencję. A więc tej broni nie można użyć do morderstwa lub rabunku. Można z niej strzelać tylko do określonych stworzeń. A co do ponownej sprzedaży, przypuśćmy... Przypuśćmy, że kupiłby tę broń i wybrał się na wycieczkę, czy przejechał tysiące kilometrów, i zaoferował ją jakiemuś bogatemu nieznanemu za dwa kredyty - kto by się o tym dowiedział? Przypuśćmy, że napadłby jakiegoś nieznanego, albo nawet zastrzelił. W jaki sposób ta wiadomość trafiłaby do sklepu? Uświadomił sobie, że właśnie podawano mu broń lufą do przodu. Wziął ją i z trudem zwalczył chęć wycelowania w starego człowieka.

- Jak się nią posługiwać? - zapytał.

- Po prostu celuje pan i pociąga za spust. Może chciałby pan wypróbować ją na naszym celu.

Fara podniósł strzelbę na wysokość twarzy.

- Tak - odparł triumfalnie - i ty nim jesteś. A teraz podejdź do drzwi, otwórz je i wyjdź na zewnątrz. - Podniósł głos. - A jeżeli ktokolwiek myśli o tym, by dostać się tylnym wejściem, to mam na nie oko. - Skinął energicznie na sprzedawcę. - A teraz szybko, ruszaj się, bo strzelę! Przysięgam.

Mężczyzna był nadal opanowany.

- Nie wątpię, że pan by to uczynił. Kiedy postanowiliśmy dostroić drzwi,



żeby mógł pan wejść pomimo swej wrogości, zakładaliśmy możliwość zabójstwa. To gra. Lepiej jak pan sobie to uświadomi i obejrzy się za siebie.

Dokoła panowała cisza. Fara stał nieruchomo trzymając palec na cynglu. W jego głowie zawirowały wszystkie pogłoski, jakie słyszał na temat sklepów z bronią; że miały swoich ludzi w każdej dzielnicy, a także własny, bezwzględny rząd i że kiedy wpadło się w ich szpony, jedynym wyjściem była śmierć.

Wreszcie jedno ujrzał wyraźnie: obraz samego siebie. Fary Clarka, rodzinnego faceta, wiernego poddanego cesarzowej, który stał teraz w tym słabo oświetlonym sklepie, mierząc się z olbrzymią i złowrogą organizacją.

Siłą woli starał się wlać odwagę w obwisłe mięśnie.

- Nie nabierzesz mnie gadając, że ktoś za mną stoi. A teraz podejdź do drzwi.

Starszy mężczyzna patrzył gdzieś obok.

- No i co, Rad, masz wszystkie dane?

- Wystarczająco jak na początek. - Fara usłyszał za sobą młody głos. -

Konserwatysta typu A-7. Średnia inteligencja na poziomie dobrym, lecz rozwój typowy dla małych miasteczek i wsi. Stronnicze poglądy ukształtowane w przesadzonej formie w szkołach cesarskich. Niesłuchanie uczciwy. Rozsądek nie będzie tu przedstawiał żadnej wartości. Emocjonalny stosunek do rzeczywistości. Wszelkie zmiany osobowości wymagałyby zmuszonego leczenia. Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy się przejmować. Pozwólmy mu żyć tak, jak mu się podoba.

- Jeśli uważasz - wyjął Fara - że ten sprokurowany głos sprawi, iż się odwrócę, to jesteś szalony. To lewa strona budynku. Wiem, że nikogo tam nie

ma.

- Jestem za tym, Rad - odparł starzec ignorując wycelowaną w siebie broń - aby darować mu życie. Ale to przecież on podżegał tłum. Myślę, że powinniśmy go do tego zniechęcić.

- Rozgłosimy jego obecność - odezwał się Rad. - Resztę życia spędzi na odpieraniu zarzutów.

Wiara w trzymaną w rękach broń osłabła w Farze tak dalece, że zapomniał o niej zupełnie, w miarę jak wsłuchiwał się z mieszaniną konsternacji i niepokoju w niezrozumiałą rozmowę.

Stary mężczyzna mówił z uporem:

- Sądzę, że przyda mu się odrobina emocji. Pokaż mu ten pałac.

Pałac! To słowo wyrwało Farę z krótkotrwałego paraliżu.

- Teraz widzę, że mnie okłamałeś - krzyknął. - Ta broń wcale nie jest naładowana. To...

Głos go zawiódł. Ciało zeszywniało. W ręku nie miał już broni.

- Ty... - zaczął porywczo, lecz umilkł ponownie. Zwalczył uczucie wirowania w umyśle i spróbował zebrać myśli. Ktoś musiał mu niepostrzeżenie odebrać strzelbę. A to oznaczało, że jakiś człowiek stał za jego plecami. Ten głos nie był mechaniczny. Fara chciał odwrócić się, lecz mięśnie odmówiły posłuszeństwa. Zdołał się na spory wysiłek. Nie mógł się poruszyć ani drgnąć. Ze zdumieniem zauważył, że pomieszczenie zaczęło pogrążyć się w ciemności. Ledwo widział starszego mężczyznę. Krzyczałby, gdyby tylko mógł. Sklep zniknął.

Fara unosił się ponad ogromnym miastem. Stał w przestworzach mając

dokoła siebie tylko błękit, letnie niebo oraz miasto. Leżące jakiś kilometr czy dwa poniżej. Zdawało mu się, że może normalnie oddychać. Iluzja pierzchła, gdy zdał sobie sprawę, że w rzeczywistości stoi na twardej podłodze, a miasto jest jakimś obrazem, który pojawił się niezwykle sugestywnie przed jego oczami.

Fara z niepokojem rozpoznał rozpościerającą się poniżej metropolię - miasto marzeń, stolicę imperium, Cesarskie Miasto. Miasto wspaniałej cesarzowej Isher. Widział srebrny pałac - cesarską rezydencję. Przerazenie opuszczało go powoli, ustępując fascynacji i podziwowi. Strach rozproszył się całkowicie, kiedy Farę przeszył dreszcz radości wywołany zbliżaniem się z ogromną prędkością owego przybytku. „Pokażcie mu ten pałac!”, powiedzieli wcześniej. Połyskujący dach uderzył go prosto w twarz. Metal przeniknął przez ciało.

Po raz pierwszy doznał uczucia groźnej i szokującej profanacji, gdy wyimaginowany obraz zatrzymał się na olbrzymim pokoju, w którym dokoła stołu siedzieli mężczyźni, a u jego szczytu kobieta. Niewzruszone kamery filmujące zdarzenie przechyliły się i uchwyciły jej twarz.

Ładna twarz była w tej chwili wykrzywioną pasją. Kobieta pochyliła się i przemówiła znajomym głosem (jakże często Fara słyszał te spokojne, miarowe tony na telestatkach) jednocześnie zniekształconym przez gniew i stanowczość rozkazu. Głos przecinał ciszę tak wyraźnie, iż Farze zdawało się, że stoi w olbrzymim pokoju.

- Chcę śmierci tego zdrajcy, rozumiano? Nie obchodzi mnie, jak to zrobicie, lecz do jutra wieczór chcę usłyszeć, że on jest martwy.

Obraz zniknął nagle i Fara ponownie znalazł się w sklepie. Stał przez chwilę na nogach czekając, aż wzrok przyzwyczai się do słabego oświetlenia.

Pierwszą reakcją była pogarda dla prostoty sztuczki - ruchomy obraz. Za jakiego głupca go brali sądząc, że przełknie coś tak namacalnie nierealnego? Szokująca perfidia planu, nieopisana nikczemność tego, co tu próbowano osiągnąć, wyzwoliła w Farze falę ognistego szału.

- Ty łobuzie! - wrzasnął. - Kazałeś komuś odegrać rolę cesarzowej udając, że... O ty...

- Dostyc tego - przerwał mu głos Rada. Fara drgnął, kiedy potężny, młody mężczyzna pojawił się w polu widzenia. Przemknęła mu przez głowę zatrważająca myśl, że ludzie, którzy tak podle oczerniają osobę jej cesarskiej mości, nie zawahają się przed wyrządzeniem krzywdy Farze Clarkowi. Młody mężczyzna kontynuował głosem zimnym i twardym jak stal:

- Nie chcemy ci wmówić, że to, co widziałeś w cesarskim pałacu, miało miejsce w tej chwili. To byłby zbyt wielki zbieg okoliczności. Zdjęcia zrobiono dwa dni temu. Ta kobieta jest cesarżową.

Człowiek, którego rozkazała zabić, to były doradca, w jej oczach słabeusz.

Ubiegłej nocy znaleziono go martwego w mieszkaniu. Nazywał się, jeśli chciałoby ci się sprawdzić w wiadomościach, Banton Vickers. Ale nieważne. Z tobą już skończyliśmy.

- Ale ja jeszcze nie skończyłem - odparł Fara nieswoim głosem. - Nigdy w życiu nie słyszałem ani nie widziałem tyle nikczemności. Jeśli myślicie, że ta wieś się kończy, to macie nie po kolei w głowach. Będziemy strzegli tego miejsca we dnie i w nocy. Nikt tu nie wejdzie, ani się stąd nie wydostanie.

- Wystarczy - warknął mężczyzna o srebrnych włosach. - Badanie było niezwykle interesujące. Jako uczciwy człowiek możesz do nas wpadać, kiedy tylko znajdziesz się w tarapatach. To wszystko. Skorzystaj z tylnego wyjścia.

Fara poczuł, jak nieokreślona siła ciska nim w drzwi, które w osobliwy sposób pojawiły się w ścianie, tam gdzie jeszcze kilka sekund wcześniej widział pałac. Stał w ogrodzie pełnym kwiatów. Po lewej stronie gromadził się tłum ludzi. Rozpoznał mieszkańców wioski i zrozumiał, że znajduje się na zewnątrz.

Koszmar dobiegł końca. Kiedy pół godziny później Fara wszedł do domu,

Creel powitała go pytaniem:

- Gdzie masz broń?

- Broń? - Utkwił zdziwiony wzrok w żonie.

- Kilka minut temu mówili w telestacie, że jesteś pierwszym klientem nowego sklepu z bronią.

Fara stanął jak wryty, przypominając sobie słowa młodego mężczyzny:

„Rozgłosimy jego obecność”. Pomyślał zrozpaczony: „Moja reputacja!” Nie chodziło o sławę związaną z imieniem. Od dawna wierzył, z cichą dumą, że warsztat Fary Clarka jest dobrze znany tutejszej społeczności. Najpierw osobiste upokorzenie w sklepie. A teraz wprowadzeni w błąd ludzie, którzy nie mieli pojęcia, dlaczego Fara tam poszedł.

Pospieszył do telestatu i zadzwonił do sołtysa Dale'a. Jego nadzieje legły w gruzach, gdy pulchny mężczyzna powiedział:

- Przykro mi, Fara. Nie bardzo widzę, byś miał wolny czas na tym telestacie. Będziesz musiał za to zapłacić. Oni zapłacili.

- Oni zapłacili! - Fara zastanawiał się, czy pustka, jaką odczuwał,

zabrzmiała w jego słowach.

- I zapłacili Lanowi Harrisowi za jego działkę. Ten stary zażądał najwyższej ceny i ją otrzymał. Zadzwoił do mnie, by dokonać przeniesienia własności.

- Och! - świat Fary rozpadał się na kawałki. - Chcesz powiedzieć, że nikt nie może nic na to poradzić? A cesarski garnizon w Ferd?

Ledwie docierało do niego mamrotanie sołtysa, że żołnierze cesarzowej z pewnością nie zechcą ingerować w sprawy cywilne.

- Sprawy cywilne! - wybuchnął Fara. - Chcesz powiedzieć, że tym ludziom będzie wolno przychodzić tu bez względu na to, czy ich chcemy, czy nie, i wymuszać sprzedaż działek? - Przyszła mu do głowy pewna myśl. Posłuchaj - odezwał się bez tchu. - Nie zmieniłeś zdania co do tego, żeby Jor pełnił straż przed sklepem?

Pulchniutka twarz na ekranie telestatu przejawiała pierwsze oznaki zniecierpliwienia.

- Posłuchaj, Fara, niech odpowiednie władze zajmą się tą sprawą.

- Ale zatrzymasz tam Jora - powtórzył uparcie Fara. Sołtys spojrzał wyraźnie zdenerwowany.

- Obiecałem, czyż nie? A więc będzie tam. A teraz, chcesz kupić czas na telestacie? Piętnaście kredytów za minutę. Swoją drogą, jako kolega, uważam, że tracisz pieniądze. Nikt nigdy nie poradził sobie z fałszywym oświadczeniem.

Fara odezwał się ponuro.

- Umieść dwa, jedno rano, drugie wieczorem.

- W porządku. Całkowite zaprzeczenie. Dobrej nocy.

Ekran zmatowiał i Fara usiadł. Nowa myśl sprawiła, że rysy jego twarzy stężały.

- Ten nasz chłopak... Zagramy w otwarte karty. Albo pracuje w moim warsztacie, albo nie dostanie już więcej złamanego kredytu.

Creel zareagowała nadzwyczaj stanowczo.

- Źle z nim postępowałeś. Ma dwadzieścia trzy lata, a traktujesz go jak dziecko. Przypomnij sobie, w wieku dwudziestu trzech lat byłeś już żonatym mężczyzną.

- To co innego - odburknął Fara. - Ja miałem poczucie odpowiedzialności.

Wiesz, co on zrobił dzisiejszej nocy?

Nie zrozumiał dokładnie, lecz wydawało mu się, że powiedziała:

- Nie. Czy nie upokorzyłeś go najpierw?

Fara

czuł

zbyt

duże

zniecierpliwienie, aby

wyjaśnić ten

nieprawdopodobny zarzut. Pospieszył z odpowiedzią:

- Przed całą wioską odmówił mi pomocy. On jest zły, zły na wskroś.

- Tak - zachnęła się gorzko Creel. - Jest zły na wskroś. Jestem pewna, że nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo zły. Jest zimny jak stal, lecz brakuje mu siły i spójności stali. Z upływem czasu znienawidził mnie również, ponieważ tak długo cię broniłam, nawet gdy wiedziałam, że nie masz racji.

- O czym ty mówisz? - odezwał się zdumiony, po czym dodał o ton niżej: -

No już dobrze. Chodź, chodź, kochanie. Obydwoje jesteście zdenerwowani.

Chodźmy spać.

Spał kiepsko.

### **Rozdział 3**

Czasami Faraze towarzyszyło silne przekonanie, że toczy osobistą wojnę ze sklepem z bronią. Idąc do pracy i z powrotem, przechodził koło samotnego budynku mimo, że nie było mu to po drodze. Zawsze też zatrzymywał się na krótką pogawędkę z konstablem Jorem. Czwartego dnia nie miał z kim porozmawiać.

Z początku czekał cierpliwie, potem zaczął się denerwować. Wreszcie poszedł do swojego warsztatu, skąd zadzwonił do Jora. Nie zastał go. Według słów żony, strzegł sklepu z bronią. Fara zawahał się. W warsztacie piętrzyła się robota i po raz pierwszy w życiu doznał poczucia winy, że zaniedbuje swych klientów. Bez problemu mógł skontaktować się z sołtysem i powiadomić o zaniedbywaniu obowiązków przez Jora. Nie chciał jednak pakować poczciwca w kłopoty.

Zauważył, że na ulicy przed sklepem z bronią gromadzi się tłum.

Zaciekawiony pospieszył w tym kierunku. Znajomy mężczyzna powitał go gorączkowo.

- Fara, zamordowano Jora!

- Zamordowano? - Fara znieruchomiał nie zdając sobie zrazu sprawy z własnych odczuć. Satysfakcja! Teraz żołnierze będą musieli wkroczyć do akcji.

Uświadomił sobie upiorność tych myśli.



- Gdzie są zwłoki? - zapytał powoli.

- W środku.

- Chcesz powiedzieć, że te... szumowiny... - Wbrew sobie zawahał się przed użyciem kolejnego epitetu. Trudno było tak określać siwowłosego człowieka. Wziął się w garść. - Chcesz powiedzieć, że tamte szumowiny go zabiły, a potem wciągnęły ciało do środka?

- Nie ma naocznych świadków zabójstwa odezwał się jakiś inny mężczyzna - ale on zniknął i od trzech godzin go nie widziano. Sołtys wziął sklep z bronią na telestat, twierdzą jednak, że nic o nim nie wiedzą. Załatwili go, ot co, a teraz udają niewiniątka. No cóż, tak łatwo się z tego nie wykręca. Sołtys poszedł dzwonić po żołnierzy z Ferd, żeby sprowadzili ciężkie działo.

Farze udzielił się częściowo niepokój tłumy. Uczucie, że szykowało się coś ważnego - najbardziej rozkoszne uczucie, jakie kiedykolwiek łechtало jego nerwy, mieszało się z osobliwą satysfakcją. Przynajmniej on nigdy nie wątpił, gdzie gnieździ się zło. A jednak nie cieszył się. Głos mu drżał, kiedy mówił:

- Działo? Tak, to właściwa odpowiedź. No i oczywiście żołnierze będą musieli przybyć.

Pokiwał głową, bardziej do siebie niż do mężczyzny, czując bezgraniczne przekonanie, że teraz dowódca cesarskiego garnizonu nie będzie miał wymówki.

Fara zaczął mówić, co zrobiłaby cesarzowa, gdyby dowiedziała się, że człowiek stracił życie, ponieważ wojsko zaniedbało swoje obowiązki, lecz słowa utonęły w krzyku:

- Oto i sołtys! Hej, sołtysie kiedy przybędą działa atomowe?

Autolot sołtysa wylądował miękko na ziemi. Część pytań musiała dobiec

do jego uszu, bo stanął w otwartym, dwuosobowym pojeździe i podniósł rękę na znak ciszy. Ku zdumieniu Fary, mężczyzna o pulchnej twarzy utkwiał w nim oskarżycielski wzrok. Fara rozejrzał się dookoła, lecz był sam; pozostali podeszli do przodu. Potrząsnął głową, zaskoczony tym spojrzeniem, a następnie cofnął się o krok, kiedy Dale wskazał na niego palcem i odezwał się nieco drżącym głosem:

- Oto człowiek odpowiedzialny za kłopoty, jakie spadły na naszą społeczność. Zbliź się, Fara Clarku, i pokaż wszystkim. Kosztowałeś wieś siedemset kredytów, które mogliśmy wydać na inne cele.

Fara stał sparaliżowany zapominając całkowicie języka w gębie, zamiast próbować ocalić swój honor. Sołtys ciągnął dalej żalonym tonem:

- Wiedzieliśmy wszyscy, że nie byłoby rozsądnie wtrącać się w sprawy tych sklepów z bronią. Dopóki rząd cesarski zostawia je w spokoju, jakie my mamy prawo ustawiać przy nich strażę lub występować przeciwko nim? Takie było moje stanowisko od samego początku, ale ten człowiek... ten... ten Fara Clark chciał decydować za wszystkich, zmuszając nas, abyśmy działali wbrew woli i teraz mamy do pokrycia rachunek na siedemset kredytów i...

Umilkł łapiąc oddech i dodał:

- Równie dobrze mogę skrócić tę przemowę. Kiedy zadzwoniłem do garnizonu, dowódca roześmiał się mówiąc, że Jor na pewno się odnajdzie. Ledwo zdążyłem się rozłączyć, kiedy zadzwonił Jor na koszt wsi. Jest na Marsie. - Sołtys zczekał, aż osłabły okrzyki zdziwienia. - Powrót statkiem zajmie mu cztery tygodnie, a my musimy zapłacić za bilet. A za wszystko odpowiada Fara Clark.

Zaskoczenie minęło. Fara stał niewzruszony z chłodnym umysłem.

Wreszcie odezwał się zjadliwie:

- A więc poddajecie się i próbujecie zrzucić całą winę na mnie. Mówię wam, że wszyscy jesteście głupcami.

Kiedy się odwrócił, usłyszał jak Dale pociesza ludzi, że nie wszystko jeszcze stracone. Dowiedział się skądinąd, że sklep z bronią usytuowano w Glay, ponieważ wioska leżała w równej odległości od czterech dużych miast i ta lokalizacja leży w interesie jej mieszkańców. To oznaczałoby turystów oraz rozwój handlu w wiosce.

Fara nie słyszał nic więcej. Z zadartą dumnie głową, ruszył dziarsko do swego warsztatu. Ze strony tłumu doleciały go dwa wyzwiska, ale zignorował je. W miarę upływu dni, najgorsza z tego wszystkiego okazała się świadomość, że ludzie ze sklepu z bronią nie interesowali się nim. Byli odlegli, wyżsi, niepokorni. Poczuł ukłucie strachu, kiedy pomyślał o tym, jak przetransportowali Jora na Marsa w niecałe trzy godziny, podczas gdy cały świat wiedział, że podróż najszybszym statkiem kosmicznym nie mogła trwać krócej niż dwadzieścia cztery dni.

Fara nie wyszedł na stację ekspresu, aby powitać Jora. Słyszał wcześniej, że rada wioski postanowiła obciążyć konstabla połową kosztów podróży pod groźbą utraty pracy, w przypadku wniesienia sprzeciwu. Na drugą noc po jego powrocie, Fara wślizgnął się do domu konstabla i wręczył mu sto siedemdziesiąt pięć kredytów. Powrócił do domu z czystszy sumieniem.

W trzy dni później drzwi warsztatu otworzyły się z łomotem i do środka wszedł jakiś mężczyzna. Fara zmarszczył brwi na jego widok. Był to Castler,

wioskowy szubienicznik. Przybysz szczyrzył zęby.

- Pomyślałem sobie, że może cię to zainteresować, Fara. Ktoś dzisiaj wyszedł ze sklepu z bronią.

Fara umyślnie zaczął mocować się ze śrubą płyty silnika atomowego, który właśnie naprawiał. Oczekiwał z rosnącym zdenerwowaniem, by mężczyzna zdecydował się w końcu mówić dalej. Zadawanie pytań byłoby oznaką słabości.

Rosnąca ciekawość kazała mu w końcu powiedzieć z niechęcią:

- Przypuszczam, że konstabl szybko go złapał. Był zaskoczony swoim pytaniem, lecz przynajmniej dało ono jakiś początek rozmowie.

- To nie był mężczyzna. To dziewczyna.

Fara zmarszczył brwi. Nie spodobało mu się przysparzanie robić kłopotów kobietom. A to przebiegłe diabły! Wykorzystywać dziewczynę, to tak samo jak wykorzystanie tego starego sprzedawcy. Była to brzydka sztuczka, która zasługiwała na niepowodzenie. Dziewczyna zaś, prawdopodobnie zuchwała pannica, wymagała ostrego potraktowania. Odezwał się szorstko:

- Hmm, co się stało?

- Jest wciąż na zewnątrz. Całkiem niezła.

Uporawszy się ze śrubą, Fara przeniósł pokrywę do szlifierki i rozpoczął znużoną, wymagającą precyzji obróbkę kryształów, które wysoka temperatura przykleiła na lśniący niegdyś metal. Miękki warkot towarzyszył j ego słowom.

- Czy podjęto jakieś kroki?

- Nie. Powiadomiono już konstabla, ale jemu nie uśmiecha się przebywanie z dala od rodziny przez kolejny miesiąc, czy coś koło tego, i ponoszenie takich kosztów.

Fara trawił zastłyszana informacją przez jakąś minutę, podczas gdy szlifierka turkotała nieprzerwanie. Kiedy się wreszcie odezwał, głos drżał mu od tłumionej furii.

- A więc upiecze im się. Sprytnie to wszystko ukartowali. Czy sołtys nie wie, że nie wolno cofnąć się nawet o krok przed tymi gwałcicielami prawa? To jak przyzwolenie na grzech.

Kątem oka dostrzegł uśmiech na twarzy szubienicznika. Nagle dotarło do niego, że ten człowiek bawi się jego gniewem. Ten uśmiech skrywał coś jeszcze - wiedzę. Fara odsunął pokrywę silnika od szlifierki i spojrzał z satysfakcją na swoje dzieło.

- Naturalnie wzmianką o grzechu nie przejąłeś się zbytnio.

- Och - odezwał się nonszalancko mężczyzna. - Ciężkie razy, jakie funduje życie, czynią ludzi tolerancyjnymi. Na przykład, jak już poznasz lepiej tę dziewczynę, prawdopodobnie sam zrozumiesz, że w nas wszystkich jest wiele dobrego.

Nie tyle słowa, ile ton jego wypowiedzi sprawił, że Fara warknął:

- Co masz na myśli mówiąc „jak poznam lepiej tę dziewczynę”? Nawet nie będę rozmawiał z tym bezczelnym bachorem.

- Nie zawsze ma się wybór - powiedział sentencjonalnie szubienicznik. -

Przypuśćmy, że przyprowadzi ją do domu.

- Przypuśćmy, że kto przyprowadzi kogo do domu? - zachnął się

poirytowany Fara. - Castler, ty... - Umilkł czując w żołądku ciężar przerażenia. -

Chcesz powiedzieć...

- Chcę powiedzieć - dokończył za niego Castler z triumfującym

uśmieszkiem - że chłopcy nie pozwalają, by taka ślicznotka czuła się samotna.

Naturalnie twój syn jako pierwszy do niej zagadał. - Dokończył szybko: -

Spacerują teraz Drugą Aleją zmierzając w tym kierunku.

- Wynoś się stąd - wrzasnął Fara. - I trzymaj się ode mnie z daleka.

Wynocha!

Mężczyzna nie spodziewał się takiego zakończenia. Poczzerwieniał na twarzy i wyszedł trzaskając drzwiami. Fara przez chwilę stał bez ruchu, po czym gwałtownie wyłączył zasilanie i wyszedł na ulicę. Nadszedł czas, aby położyć temu kres!

Nie miał jasnego planu, lecz czuł determinacją, aby zakończyć tę niewiarygodną historię. Złość na zmieszała się z gniewem na Castlera. Jak to się stało, że miał tak bezwartościowego syna, on, który spłacał długi i harował bez wytchnienia. On, przyzwoity obywatel, starający się sprostać wszystkim oczekiwaniom cesarzowej. Zastanowił się, czy to nie zła krew ze strony Creel. Oczywiście nie od jej matki, pomyślał szybko. Teściowa była przyzwoitą, ciężko pracującą kobietą, która niegdyś zostawiła swojej córce sporą sumę. Lecz ojciec zniknął, gdy Creel była dzieckiem.

A teraz Cayle z tą dziewczyną ze sklepu z bronią. Dostrzegł ich skręciwszy w Drugą Aleję. Kiedy podszedł bliżej, usłyszał, jak dziewczyna mówi:

- Masz o nas błędne pojęcie. Ktoś taki jak ty nie może dostać pracy w naszej organizacji. Tam potrzebują młodych mężczyzn z dobrym wyglądem i z wielkimi ambicjami.

Fara był zbyt spięty, aby rozumieć jej słowa.

- Cayle! - krzyknął ostro.

Odwrócili się. Cayle zrobił to z kontrolowanym brakiem pośpiechu

młodego mężczyzny, który dzięki bogatemu doświadczeniu dorobił się stalowych nerwów. Dziewczyna była szybsza, lecz pełna godności.

Fara odniósł wrażenie, że jego gniew jest samodestrukcyjny, ale gwałtowność emocji stłamsiła tę myśl w chwili powstania.

- Cayle, natychmiast wracaj do domu! - zażądał stanowczym głosem.

Uświadomił sobie, że dziewczyna spogląda na niego z zaciekawieniem dziwnymi, szarzielonymi oczami. To żaden wstyd, pomyślał, a jego gniew wzrósł rozpraszając niepokój spowodowany rumieńcem na policzkach syna.

Rumieniec zniknął zamieniając się w blady gniew. Chłopak odwrócił się do dziewczyny i powiedział:

- To jest ten dziecinny, stary głupiec, z którym muszę się zmagać. Na szczęście rzadko się widzimy. Nawet nie jadamy przy jednym stole. Co o nim sądzisz?

Dziewczyna uśmiechnęła się obojętnie.

- Och, znamy Farę Clarka. Tutaj, w Glay, to ostoja cesarzowej.

- O tak - szydził dalej chłopak. - Powinnaś go usłyszeć. Myśli, że żyjemy w niebie, a cesarzowa jest boginią. Ale najgorsze z tego wszystkiego jest to, że nie ma szans, by wymazać ten grymas z jego nadąsanej twarzy.

Odeszli pozostawiając Farę w tym samym miejscu. Waga tego, co się przed chwilą zdarzyło, wyparła z niego gniew. Pozostała jedynie świadomość popełnionego błędu. Nie potrafił go jednak do końca określić. Od czasu kiedy Cayle odmówił pracy w warsztacie, czuł zbliżający się punkt krytyczny konfliktu. Nagle niekontrolowane okrucieństwo syna ujawniło się jako uboczny

produkt głębszego problemu. Tyle że teraz, kiedy doszło do konfrontacji, nie chciał z nim stawać twarzą w twarz.

Przez cały dzień spędzony w warsztacie nieustannie wyganiał z umysłu tę myśl. Czy nadal będzie, tak jak wcześniej: Cayle i on mieszkający w tym samym domu, unikający swego wzroku, chodzący spać o różnych porach i wstający - Fara o 6:30, a Cayle w południe? Czy ten marazm miał trwać przez kolejne dni i lata?

Creel czekała na niego w domu.

- Fara, on chce, żebyś mu pożyczył pięćset kredytów na podróż do stolicy - odezwała się bez wstępu.

Fara w milczeniu skinął głową. Nazajutrz przyniósł pieniądze do domu i przekazał Creel, która zaniósła je do sypialni syna. Wyszła po niecałej minucie.

- Mam cię od niego pożegnać.

Kiedy tego wieczoru Fara wrócił do domu, Cayle'a już nie było.

Zastanawiał się, czy powinien odczuwać ulgę, lecz jedynym doznaniem, jakie wreszcie się pojawiło, było przeświadczenie o nieszczęściu.

## **Rozdział 4**

Został schwytyany w pułapkę. Teraz próbował się z niej wydostać.

Cayle nie uważał, by wyjazd z wioski Glay był skutkiem nagłej decyzji. Od tak dawna pragnął wyjechać, że ten cel wydawał się częścią jego fizjologii, tak jak potrzeba jedzenia lub picia. Teraz jednak impuls stał się przyćmiony i nieokreślony. Cayle ograniczany przez ojca patrzył nieprzyjaźnie na wszystko, co kojarzyło mu się z wioską, a nieposłuszeństwo i upór wiązały się z cechami jego zniewolenia - aż do chwili obecnej.



Przyczyna, dla której ta klatka stała otworem, pozostawała niejasna. Z pewnością niemałe znaczenie miała dziewczyna ze sklepu z bronią. Szczupła, o inteligentnych, szarzielonych oczach, kształtnej twarzy. Sprawiała wrażenie osoby podejmującej wiele trafnych decyzji. Głęboko wryły mu się w pamięć słowa, które kiedyś wypowiedziała: „No cóż, jestem z cesarskiego miasta. Wracam tam w czwartek po południu”.

W ten czwartek po południu ona wracała do wielkiego miasta, podczas gdy on pozostawał w Glay. Nie mógł tego znieść. Czuł się chory, dziki jak osaczone zwierzę żądne ucieczki. I właśnie to, a nie kłótnia z ojcem zadecydowało, że wywarł nacisk na matkę w sprawie pieniędzy. Siedział teraz skonsternowany w miejscowym autolocie do Ferd, bo okazało się, że dziewczyny nie ma na pokładzie.

W centrum lotów w Ferd, oczekując na samolot do cesarskiego miasta, przystawał w wielu punktach widokowych szukając Lucy Rall. Jednakże nie zdołał wyłuskać jej z tłumu przetaczającego się w kierunku strumienia międzystanowych samolotów. Niebawem szeroka maszyna zniżyła lot przygotowując się do lądowania. Zbyt szybko. To znaczy wydawało mu się, że zbyt szybko, dopóki nie dostrzegł zbliżającego się samolotu, który na wysokości trzydziestu metrów, całkowicie przezroczysty, zamigotał niczym klejnot, zatrzymując się na wyznaczonym torze.

Cayle'a ogarnęło ogromne podekscytowanie i niemalże zapomniał o dziewczynie. Wspiął się gorączkowo na pokład. Dopiero gdy maszyna mknęła ponad zielonym lądem, pomyślał o Lucy. Odchylił się w wygodnym fotelu i zastanowił spokojnie. Jaka była ta dziewczyna ze sklepu z bronią? Gdzie

mieszkała? Jakie wiodła życie jako członek prawie rebelianckiej organizacji?...

Trzy metry dalej siedział jakiś mężczyzna. Cayle stłumił w sobie chęć zasypania go gradem pytań. Pasażerowie mogą nie wiedzieć, że mimo iż przez całe życie mieszkał w Glay, nie jest wieśniakiem. Postanowił nie ryzykować odrzucenia.

Jakiś mężczyzna roześmiał się, a nieopodal rozbrzmiał kobiecy głos.

- Ależ, kochanie, jesteś pewien, że stać nas na wycieczkę po planetach? -

Gdy przechodzili obok, Cayle podziwiał swobodę, z jaką rozmawiali o tej wyprawie.

Z początku czuł się niezwykle spięty, lecz powoli zaczął się odprężyć.

Zajął się czytaniem wiadomości na fotelowym stacie. Rzucając leniwe spojrzenia obserwował umykającą poniżej scenerię, przystosowując odchylenie fotela do powiększonego obrazu. Zanim trzech mężczyźni usadowili się naprzeciwko niego i zaczęli grę w karty, czuł się prawie jak w domu.

Była to gra o małe stawki, podczas której padło imię tylko jednego z trójki graczy. Nazywał się „Foka”. Imię to wydawało się Cayle'owi dość niezwykle.

Mężczyzna był równie dziwny. Wyglądał mniej więcej na trzydzieści lat. Miał oczy tak żółte, jak u kota, i pofalowane włosy w chłopięcym nieładzie. Twarz była zwyczajna, chociaż o niezdrowym wyglądzie. Ozdoby pełne klejnotów połyskiwały w klapach płaszcza. Liczne pierścienie na palcach rzucały kolorowy poblask. Kiedy mówił, czynił to z powolną pewnością siebie. To właśnie on w końcu zwrócił się do Cayle'a:

- Zauważyłem, że nas obserwujesz. Chcesz dołączyć? Cayle z chęcią przystał na propozycję, instynktownie rozpoznając w Focie zawodowego hazardzistę, nie miał jednak pewności co do reszty. Pozostawało pytanie, który z

nich był oszustem?

To uatrakcyjni grę - dodał Foka.

Cayle zbladł. Nagle zdał sobie sprawę, że ta trójka działała wspólnie i właśnie wybrali swoją ofiarę. Bezwiednie rozejrzał się dokoła, by zobaczyć, ilu ludzi obserwowało jego wstyd. Z wielką ulgą stwierdził, że nikt nie patrzył w tę stronę. Najbliższy pasażer siedział w odległości trzech metrów skryty za wysokim oparciem fotela. Jakaś tęga, elegancko ubrana kobieta stanęła w wejściu do przedziału, lecz odwróciła wzrok. Powoli na twarz Cayle'a powracały kolory. A zatem myśleli, że znaleźli frajera. Wstał z miłym uśmiechem na twarzy.

- Dlaczego nie - powiedział swobodnie.

Usiadł na wolnym fotelu naprzeciwko żółtookiego. Rozdawanie wypadło na Cayle'a. Szybko ale uczciwie rozdał karty. Przypadł mu król zakryty i dwa odkryte. Zagrał z ręki do końca i nawet przy niskich stawkach w końcu zagarnął jakieś cztery kredyty w monetach.

Wygrał trzy z kolejnych ośmiu gier co, jak na niego, było poniżej możliwości. Był kalidetykiem - chociaż nigdy nie słyszał tego słowa - z okresowymi zdolnościami karcianymi. Pięć lat temu, gdy miał siedemnaście lat, podczas gry z czterema innymi chłopcami o dwadzieścia kredytów, wygrał dziewiętnaście z dwudziestu rozgrywek. Od tamtego czasu fart do hazardu, który mógł go uratować przed gnuśnym życiem w wiosce, stał się niemalże przysłowiowy i nikt w Glay nie chciał z nim grać.

Mimo dobrej passy nie wywyższał się. Zdominował Foka. Otaczała go aura przywódcy, miał wrażenie paranormalnej siły. Zaczął odczuwać fascynację.

- Mam nadzieję, że się nie obrazisz, gdy powiem - rzekł w końcu - że jesteś interesującym typem.

Żółte oczy badały go w zadumie, lecz mężczyzna nie odpowiedział.

- Przypuszczam, że sporo latałeś? - nagabywał Cayle.

To pytanie brzmiało raczej niedojrzale. Foka, mimo że był zwykłym hazardzistą, górował złym zachowaniem. Tym razem zareagował.

- Trochę - powiedział wymijająco.

Jego kompanów najwyraźniej rozbawiła ta odpowiedź, bo obydwaj parsknęli rubasznym śmiechem. Cayle splonął się, lecz bardzo chciał dowiedzieć się więcej.

- Na planety? - zapytał.

Brak odpowiedzi. Foka uważnie przyglądał się zakrytym kartom, po czym powiększył pulę o cztery kredyty. Cayle starał się zwalczyć uczucie, że robi z siebie głupca i w końcu odezwał się przeproszającym tonem:

- Wszyscy słyszymy różne rzeczy i czasami trudno jest stwierdzić co jest prawdą, a co nie. Czy warto polecieć na którąś z tych planet?

Żółte oczy badały go teraz z wyraźnym rozbawieniem.

- Słuchaj, koleś. Nie zbliżaj się do nich. Ziemia jest niebem tego systemu i jeśli ktokolwiek powie ci, że wspaniała Wenus zaprasza, powiedz, żeby poszedł do piekła, bo Wenus to właśnie piekło. Nie kończące się burze piaskowe.

Pewnego dnia, kiedy byłem w Wenusburgu, temperatura osiągnęła osiemdziesiąt cztery stopnie. - Przerwał. - Nie mówią takich rzeczy w reklamach, co?

Cayle zgodził się pospiesznie. Zaszokowała go potoczystość odpowiedzi.

Może odrobinę butnej. Mężczyzna nagle wydał mu się mniej interesujący. Zadał jeszcze jedno pytanie.

- Jesteś żonaty? Foka roześmiał się.

- Żonaty?! Posłuchaj przyjacielu, żenię się w każdym miejscu, do którego docieram. Oczywiście nielegalnie. - Roześmiał się ponownie. - Widzę, że daję ci wskazówki, jak żyć.

Cayle odpowiedział krótko:

- Takich wskazówek nie należy brać od innych.

Mówił jak automat. Nie spodziewał się po Focie takiego charakteru. Bez wątpienia był odważnym człowiekiem, lecz jego czar prysł. Cayle zrozumiał, że oceniając swego rozmówcę kierował się wiejską mentalnością. Nie mógł na to nic poradzić. Przez wiele lat borykał się z konfliktem pomiędzy zasadami swej matki a instynktowną świadomością, że świata zewnętrznego nie da się wcisnąć w obyczajowość wiejskiego życia.

Foka mówił ze szczerego serca.

- Z tego chłopca naprawdę wyrośnie ktoś, w sławnym Isher, co, chłopaki?

Nie przesadzam. - Przerwał. - Skąd bierzesz te wszystkie dobre karty?

Cayle znów wygrał. Zagarnął pulę i zawahał się. Miał czterdzieści pięć kredytów i wiedział, że lepiej będzie jak się wycofa, zanim ich rozdrażni.

- Obawiam się, że będę musiał skończyć - zakomunikował. - Mam jeszcze coś do zrobienia. Było mi bardzo przy...

Zająknął się tracąc oddech. Malutki, błyszczący miotacz spozierał na niego ponad krawędzią stołu. Żółtooki odezwał się monotonnym głosem:

- Więc myślisz, że najwyższy czas przestać, co? - Nie odwrócił głowy, lecz

zwracał się bezpośrednio do swoich kompanów. On myśli, że najwyższy czas przestać, chłopcy. Pozwolimy mu? - Pytanie musiało być retoryczne, ponieważ na twarzach dwóch obwiesiów pojawiły się niewyraźne grymasy.

- Osobiście - ciągnął przywódca - jestem cały za tym, żeby przestać. A teraz popatrzmy - mruknął. - Według zasady przezroczystości jego portfel jest w górnej prawej kieszeni. Jest tam również koperta przypięta do kieszeni koszuli z kilkoma pięćdziesięcioredytowymi banknotami. No i oczywiście są jeszcze pieniądze, które wygrał od nas. W kieszeni spodni.

Pochylił się do przodu z szeroko otwartymi oczami, z których wyzierała głęboka ironia.

- A więc sądziłeś, że jesteśmy hazardzistami, którzy zamierzali cię nabrać.

Nie, przyjacielu, my działamy całkiem inaczej. Nasz system jest mniej skomplikowany. Gdybyś nie zechciał dobrowolnie oddać pieniędzy, albo próbował zwrócić czyjąś uwagę, wypalę tym miotaczem prosto w twoje serce.

On ma tak cienki strumień, że nikt nawet nie zauważy maleńkiej dziurki w twoim ubraniu. Będziesz siedział, wyglądając na śpiącego, lecz kogo to zdziwi na tym wielkim statku pełnym zajętych sobą ludzi? - Jego głos stwardniał. -

Dawaj je! Szybko! Nie żartuję. Masz dziesięć sekund.

Oddanie pieniędzy zajęło nieco więcej czasu. Pozwolono mu włożyć pustą kopertę do kieszeni i zignorowano kilka monet.

- Będziesz chciał coś przegryźć, zanim wylądujemy - odezwał się wielkodusznie Foka.

Broń zniknęła pod stołem i Żółtooki odchylił się w fotelu leniwie.

- Gdybyś postanowił poskarżyć się kapitanowi, zabijemy cię natychmiast,

nie martwiąc się o konsekwencje. Nasza historyjka jest prosta: zachowałeś się bardzo głupio, gdy straciłeś całą forszę w karty.

Roześmiał się wstając, ponownie opanowany i tajemniczy.

- Siemanko, koleś. Więcej szczęścia następnym razem. Pozostali również wstali ze swoim miejsc. Cała trójka oddaliła się niespiesznie i zniknęła w koktajlbarze. Przygnębiony Cayle pozostał w fotelu.

Jego wzrok powędrował ku odległemu zegarowi - 15 lipca 4784 roku Isher

- dwie godziny, piętnaście minut od Ferd, godzina do cesarskiego miasta.

Z zamkniętymi oczami, wyobraził sobie siebie przybywającego do stolicy po zapadnięciu zmroku. Pierwszą noc, która miała być tak upojna, spędzi na ulicy.

## **Rozdział 5**

Nie mógł usiedzieć na miejscu. Trzykrotnie przemierzył statek, zatrzymując się przed lustrami energetycznymi sięgającymi od sufitu do podłogi.

W odbiciu widział swoje zaczerwienione oczy. Oprócz desperackiego pytania, co teraz robić, nękało go, dlaczego złapali w sidła akurat jego? Cóż takiego pozwoliło tym trzem zbirom nieomylnie wybrać swoją ofiarę?

Gdy odwrócił się od trzeciego lustra, dostrzegł znajomą twarz. Spojrzenie szarzielonych oczu przemknęło gdzieś ponad nim bez najmniejszych oznak rozpoznania go. Dziewczyna miała błękitną, szytą na miarę sukienkę i łańcuszek kremowych pereł na opalonej szyi. Wyglądała tak elegancko a zarazem tak swobodnie, że nie miał odwagi, by za nią iść. Bez cienia nadziei skrył się w wygodnym fotelu.

Kątem oka zarejestrował ruch. Jakiś mężczyzna siadał w fotelu przy stole po drugiej stronie przejścia. Miał na sobie mundur pułkownika armii jej cesarskiej wysokości. Był tak pijany, że nawet siedzenie sprawiało mu trudność. A w jaki sposób dotarł do tego miejsca, pozostało tajemnicą tkwiącą głęboko w prawach równowagi. Odwrócił głowę i oczy spojrzały niewidząco na Cayle'a.

- Szpiegujesz mnie, co? - Natężenie głosu zmalało. - Kelner! Steward pospieszył ku niemu.

- Tak, proszę pana?

- Najlepsze wino dla mojego cienia iii... mniece. - Kiedy kelner odszedł pospiesznie, oficer skinął na Cayle'a. - Możesz klapnąć obok mnie. Równie dobrze możemy podróżować razem, co? – Przybrał poufny ton. - Lubię wino, no wiesz. Próbowałem zachować to w tajemnicy przed cesarzową... od dłuższego czasu. Jej się to nie podoba. - Potrząsnął smutno głową. - Wcale się nie podoba. Na co czekasz? Chodź tu.

Cayle podszedł szybko przeklinając pijanego głupca. Zauważył jednak nadarzącą się okazję. Prawie o tym zapomniał, że dziewczyna ze sklepu zasugerowała, by przyłączył się do sił cesarskiej. Gdyby tylko mógł wydobyć niezbędne informacje od tego pijaka i szybko wstąpić do wojska, wówczas strata pieniędzy nie miałaby znaczenia. „Muszę podjąć decyzję”, powiedział do siebie i wyobraził sobie, jak to robi.

Popijał wino bardziej spięty niż tego chciał, rzucając w stronę starszego od siebie mężczyzny krótkie, wnikliwe spojrzenia. Z ogromu jego niespójnych zwierzeń wyłoniła się powoli historia rozmówcy. Nazywał się Laurel Medlon. Pułkownik Laurel Medlon, jak starał się wbić Cayle'owi do głowy, powiernik



cesarzowej, zaufany człowiek pałacu, szef okręgu podatkowego.

- I cholernie, yyyk, dobry człowiek - ogłosił z satysfakcją, która nadała więcej wagi temu wyznaniu niż same słowa.

Spojrzał sardonicznie na Cayle'a.

- Chciałbyś spróbować, co? - Czknął. - W porządku, przyjdź do mojego biura, jutro.

Głos uwiązał mu w krtani. Mężczyzna siedział bełkocząc do siebie. A kiedy Cayle zadał pytanie, wymamrotał, że przybył do cesarskiego miasta „...kiedy byłem w twoim wieku. Chłopcze, ależ ja byłem zielony!”. - Zatrząś się w spazmie wzburzenia.

- Wiesz co jest, no nie? Te diabelne monopole ciuchów mają różnego rodzaju materiały, które wysyłają do kraju. Możesz rozpoznać po nich każdego. Ja nie miałem wątpliwości...

Z ust wyleciała seria przekleństw. Jego szłał był dla Cayle'a zrozumiały. A więc to o to chodziło - ubranie! Nieuczciwość tego procederu wstrząsnęła nim. Ojciec konsekwentnie nie pozwalał mu kupować garniturów nawet w pobliżu Ferd. Nieodmiennie protestował - „jak mogę oczekiwać, że miejscowi kupcy będą przynosić mi sprzęt do naprawy, skoro moja rodzina nie zaopatruje się w ich sklepach?”. -Po tym pytaniu, na które nigdy nie padała odpowiedź, ojciec przestawał słuchać.

No i oto jestem tutaj, pomyślał Cayle, goły i wesoły, ponieważ ten stary głupiec... Nadaremny gniew osłabł. Duże miasta takie jak Ferd prawdopodobnie posiadały swoje własne markowe materiały, równie łatwe do zidentyfikowania jak te z Glay. Nieuczciwość takiego postępowania przekraczała głupotę jednego

człowieka.

Ale dobrze, że w końcu Cayle to zrozumiał. Lepiej późno niż wcale.

Pułkownik poruszył się niespokojnie. Cayle natarł z kolejnym pytaniem.

- Ale jak dostał się pan do armii? I przede wszystkim, jak został pan oficerem?

Pijany mężczyzna wymamrotał, że cesarzowa cholernie narzeka na zyski z podatków. Potem było coś o ataku na sklepy z bronią, że to diabelnie nie po ich myśli, ale słowa nie miały większego sensu. W końcu uwaga na temat dwóch dam, które powinny uważać na siebie, sprawiła, że przed oczami Cayle'a powstał obraz oficera utrzymującego kilka kochanek. A potem nadeszła upragniona odpowiedź.

- Wybuliłem pięć tysięcy kredytów za patent oficerski. Cholerna zbrodnia...

- Bełkotał znów przez jaką minutę, by wreszcie dokończyć. - Cesarzowa nalega, żeby rozdawać je za darmo. Nie da rady. Mężczyzna musi mieć dodatkowe dochody - oznajmił wzburzonym głosem. - Ja oczywiście zapłaciłem słono.

- Chce pan powiedzieć - ponaglił Cayle - że patenty oficera są teraz dostępne za darmo? Czy to właśnie miał pan na myśli? - W podekscytowaniu złapał go za rękaw.

Powieki, do tej pory na wpół przymknięte, uniosły się nad wyraz trzeźwo i oficer spiorunował Cayle'a podejrzliwym wzrokiem.

- Kim ty jesteś? - warknął. - Odejdź ode mnie. - Głos był ostry, przez chwilę prawie trzeźwy. - Na Boga, już nie można podróżować w spokoju.

Zawsze musi się przyczepić jakaś pijawka. Mam dostatecznie dużo powodów, by kazać cię zaarrestować.

Cayle wstał rumieniąc się silnie i odszedł chwiejnym krokiem. Był wstrząśnięty, niemalże na krawędzi paniki. Zbyt mocno i zbyt często obrywał. Mgła przed oczami rozpraszała się powoli. Zorientował się, że przystanął, aby zajrzeć do koktajlbaru. Foka wciąż tam siedział w towarzystwie swoich kompanów. Ich widok usztywnił Cayle'a. Zrozumiał, dlaczego wrócił tutaj i dlaczego chciał na nich popatrzeć. Narastała w nim chęć działania, wręcz determinacja, aby nie pozwolić, by uszło im to na sucho. Najpierw jednak musiał zdobyć kilka informacji.

Obrócił się na pięcie i skierował prosto ku dziewczynie ze sklepu z bronią, która siedziała w kącie czytając książkę; szczupła, przystojna, młoda, mniej więcej dwudziestoletnia. Szarozielone oczy wpatrywały się badawczo w jego twarz, gdy opowiadał, jak skradziono mu pieniądze.

- Chcę wiedzieć, czy radziłabyś mi pójść do kapitana - zakończył.

Pokręciła przecząco głową.

- Nie. Nie zrobiłabym tego. Kapitan wraz z załogą mają w tym procederze czterdzieści procent udziałów. Pomogliby tylko pozbyć się twego ciała.

Cayle odchylił się w fotelu. Poczul się tak, jakby uleciała z niego życiowa energia. Jego pierwsza podróż poza Ferd czyniła go coraz słabszym.

- Jak to jest - spytał w końcu prostując się - że nie wybrali ciebie? Och, wiem. Ty prawdopodobnie nie nosisz wsiowych ciuchów, ale w jaki sposób oni dokonują selekcji?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Ci ludzie - wyjaśniła oschle – prześwietlają upatrzone osoby. Najbardziej interesuje ich, czy potencjalna ofiara ma przy sobie broń ze sklepu z bronią.

Wtedy zostawiają delikwenta w spokoju.

Rysy twarzy Cayle'a stwardniały.

- Mógłbym pożyczyć twoją? - zapytał napiętym głosem. - Pokażę tym śmierdzielom.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Pistolety ze sklepów z bronią są dostrojone do właścicieli - wyjaśniła. - Z mojego nie mógłbyś korzystać. A poza tym możesz używać go wyłącznie do obrony. Zbyt późno jednak na obronę.

Cayle wbił ponury wzrok w podłogę. Piękność drwiła z niego. Splendor miast, które pojawiały się co kilka minut, pogłębiał jego depresję. Desperacja wracała. Wydało mu się nagle, że Lucy Rall jest jego jedyną nadzieją i że musi ją przekonać, aby mu pomogła.

- Czy sklepy z bronią robią coś jeszcze poza sprzedawaniem broni?

Dziewczyna zawahała się.

- Mamy centrum informacji - odpowiedziała w końcu.

- Co rozumiesz przez informacje? Jakiego rodzaju informacje?

- Och, wszystko. Gdzie ludzie się urodzili? Ile mają pieniędzy? Jakie popełnili albo popełniają zbrodnie? Oczywiście, nie ingerujemy w ich życie.

Cayle spojrzał na nią spod zmarszczonych brwi, jednocześnie niezadowolony i zafascynowany. Nie chciał się rozpraszać, lecz od wielu lat w jego umyśle kłębiły się pytania dotyczące sklepów z bronią.

A tu spotkał kogoś, kto znał na nie odpowiedzi.

- Ale co robią? - zapytał uparcie. - Skoro mają tak wspaniałą broń, dlaczego po prostu nie przejmą władzy?

Lucy Rall uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Ponad dwa tysiące lat temu pewien człowiek założył organizację sklepów z bronią. Stwierdził, że nieprzerwana walka o władzę nie jest normalnym zjawiskiem, a wojny muszą się raz na zawsze zakończyć. Świat właśnie otrząsał się ze skutków jednej z nich. Zabrała ona ponad miliard istnień ludzkich.

Dlatego znalazł tysiące zwolenników. Należało zorganizować grupę, która miałaby jeden główny cel - zapewnić, by żaden rząd, nigdy więcej, nie uzyskał całkowitej władzy nad ludźmi. Człowiek wprowadzony w błąd, oszukany, powinien mieć możliwość zaopatrzenia się w broń do obrony. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak wielki zrobiono krok naprzód. Pod starymi, tyranicznymi rządami często karano za posiadanie jedynie zwykłego pistoletu.

Jej głos wyrażał coraz więcej emocji. Było jasne, że wierzyła w to, co mówi. Kontynuowała zapalczywie:

- Pomysł zrodził się w głowie założyciela w efekcie wynalezienia elektronicznego i atomowego systemu kontroli umożliwiającego budowę niezniszczalnych sklepów z bronią i produkcję broni przeznaczonej wyłącznie do celów defensywnych. To ostatecznie zakończyło wszelkie dyskusje, czy broń z naszych sklepów może być używana przez gangsterów i kryminalistów wszelkiej maści, oraz moralnie usprawiedliwiało całe przedsięwzięcie. Dla celów defensywnych broń ta jest nadrzędna wobec broni konwencjonalnej czy rządowej. Jest kontrolowana przez umysł i wskakuje do ręki w razie konieczności. Na przykład w sytuacji zagrożenia życia. Dostarcza ochronnej tarczy przeciwko miotaczom, choć nie przeciw klasycznym pociskom, lecz nie ma to większego znaczenia ze względu na szybkość działania.

Spojrzała na Cayle'a i podeksycytowanie zniknęło z jej twarzy.

- Czy to chciałeś wiedzieć? - spytała.

- Przypuśćmy, że ktoś strzela do ciebie z zasadzki? - rzucił. Wzruszyła ramionami.

- Brak możliwości obrony. - Pokręciła głową uśmiechając się słabo. - Ty naprawdę nie rozumiesz. Nie martwimy się o jednostki. Liczy się co innego.

Ludzie mają świadomość, że w każdej chwili mogą pójść do sklepu z bronią, aby zapewnić ochronę sobie i swoim rodzinom. Ale najważniejsze jest to, że siły, które normalnie próbowałyby tych ludzi zniewolić, powstrzymują się przed niebezpieczeństwem wywierania nacisku. Dlatego została osiągnięta równowaga między tymi, którzy rządzą i rządzonymi.

Cayle wpatrywał się w nią z gorzkim rozczarowaniem.

- Chcesz powiedzieć, że ludzie muszą się ratować sami? Nawet kiedy dostajesz broń, musisz się uzbroić w stalowe nerwy? Nikt ci nie może pomóc? Zabolalo go, że w ten sposób usprawiedliwiała swoją reakcję. Odezwała się po krótkiej przerwie.

- Widzę, że moje słowa bardzo cię rozczarowały, ale tak właśnie jest. I myślę, że wkrótce zrozumiesz, że tak być musi. Kiedy ludzie tracą odwagę, aby zaprotestować przeciwko bezprawiu, nie może ich uratować żadna siła zewnętrzna. Wierzmy, że ludzie zawsze mają taki rząd, na jaki zasługują, a tylko jednostki muszą dźwigać na swoich barkach cenę wolności, nawet gdy jest to cena ostateczna.

Musiała dostrzec oznaki znużenia na jego twarzy, gdyż urwała raptownie.

- Posłuchaj - ponagliła - zostaw mnie na chwilę samą, bym sobie

przemyślała, co mi powiedziałaś. Niczego nie obiecuję, lecz powiem ci, jakie jest moje zdanie, zanim dotrzemy do celu podróży. W porządku?

Odebrał jej słowa jako miły sposób pozbycia się natręta. Wstał uśmiechając się kwaśno i zajął pusty fotel w sąsiednim pomieszczeniu. Kiedy, po minucie, spojrzął na drzwi wejściowe, kącik, w którym siedziała, świecił pustką.

I właśnie wtedy podjął decyzję, stwierdziwszy, że dziewczyna uciekała przed problemem. Znów spiął się w sobie, wstał i poszedł do baru.

Zaszedł Fokę od tyłu i wymierzył mu potężny cios w bok głowy.

Mężczyzna spadł ze stołka na podłogę. Dwóch kompanów zerwało się na równe nogi. Cayle bezlitośnie kopnął tego bliższego w krocze. Facet jęknął i zachwiał się, przyciskając ręce do podbrzusza.

Ignorując go, Cayle rzucił się na trzeciego mężczyznę, który próbował wyjąć miotacz z kabury pod pachą. Runął na niego całym ciężarem ciała zapewniając sobie przewagę. Zabezpieczył broń i uderzył nią dziko w wyciągniętą rękę mężczyzny, raniąc go do krwi. Okrzyk bólu zagłuszył odgłosy szarpaniny.

Cayle obrócił się w porę, by zobaczyć, jak Foka podnosi się. Żółtooki potarł się po szczęce. Stali nieruchomo, wpatrując się w siebie.

- Oddaj mi pieniądze - zażądał Cayle. - Wybrałeś zły obiekt.

Foka podniósł głos.

- Chłopaki, właśnie mnie napadnięto. To najbardziej bezczelne...

Przerwał. Niewątpliwie uświadomił sobie, że nie pomoże tu wrodzona bystrość, czy rozsądek. Toteż niespodziewanie podniósł rękę do góry i powiedział pospiesznie:

- Nie strzelaj, głupku! Jakkolwiek było, my ciebie nie zastrzeliliśmy.

Cayle wysiłkiem woli, powstrzymał palec na spuście.

- Moja forsa - warknął.

Nagle pojawiła się przeszkoda. Jakiś głos rozbrzmiał z mocą za jego plecami.

- Co się tu dzieje? Podnieś ręce do góry. Ty z tym miotaczem.

Cayle obrócił się i wycofał ku pobliskiej ścianie. Trzech oficerów ze statku stało w wejściu z przenośnymi miotaczami, trzymając go na muszkach. Podczas ostrej wymiany zdań Cayle ani razu nie opuścił broni.

Opowiedział wiernie całą historię i odmówił poddania się.

Mam powody wierzyć - oznajmił na zakończenie - że oficerowie statku, na którym dochodzi do podobnych incydentów, są w to również zamieszani. A teraz szybko, Foka, moje pieniądze.

Nie otrzymał odpowiedzi. Rzucił szybkie spojrzenie tam, gdzie wcześniej stał Żółtooki i... nie ujrzał nikogo.

Hazardzista zniknął. Nie było też śladu po jego współnikach.

- Posłuchaj - odezwał się oficer wyglądający na dowódcę - oddaj broń, a zapomnimy o całej sprawie.

- Wyjdę tamtymi drzwiami. - Cayle wskazał podbródkiem na prawo. -

Kiedy tam dojdę, odłożę broń.

Gdy przystali na ten warunek, nie zwlekał dłużej. Następnie przeszukał dokładnie cały statek, lecz nie znalazł Foki ani jego kompanów. Wiedziony furją odszukał kapitana.

- Ty szumowino, ty... - powiedział z pogardą. - Pozwoliłeś im uciec w



kapsule ratunkowej.

Oficer utkwiał w nim chłodne spojrzenie.

- Młody człowieku - odezwał się w końcu z sarkazmem - stanowisz żywy dowód na to, że reklamy mają słuszość. Podróże kształcą. W efekcie pobytu na pokładzie naszego statku stałeś się bardziej ostrożny. Odkryłeś w sobie odwagę do tej pory nie ujawnioną. Krótko mówiąc, w ciągu kilku godzin wydorostałeś. Nie można oceniać tego miarą własnego życia. W przeliczeniu na pieniądze, zapłaciłeś niewielką cenę. Gdybyś życzył sobie, kiedyś w przyszłości, stracić dodatkową sumę, z przyjemnością dam ci swój adres.

- Zamelduję o tym twojej firmie - zagroził Cayle. Oficer wzruszył ramionami.

- Formularze na zażalenia są dostępne w korytarzu. Będziesz musiał udać się na przesłuchanie do naszego biura w Ferd na własny rachunek.

- Rozumiem - powiedział ponuro Cayle. - Jest to bardzo po twojej myśli, prawda?

- Ja nie ustalałem tych reguł - padła zwięzła odpowiedź. - Ja tylko się do nich stosuję.

Drżąc ze złości, Cayle wrócił do saloniku, gdzie widział ostatnio dziewczynę. Ona również zniknęła. Zaczął przygotowywać się do lądowania, które miało nastąpić za niecałe pół godziny.

Poniżej, cienie zapadającego zmroku wydłużały się ponad światem Isher.

Całe wschodnie niebo było ciemne i zamglone, jakby tam, poza horyzontem, zagościła już noc.

Kilka minut po rozstaniu z Caylem, Lucy odłożyła książkę i swobodnym

krokiem przeszła do kabiny telestatu. Zamknęła drzwi na zamek, następnie pociągnęła przełącznik, który odłączył instrument od głównej konsoli w kabynie kapitana. Zdjęła jeden z pierścieni na palcach, manipulowała nim jakiś czas, i w końcu uzyskała połączenie z rządowym statem. Na ekranie pojawiła się kobieca twarz.

- Centrum informacji.

- Połącz mnie z Robertem Hedrockiem.

- Proszę chwilę zaczekać.

Twarz mężczyzny, która niemalże natychmiast pojawiła się na ekranie, miała nieregularne rysy i sprawiała wrażenie jednocześnie wrażliwej i silnej. W każdym drgnięciu mięśni, w każdym ruchu kryła się duma i witalność.

Osobowość tego człowieka emanowała z obrazu nieskończonym magnetycznym strumieniem. Głos był spokojny, choć dźwięczny.

- Departament Koordynacji.

- Tu Lucy Rall, strażniczka cesarskiego potencjału Cayle'a Clarka -

przedstawiła się, a następnie opisała pokrótce, co się przydarzyło jej podopiecznemu. - Według naszych pomiarów jest kalidetycznym gigantem.

Obserwujemy go z nadzieją, że jego rozkwit będzie na tyle szybki, byśmy mogli użyć go w walce o uniemożliwienie cesarzowej zniszczenia sklepów z bronią jej nową bronią czasu. Jest to zgodne z dyrektywą o nielekceważeniu żadnej możliwości. Myślę, że powinniśmy dać mu trochę pieniędzy.

- Rozumiem. - Męska twarz wyrażała zadumę. - Jaki jest jego wiejski współczynnik?

- Średni. Przez jakiś czas może być mu ciężko w mieście. Ale wkrótce

przewycięży przyzwyczajenia. Problemy wzmocnią go, teraz jednak potrzebuje pomocy.

Na twarzy Hedrocka odmalowała się decyzja.

- W podobnych przypadkach, im mniejsza ilość pieniędzy, tym większa, w konsekwencji, wdzięczność... – Uśmiechnął się. - Taką mamy nadzieję. Daj mu piętnaście kredytów i niech potraktuje to jako osobistą pożyczkę od ciebie. Nie ochraniaj go. Jest zdany całkowicie na siebie. Cos jeszcze?

- To wszystko.

- A zatem do widzenia.

W niecałą minutę Lucy Rall zresetowała stat.

## **Rozdział 6**

Cayle obserwował twarz gospodyni. Na tę decyzję nie miał wpływu.

Prawdę mówiąc, tak właśnie myślał o tej kobiecie - decyzja. Pozostawało pytanie, czy rozpozna w nim wieśniaka? Nie był pewien. Skinęła głową z zagadkowym wyrazem twarzy. W końcu wynajął mały pokój, który miał ogromną zaletę, a mianowicie kosztował zaledwie jedną czwartą kredytu za dzień.

Cayle położył się na łóżku i odpoczywał słuchając muzyki. Czuł się zadziwiająco dobrze. Kradzież pieniędzy wciąż odczuwał jak dotkliwe uządlenie, lecz nie traktował tego jako nieszczęścia. Piętnaście kredytów, które dała mu dziewczyna, pozwalało na przeżycie kilku tygodni. Był bezpieczny.

Znajdował się w cesarskim mieście. A sam fakt, że dziewczyna pożyczyła mu pieniądze, podała swoje nazwisko i adres, czegoś w końcu dowodził. Westchnął z zadowoleniem i wyszedł w poszukiwaniu kolacji.

Zauważył na rogu automat. Z wyjątkiem mężczyzny w średnim wieku było pusto.

Cayle kupił stek z maszyny, a potem rozmyślnie usiadł obok nienajomego.

- Jestem tu pierwszy raz - powiedział zachęcająco. - Czy możesz mi opowiedzieć o mieście? Bardzo bym był wdzięczny.

Obrał nową taktykę poprzez okazywanie naiwności. Czuł się jednak pewnie i był przekonany, że potrzebuje tych informacji. Nie zależało mu na zachowaniu wizerunku dumnego człowieka. Nie zdziwiło go, kiedy nieznajomy odchrząknął poważnie.

- Pierwszy raz w dużym mieście? Zwiedziłeś już coś?

- Nie. Dopiero przyjechałem.

Mężczyzna ze słabym błyskiem zainteresowania w szarych oczach skinął głową bardziej do siebie niż przytakująco. Cayle pomyślał cynicznie:

„Zastanawia się, jak by mnie wykorzystać”.

Rozmówca odezwał się ponownie, tym razem przymilnym tonem.

- Nazywam się Gregor. Mieszkam tuż za rogiem w Niebotelu. Co chcesz wiedzieć?

- Och - odparł szybko Cayle - gdzie jest najlepsza dzielnica? O kim się mówi?

Gregor roześmiał się.

- Co do ostatniego, to oczywiście o cesarzowej. Widziałeś ją kiedy?

- Tylko na statkach.

- No cóż, zatem wiesz, że jest po prostu dzieciakiem przybierającym pozę twardziela.

Cayle niczego podobnego nie wiedział. Pomimo swego cynizmu, nigdy nie myślał o członkach rządzącej rodziny Isher inaczej, niż oficjalnie.

Automatycznie odrzucił próbę uczynienia istoty ludzkiej z cesarskiej Inneldy przez swego rozmówcę.

- Cesarzowa? - zapytał.

- Jest uwięziona w pałacu. Omamiona przez grupę starców, którym daleko do zrezygnowania z władzy.

Cayle zmarszczył brwi, niezadowolony z takiej wizji. Przypomniawszy sobie, jak ostatni raz widział cesarzową na statkach. Zapamiętał twarz wyrażającą silną wolę oraz głos, który charakteryzowała zarówno wielka duma, jak i determinacja. Gdyby jacyś ludzie próbowali użyć jej jako narzędzia, wówczas powinni mieć się na baczności. Młoda cesarzowa miała swój rozum.

Gregor kontynuował.

- Chciałbyś spróbować szczęścia w grach? W takim razie musisz iść na Aleję Szczęścia. Mamy też teatry i restauracje...

Cayle nagle stracił zainteresowanie. Nie powinien był oczekiwać, że jakiś przygodny nieznajomy w taniej dzielnicy zdoła zaspokoić jego ciekawość. Był to człowiek małego umysłu, a na dodatek nie miał nic ważnego do powiedzenia.

Mężczyzna nie poddawał się.

- Z wielką radością oprowadzę cię po mieście. Nie mam zbyt wiele szmalu, ale...

Cayle uśmiechnął się kwaśno. A więc takie były jego intencje. Mężczyzna stanowił tę wypaczoną część życia Isher, ale w tym przypadku tak nieistotną i pożałowania godną, że nie miało to żadnego znaczenia. Cayle potrząsnął głową i

powiedział delikatnie:

- Z przyjemnością wybiorę się innym razem. Dzisiaj jestem trochę zmęczony. No wiesz, długa podróż, dopiero co przybyłem.

Bez żalu zajął się jedzeniem. Rozmowa nie wyrządziła mu żadnej krzywdy, a szczerze mówiąc, nawet poprawiła odrobinę nastrój. Mimo iż nigdy nie był w cesarskim mieście, lepiej niż Gregor orientował się w tym, co rozsądne.

Posiłek kosztował go więcej niż się spodziewał, lecz nie żałował tego. Po nieprzyjemnych doświadczeniach lotu potrzebował odreagowania. Wyszedł na ulicę zadowolony. Dzieci kłębiły się dokoła i pomimo szybko zapadającego zmierzchu, zabawa trwała na całego.

Przystanął na chwilę, aby na nie popatrzeć. Oceniał, że są w wieku od sześciu do dwunastu lat. Bawiły się w grę grupowego rytmu, której nauczano we wszystkich szkołach, z tą tylko różnicą, że w tej przeważał motyw płci, z czym nie spotkał się nigdy wcześniej. Najpierw ogarnęło go zdziwienie, potem smutek.

Wielkie nieba, pomyślał, miałem reputację diabła. A tym dzieciakom wydałbym się tylko zwykłym naiwniakiem.

Poszedł do swojego pokoju w przeświadczeniu, że młodzieniec, nad którym starszyzna Glay tak wiele razy potrzęsała głowami, w rzeczywistości był prostoduszny i uczciwy. Jeśli mógł źle skończyć, to właśnie z powodu swej niewinności.

Przeszkadzała mu ta świadomość. W Glay czerpał przyjemność z łamania konwencji i schematów. Tam uważał się za „miastowego”. Leżąc w łóżku pomyślał, że tylko po części była to prawda. Brakowało mu doświadczenia i

wiedzy, a także błyskawicznych reakcji i wycucia niebezpieczeństwa. W najbliższych planach musi uwzględnić wyszukanie lekarstwa na te słabości. Niepokoiła go myśl, że nie potrafi określić jednoznacznie swego celu, podejmując jedynie tymczasowe decyzje, które nie wynikają z jasnych i do końca określonych własnych zamierzeń.

Zasnął pogrążony w zmartwieniach i spał niespokojnie, dręczony nawet we śnie tymi nieprzyjemnymi myślami. Ciężka była jego pierwsza noc w mieście marzeń. Zbudził się zmęczony i nieszczęśliwy. Niepokój stopniowo zaczął się rozpraszać.

Nie skorzystał z drogiego automatu i zjadł śniadanie za jedną ósmą kredytu w restauracji oferującej osobistą obsługę i „domową” kuchnię. Pożałował skąpstwa. Ciężar nie dającego się strawić posiłku zelżał dopiero, gdy Cayle znalazł się w Pałacu Grosika, jaskini hazardu mieszczącej się na słynnej w całym świecie Alei Szczęścia.

Według przewodnika opisującego wyłącznie aleję i gry, właściciele Pałacu „umieścili błyszczące znaki, które skromnie oznajmniają, że każdy może wejść tu z jednym grosikiem i wyjść z milionem, oczywiście milionem kredytów”. Czy ktokolwiek zdobył taką fortunę, znaki nie mówiły.

Frazes kończył się słowami: „Pałac Grosika wyróżnia się tym, że można znaleźć w nim wiele gier i maszyn, a wszystkie różnią się od automatów w innych domach gry na Alei Szczęścia”.

Zaproszenie oraz niskie stawki wzbudziły zainteresowanie Cayle'a. Na razie nie planował wyjść „z milionem”. Na początek postanowił ograniczyć się do pięciuset kredytów. Potem, no cóż, potem miałby możliwości na dużo

więcej.

Najpierw wybrał maszynę, która pompowała słowa „parzysty” i „nieparzysty” do wirującego basenu światła. Kiedy po dziesięć z każdego rodzaju słów zostało wpompowanych do basenu, materia o konsystencji płynu ulegała chemicznej przemianie, po której utrzymywało się na powierzchni tylko jedno słowo. Wszystkie pozostałe zniknęły.

Zwycięskie słowo unosiło się z łatwością i w jakiś sposób wprawiało w ruch mechanizm płacący, albo zbierający. Gracze widzieli, jak słowa, na które postawili, znikają z kliknięciem, albo jak zwycięskie słowa wślizgują się automatycznie do kwadratu, przed którym stali. Cayle usłyszał kliknięcie oznajmiające porażkę.

Podwoił stawkę i tym razem wygrał. Wycofał początkową stawkę i zagrał wygraną monetą. Światelka wymieszały się, pompa syknęła, po czym na powierzchni pozostało słowo parzysty. Do jego uszu doleciał przyjemny dźwięk monet ślizgających się delikatnie ku niemu - dźwięk, który często słyszał podczas następnej półtorej godziny. Pomimo ostrożności, wygrał ponad pięć kredytów.

W końcu zmęczony wyszedł, by odpocząć w połączonej z salonem restauracji. Kiedy powrócił do „Komnaty Skarbów”, jak nazywano wielką salę, dostrzegł grę, która go zaintrygowała.

Pieniądze wkładało się w otwór, uwalniając tym samym dźwignię. Kiedy się ją pociągnęło, kolejno pojawiały się obrazki. Obracały się gwałtownie, ustawiając szybko na czerwonym albo czarnym polu. Ta gra była zatem kolejną odmianą gry w parzyste i nieparzyste, jako że gracz miał takie same szansę na



wygraną - pół na pół.

Cayle wcisnął półkredytową monetę do odpowiedniego otworu, pociągnął dźwignię... i przegrał. Druga próba dała podobny rezultat, trzecia również. Za czwartym razem jego kolor zamigotał na swoim miejscu. Wygrał kolejne dziesięć rund przegrywając cztery, potem wygrał siedem z następnych dziesięciu. W dwie godziny, wciąż zachowując umiar, bardziej kontrolując szczęście niż je wymuszając, wygrał siedemdziesiąt osiem kredytów.

Poszedł do baru na drinka i zastanowił się nad najbliższą przyszłością. Miał tak wiele możliwości: kupić nowy garnitur, przechować wygraną, przygotować się do następnej nocy i spłacić dług zaciągnięty u Lucy Rall.

Jego umysł był chłodny, przyjemnie połączony. Cayle czuł się dobrze i pewnie. W chwilę później zadzwonił ze statku do dziewczyny ze sklepu z bronią.

Pomnażanie majątku mogło zaczekać.

Lucy pojawiła się na ekranie prawie natychmiast.

- Jestem teraz na ulicy - wyjaśniła krótko.

Zrozumiał. Szczupła twarz wypełniała ekran. Wysięgniki telestatyczne wyrosły z niewielkiego obrazu. Ludzie używali ich na ulicy, jako połączenia z domowymi statami. Jeden z mieszkańców Glay miał takie urządzenie.

Zanim Cayle zdążył coś powiedzieć, odezwała się:

- Idę właśnie do mojego mieszkania. Może byśmy się tam spotkali?

Ale propozycja!

Mieszkanie składało się z czterech pokoi i było wyposażone w wiele urządzeń automatycznych. Krótka ocena sytuacji pozwoliła Cayle'owi stwierdzić, że Lucy Rall nie jest amatorką prac domowych. Zdumiało go jednak,

że mieszkanie wydawało się zupełnie nie strzeżone. Dziewczyna wyszła z sypialni i wzruszyła ramionami na jego komentarz.

- My, ludzie ze sklepów z bronią - powiedziała - żyjemy jak wszyscy inni, zwykle w przyjemniejszych rezydencjonalnych dzielnicach. Tylko nasze sklepy i... - zawahała się - kilka fabryk, no i, oczywiście, Centrum Informacji są odpowiednio chronione. - Urwała. - Mówiłeś coś o kupnie garnituru. Jeśli chcesz, pomogę ci wybrać. Mam jednak tylko dwie godziny.

Wniebowzięty Cayle otworzył przed nią drzwi. Zaproszenie do mieszkania musiało zawierać jakieś osobiste podteksty. Jej zobowiązania wobec sklepów z bronią najprawdopodobniej nie dotyczyły zaproszenia nikomu nieznanego Cayle'a Clarka do mieszkania, nawet na kilka minut. Doszedł do wniosku, że wpadł jej w oko.

Złapali autolot. Na postoju Lucy naciśnięciem przycisku sprowadziła maszynę w dół.

- Dokąd? - zapytał Cayle.

Dziewczyna uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Zobaczysz. - Wskazała do góry. - Popatrz.

Na niebie pojawiła się sztuczna chmura. Kilkakrotnie zmieniała barwę, po czym zaświeciły przez nią żywo litery: RAJ HABERDASHERY.

- Wczoraj wieczorem widziałem reklamę - oznajmił.

Zdążył o tym zapomnieć, lecz teraz wspomnienie krótkiego filmu

powróciło ze zdwojoną mocą. Strumień światła wykwitł w nocy, kiedy Cayle szedł do swego domu. Reklamowy Raj. Informował mężczyzn w każdym

wieku, że tu należy kupować. Tutaj mieściła się firma dostarczająca każdą część

męskiej garderoby, o każdej porze, we dnie i w nocy, w którymkolwiek miejscu na Ziemi, na Marsie, czy na Wenus, oraz za niewielką dodatkową opłatą, wszędzie w zamieszkanym Systemie Słonecznym.

Reklama nie wyróżniała się z pośród setek innych, dlatego też nazwa nie utkwiała mu w pamięci.

- Warto odwiedzić ten sklep - zaproponowała Lucy.

Cayle miał wrażenie, że cieszyła się z jego radości. Przez to czuł się odrobinę naiwnie. Najważniejsze, że podróżowali razem.

- To miłe, że mi pomagasz - zagadnął.

Raj Haberdashery w rzeczywistości wywierał większe wrażenie niż w reklamie. Budynek miał długość trzech przecznic i osiemdziesiąt pięter wysokości. Tak mówiła mu Lucy, po czym dodała:

- Pójdziemy szybko do głównych działów, potem kupimy ci garnitur.

Wejście do Raju miało jakieś trzydzieści metrów szerokości i trzydzieści pięter wysokości. Ekran energetyczny zatrzymywał powietrze z zewnątrz.

Oprócz niego obszerna, pozbawiona drzwi przestrzeń nie posiadała żadnych barier. Z łatwością przechodziło się przez nieszkodliwy ekran do przedsionka zwieńczonego kopułą. Raj, obok strojów kąpielowych, oferował plażę z czterystumetrowym pasem wody spadającej z zamglonego horyzontu na bogate morze o zmysłowym zapachu. Obok strojów narciarskich, zdumiewająco podobne do prawdziwych, góry z osiemsetmetrowym, pokrytym śniegiem, krętym stokiem.

„Raj jest UNIWERSALNYM SKLEPEM - głosił świecący znak, na który

Lucy zwróciła mu uwagę. - Jeżeli jest coś, co według ciebie nie zgadza się ze

naszym sloganem «Wszystko dla mężczyzny», poproś o to. Mamy to w sprzedaży”.

- Włącznie z kobietami - powiedziała od niechcienia Lucy. - Mają takie same ceny na kobiety jak na garnitury, od pięciu kredytów do pięćdziesięciu tysięcy. Zdziwiłbyś się, jak wiele kobiet z dobrych rodzin pojawia się tu, kiedy potrzebują pieniędzy. Oczywiście, wszystko jest zachowane w ścisłej tajemnicy.

Cayle dostrzegł, że dziewczyna obserwuje go w zadumie. I że spodziewa się jakiegoś komentarza. Ta osobliwa prowokacja wytrąciła go z równowagi.

Powiedział pospiesznie:

- Nigdy nie zapłacę żadnych pieniędzy za kobietę.

Ta odpowiedź zdawała się ją satysfakcjonować, jako że bez słowa przeszli do stoisk z garniturami. Oferowano je na trzydziestu piętrach, lecz każde piętro miało odrębną ofertę cenową. Lucy zabrała go na poziom, gdzie ceny wahały się między dwudziestoma a trzydziestoma kredytami. Dostrzegł różnicę jakości tkanin między „miejskimi” materiałami a własnym ubraniem. Za trzydzieści dwa kredyty kupił garnitur, krawat, skarpety i buty.

- Sądzę, że na razie nie powinieneś wchodzić wyżej - oceniła praktycznie.

Nie przyjęła propozycji zwrotu pożyczonych pieniędzy.

- Możesz je zwrócić później. Wolałabym, żebyś teraz włożył je do banku i trzymał jako rezerwę.

Oznaczało to, że jeszcze ją zobaczy. Cayle posunął się nawet do przypuszczenia, że prawdopodobnie tego właśnie chciała.

- Lepiej pospiesz się z przebieraniem - poradziła. - Zaczekam tutaj.

Te słowa wzmocniły jego wcześniej podjęty zamiar, by przed rozstaniem

pocałować ją. Jednak po wyjściu z przebieralni zmienił zamiar, gdy

powiedziała:

- Nie zdawałam sobie sprawy, jak jest późno. Już trzecia. Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Jesteś potężnym, silnym i przystojnym mężczyzną - stwierdziła. -

Wiedziałeś o tym? Ale teraz nie czas na komplementy. Pospieszmy się.

Pożegnali się przy wejściu. Lucy podążyła na przystanek autolotów,

pozostawiając go samego. Uczucie, które nim zawładnęło w sklepie, powoli odpłynęło. Cayle szedł, stopniowo przyspieszając kroku.

Zanim dotarł do miejsca, gdzie Piąty Międzyplanetarny Bank osiadł ciężko w posadach, z których wznosiły się na wysokość sześćdziesięciu czterech pięter wieżyce, ponownie zaczęła rozpierać go ambicja. Był to duży bank, w którym zdeponowanie małej sumy piętnastu kredytów zaakceptowano bez słowa komentarza, chociaż wymagano od Cayle'a, aby zostawił odciski palców.

Wyszedł z banku, bardziej zrelaksowany niż kiedykolwiek od czasu kradzieży. Miał rachunek oszczędnościowy. Był modnie ubrany. Przed przystąpieniem do trzeciego etapu kariery hazardzisty pozostało mu tylko załatwienie jednej sprawy.

Z publicznego autolotu zlokalizował sklep z bronią, przycupnięty w prywatnym parku w pobliżu banku. Idąc ukwieconą ścieżką dotarł do drzwi, lecz zawahał się, kiedy dostrzegł mały napis, z jakim nigdy wcześniej nie spotkał się w sklepach z bronią. Napis głosił:

WSZYSTKIE MIEJSKIE SKLEPY Z BRONIĄ

OKRESOWO ZAMKNIĘTE

# NOWE I STARE WIEJSKIE SKLEPY OTWARTE

## JAK ZWYKLE

Cayle zawrócił niechętnie. Takiej możliwości nie przewidział - baśniowe sklepy z bronią zamknięte. Cofnął się pod wpływem nagłej myśli, lecz nie znalazł żadnej informacji mówiącej, kiedy sklepy zostaną ponownie otwarte.

Żadnej daty, absolutnie nic prócz tego jednego, prostego oświadczenia. Stał chmurny, przepełniony poczuciem straty. Skonstatował zdziwiony, że panująca dokoła cisza powinna go niepokoić. W Glay zawsze panowała cisza w pobliżu sklepu z bronią.

Wzrastało w nim poczucie osobistej straty i rozterka. Co teraz robić?

Wiedziony impulsem spróbował otworzyć drzwi. Były solidne i niewzruszone.

Ponownie zawrócił i tym razem dotarł do ulicy.

Stał na wysepce bezpieczeństwa niezdecydowany, jaki przycisk nacisnąć.

Powrócił myślami do godzin spędzonych z Lucy, które wydały mu się teraz

ciekawym

wydarzeniem

w

czasoprzestrzeni.

Poczuł

rozczarowanie

wspominając, jak bezbarwna była ich rozmowa. Z wyjątkiem pewnej

bezpośredniości i zdecydowania, jej słowa nie pozostawiły jakichś

oszałamiających wspomnień.

- To jest to - pomyślał sobie. - Kiedy dziewczyna toleruje nudnego gościa,

znaczy, że coś do niego czuje.

Jakiś wewnętrzny przymus przybrał na sile, a chęć działania pomagała poukładać plany, skłaniając do szybkich decyzji. Sklep z bronią, hazard, a potem Kwatera Okręgowa Armii pod dowództwem pułkownika Medlona. Jeden tydzień, pomyślał. Sklep z bronią musiał być pierwszy, ponieważ przybytki takie nie otwierały się dla agentów cesarstwa, bez względu na to, czy byli żołnierzami, czy też pracownikami rządu.

Nie mógł dłużej zwlekać. Nacisnął guzik sprowadzając autolot zmierzający do Okręgu numer 19.

Minutę później był już w drodze.

## **Rozdział 7**

Kwatera główna 19. Okręgu mieściła się w starym, wyobrażającym wodospad, budynku. Marmurowe strugi tryskały z ukrytych zaułków, stopniowo łącząc się w jedną całość.

Nie był to duży budynek, lecz na tyle imponujący, aby zmusić Cayle'a do zatrzymania się. Piętnaście pięter z biurami pełnymi terkoczących automatów i urzędników robiło spore wrażenie. Nie wyobrażał sobie czegoś takiego po spotkaniu z pijanym mężczyzną.

Tablica informacyjna podawała funkcje cywilne i wojskowe. Cayle przypuszczał, że znajdzie pułkownika Medlona gdzieś pod tabliczką: BIURA PERSONELU. Ostatnie kondygnacje.

Pod spodem dostrzegł informację: „Bezpieczne przejście do ruchomych schodów na najwyższe piętra w recepcji na piętnastym piętrze”.

W recepcji zapisano jego nazwisko, lecz dopiero po dłuższej konsultacji

mężczyzna dołączył je do przekaźnika i przesłał do sprawdzenia władzom wewnętrznego biura. W drzwiach pojawił się oficer w średnim wieku w mundurze kapitana. Spojrzał gniewnie na Cayle'a.

- Pułkownik nie lubi młodych mężczyzn - odezwał się opryskliwie. - Kim jesteś?

Nie brzmiało to obiecująco. Cayle poczuł jednak, jak narasta w nim upór.

Długie doświadczenie w potyczkach z ojcem sprawiło, że powiedział beznamiętnym głosem:

- Spotkałem pułkownika Medlona wczoraj podczas lotu do Cesarskiego Miasta. Nalegał, abym przyszedł się z nim zobaczyć. Gdyby był pan tak miły i poinformował go, że jestem...

Kapitan mierzył go wzrokiem przez dobre pół minuty. Następnie bez słowa powrócił do gabinetu. Wkrótce wyłonił się kręcąc głową, lecz powiedział już nieco bardziej przyjaznym tonem:

- Pułkownik mówi, że cię nie pamięta, ale poświęci ci minutkę. - Zniżył głos do szeptu. - Czy był... hm, hm... pod wpływem?

Cayle skinął głową. Zabrakło mu śmiałości, by się odezwać. Kapitan powiedział niskim głosem:

- Wejdź do środka i naciskaj go, ile tylko się da. Jakaś bardzo ważna osobistość dzwoniła dzisiaj do niego dwukrotnie i ciągle go nie było. Teraz zdenerwował się twoją obecnością. Strasznie się boi tego, co mówi, kiedy jest pod wpływem. Nie ośmiela się wypić ani kropli tu w mieście, wiesz jak to jest.

Cayle podążył za kapitanem. W umyśle formował mu się kolejny obraz świata Isher. Oto niższy rangą oficer zdawał się mieć chrapkę na stanowisko



swego przełożonego.

Zapomniał o tym, kiedy zszedł z ruchomych schodów. Zastanawiał się z niepokojem i napięciem, czy jest w stanie przejąć kontrolę nad sytuacją.

Ogarnęło go ponure przeczucie niepowodzenia. Ale gdy rzucił spojrzenie mężczyźnie, który siedział za dużym stołem w rogu obszernego pokoju, wszelka obawa, że zostanie wyrzucony z siedziby 19. Okręgu wyparowała równie szybko jak się pojawiła.

Miał przed sobą tego samego faceta co w samolocie, lecz jakby skurczonego. Twarz, wcześniej nabrzmiała od alkoholu, wydawała się teraz mniejsza. Pułkownik w zamyśleniu stukał nerwowo palcami w blat biurka.

- Może pan nas zostawić, kapitanie - przemówił głosem spokojnym i autorytatywnym.

Kapitan odszedł w skupieniu. Cayle usiadł.

- Przypominam sobie twoją twarz - rzekł Medlon. - Przepraszam, chyba trochę wypilem. - Roześmiał się fałszywie.

Cayle pomyślał, że to, co mężczyzna powiedział wcześniej o cesarzowej, musi być wielce niebezpieczne dla człowieka na tym stanowisku.

- Nie odniosłem wrażenia, że coś jest nie tak. - Zawahał się. - Chociaż, jak się tak dobrze zastanowić, może był pan zbyt otwarty w swych zwierzeniach. -

Przerwał ponownie. - Sądziłem, że to pańska pozycja pozwala wyrażać otwarcie tak zdecydowane poglądy.

W pokoju zapanowała cisza. Cayle miał czas, aby ostrożnie sobie pogratulować, nie stwarzając jednocześnie żadnych iluzji. Ten człowiek nie zaszedłby tak daleko, gdyby był lękliwy i tępy.

- Hm... - mruknął wreszcie pułkownik Medlon - co to... hm...

postanowiliśmy?

- Między innymi - odparł spokojnie Cayle - powiedział mi pan, że rząd potrzebuje oficerów i zaoferował mi pan patent.

- Nie przypominam sobie - Medlon pokręcił głową - żebym składał taką propozycję. - Zdawało się, że spina się wewnątrz. - Jakkolwiek, jeśli to prawda, muszę z wielkim żalem poinformować pana, że nie posiadam kompetencji upoważniających mnie do mianowania pana oficerem. Patenty oficerskie nadawane są zgodnie ze standardowymi procedurami, które całkowicie wykraczają poza moje uprawnienia. A jako że te stanowiska spotykają się z wielkim poważaniem, rząd już od dawna traktuje je jako źródło dodatkowych przychodów i zwrotu kosztów. Dla przykładu, stopień porucznika kosztowałby pana pięć tysięcy kredytów, nawet z moją protekcją. Stopień kapitana wymagałby piętnastu tysięcy kredytów, co w przypadku tak młodego wieku jest dość trudne do osiągnięcia i...

Cayle słuchał z rosnącym przygnębieniem. Analizując wypowiedziane przez siebie słowa dochodził do wniosku, że zrobił co mógł w tej sytuacji. Po prostu nie dało się wykorzystać niedyskrecji Medlona.

- Ile kosztuje stopień pułkownika? - zapytał z krzywym uśmiechem.

Oficer roześmiał się rubasznie.

- Młody człowieku - powiedział jowialnie - za to nie płaci się pieniędzmi.

Cenę pobiera się z sumienia, jedna czarna plamka za każdym razem.

Przerwał, po czym warknął zapalczywie.

- A teraz posłuchaj. Przykro mi, jeżeli wczoraj zbyt swobodnie szafowałem

patentami Jej Cesarskiej Mości, ale rozumiesz, jak sprawy się mają. A żeby udowodnić, że nie postępuję jak bukmacher oszukujący klientów, nawet wtedy, gdy nie zachowuję się w sposób hmm... odpowiedni, powiem ci, co zrobimy. Przyniesiesz tu pięć tysięcy kredytów, jak ci będzie pasowało, powiedzmy... w ciągu dwóch tygodni, a ja zagwarantuję ci patent oficera. Co ty na to?

Dla człowieka, którego majątek nie przekraczał czterdziestu kredytów, ta propozycja wydawała się co najmniej nierealna. Jeśli cesarzowa faktycznie zakazała sprzedawania patentów oficerskich, rozkaz ten został całkowicie zignorowany przez zepsutych podwładnych.

A zatem ani ona, ani jej doradcy nie posiadali nieograniczonej władzy.

Zawsze sądził, że tylko sklepy z bronią blokowały w pewien sposób jej rządy.

Lecz sieć, w którą została schwytana, była bardziej szczelna. Szerokie rzesze ludzi, wypełniających jej wolę, realizowały bez skrupułów własne gierki i pragnienia, oddając się ich urzeczywistnieniu z większym poświęceniem niż służbie kobiecie, której poprzysięgli wierność.

Pułkownik zaczął przerzucać papiery na biurku. Audiencja dobiegła końca.

Cayle właśnie otwierał usta, by powiedzieć coś na zakończenie, kiedy na ścianie za Medlonem zamrugał telestat. Na ekranie pojawiła się twarz kobiety.

- Pułkowniku - odezwała się ostro - gdzie się, u diabła, podziewałeś?

Oficer zeszywniał i odwrócił się z trudem, bardzo powoli. Cayle nie musiał widzieć zaniepokojenia swego rozmówcy, żeby zdać sobie sprawę, kim jest owa kobieta.

Patrzył na cesarzową Isher.

## **Rozdział 8**

Cayle automatycznie wstał z krzesła. Świadomość, że jest tu intruzem, była dostatecznym powodem do takiej reakcji. Znajdował się w połowie drogi do drzwi, kiedy zauważył, że kobieta obserwuje go bacznie.

- Pułkowniku - wybąkał - dziękuję za przyjemność...

Własny głos zabrzmiał strasznie w jego uszach, więc Cayle przerwał zawstydzony. I wtedy poczuł zwątpienie, brak wiary w to, że jest częścią tego wydarzenia. Popatrzył na kobietę wzrokiem, który przez moment kwestionował jej tożsamość. W tej samej chwili dotarł do niego głos Medlona:

- To wszystko, panie Clark - powiedział pułkownik zbyt głośno. Natężenie tego głosu wyrwało Cayle'a z zamyślenia. Był wciąż zawstydzony swoim zachowaniem, lecz wstyd ten wiązał się z czymś, co zdarzyło się wcześniej.

Przed oczami stanął mu niespodziewanie własny obraz. Wysoki i dobrze ubrany mężczyzna stojący przed cesarzową Isher, dobrze prezentujący się obok zniszczonej alkoholem karykatury człowieka. Clark spojrział na twarz w stacie. Powieki mu nie drgnęły. Skłonił się lekko, instynktownym ruchem i poczuł się nieco lepiej.

Teraz już nie miał wątpliwości co do jej osoby. Dwudziestopięcioletnia cesarzowa Innelda nie była najpiękniejszą kobietą świata. Ta pociągła, szczególnie twarz ozdobiona zielonymi oczami miała wszelkie cechy właściwe rodzinie Isher. I jakiegokolwiek wątpliwości nie wchodziły nawet w rachubę.

Głos, kiedy ponownie się odezwała, był głosem znanym każdemu ze staty.

Jednak słowa skierowane bezpośrednio do niego brzmiały zupełnie inaczej.

- Jak się nazywasz, młody człowieku?

Medlon odpowiedział za niego napiętym, lecz spokojnym głosem.

- To mój znajomy, wasza wysokość. - Zwrócił się do Cayle'a: - Żegnam,

panie Clark. Miło było z panem rozmawiać.

- Pytałam, jak się nazywasz. Kobieta zignorowała pułkownika. Cayle

skurczył się w sobie pod wpływem pytania skierowanego bezpośrednio do niego. Przedstawił się pośpiesznie.

- W jakim celu przyszedłeś do biura Medlona?

Cayle uchwycił napięty wzrok mężczyzny, starający się ściągnąć jego

uwagę. Odległa część umysłu podziwiała umiejętne lawirowanie oficera, lecz

teraz podziw zbladł. Medlon był wyraźnie spanikowany. Gdzieś w głębi duszy

Cayle'a rozkwitła nadzieja. Odezwał się:

- Dowiadywałem się o możliwość otrzymania patentu oficera w zbrojnym  
siłach waszej wysokości.

- Tak myślałam - odparła cesarzowa, po czym umilkła.

W zadumie przeniosła wzrok z Cayle'a na Medlona. Delikatnie opalona

skóra kobiety pobłyskiwała świetlnymi refleksami. Głowę trzymała dumnie

uniesioną. Wyglądała na młodą, pełną energii i życia. Po chwili udowodniła, jak

dobrze potrafi radzić sobie z mężczyznami. Zamiast zadać Cayle'owi następane

pytanie, zwróciła się do

Medlona:

- A mogę zapytać, pułkowniku, jak brzmiała twoja odpowiedź. Oficer,

wciąż sztywny, ociekał potem, lecz odezwał się spokojnym, nawet odrobinę

jowialnym głosem:

- Poinformowałem go, wasza wysokość, że załatwienie patentu

oficerskiego zajmie około dwóch tygodni. - Roześmiał się rubasznie. - A jak ci z

pewnością wiadomo, należy wziąć pod uwagę biurokrację.

Cayle płynął na fali, unoszony coraz wyżej. Nagle dostrzegł szansę dla siebie. Poczuł nienaturalny podziw dla cesarzowej, tak bardzo różniła się od wizerunku, jaki przez lata powstawał w jego umyśle. Zdumiało go, że powstrzymywała się przed wprawieniem w zakłopotanie jednego ze swych oficerów przyłapanych na krętactwie.

Nie wyeliminowało to jednak sarkazmu z jej głosu. - Tak pułkowniku, wiem o tym doskonale. To całe czcze gadanie jest mi dobrze znane. - Sarkazm ustąpił miejsca pasji. - Tak czy inaczej młodzi mężczyźni, którzy zwykle wkupują się do armii, słyszeli, że coś się dzieje i dlatego nie wychylają się zbyt. Zaczynam podejrzewać istnienie spisku ze sklepami z bronią, mającego na celu zniechęcenie tych niewielu prawych.

Oczy z telestatu rozbłysły zielonym płomieniem. Gniew bił ze szczupłej twarzy, a wszelkie zahamowania zniknęły. Cesarzowa zwróciła się do Cayle'a. - Cayle'u Clarku - rzekła dźwięcznym głosem - Ile miałeś zapłacić za swój patent?

Cayle zawahał się. Ciemne oczy Medlona wyglądały strasznie, a szyja wydawała się nienaturalnie skręcona. Przesłanie czające się w tym nienormalnym wzroku nie musiało wyrażać się w słowach. Pułkownik żałował wszystkiego, co dotychczas powiedział przyszłemu porucznikowi cesarskiej armii.

Jawność tych myśli przyprawiła Cayle'a o obrzydzenie. Nigdy wcześniej nie doświadczył uczucia, że jakiś człowiek jest całkowicie zdany na jego łaskę. Ciężar tej świadomości sprawił, że Cayle skurczył się w sobie ze strachu. Nagle

zabrakło mu ochoty na dalszą dyskusję.

- Wasza wysokość - zaczął spiętym głosem - spotkałem wczoraj pułkownika Medlona na międzystanowym i zaferował mi patent oficerski bez dodatkowych zobowiązań.

Poczuł się zdecydowanie lepiej. Dostrzegł, jak oficer rozluźnia się, a kobieta uśmiecha przyjemnie.

- No cóż, pułkowniku - odezwała się - miło mi to słyszeć. A ponieważ odpowiada to w satysfakcjonujący sposób temu, o czym miałam z tobą rozmawiać, proszę przyjąć moje gratulacje. To wszystko.

Ekran zgasł z cichym kliknięciem. Pułkownik Medlon zatopił się powoli w fotelu. Cayle uśmiechając się podszedł do biurka. Oficer odezwał się wyważonym głosem:

- Miło było cię poznać młodzieńcze, ale jestem bardzo zajęty. Oczywiście, mam nadzieję, że zobaczę cię za dwa tygodnie z pięcioma tysiącami. Żegnam.

Cayle nie poruszył się od razu, lecz gorycz porażki zdążyła go już dopaść.

Z zakamarków umysłu nadeszła świadomość, że właśnie stracił nieprawdopodobną okazję. Zaprzepaścił ją przez swoją słabość. Wierzył, że niemoralna kanalia okaże wdzięczność. Dostrzegł, że pułkownik, który wydawał się teraz całkiem beztroski, obserwuje go z rozbawieniem.

- Cesarzowa nie rozumie problemu związanego ze zlikwidowaniem systemu opłacanych patentów. - Medlon wzruszył ramionami. - Ja nie mam z tym nic wspólnego. Nie mogę tego zmienić, tak jak nie mogę sobie poderżnąć gardła. Ktokolwiek chciałby to uciąć, zniszczyłby samego siebie. - Zawahał się.

Na jego twarzy pojawiła się wzgarda. - Przyjacielu, mam nadzieję, że była to dla

ciebie lekcja ekonomii. No cóż, życzę miłego dnia - zakończył oschle.

Cayle postanowił, że nie zrobi mu krzywdy. Znajdowali się w wojskowym gmachu, a nie chciał ryzykować aresztowania za napad, nie mając możliwości odpowiedniej samoobrony. Umieścił pułkownika w pamięci do późniejszych porachunków.

Ciemności skryły miasto rodziny Isher, kiedy wreszcie wyłonił się z siedziby Okręgu. Spojrzał w górę na zimne, mocno usadzone na niebie gwiazdy, przebijające się poprzez mgłę reklam. Poczuł się prawie jak u siebie w domu. W labiryncie życia zaczynał dostrzegać drogę, jaką musi podążać. I zdawało mu się, że poradził sobie całkiem nieźle, wzięwszy pod uwagę swoją ignorancję. Pobliskie chodniki zaczęły parować słonecznym ciepłem, zaabsorbowanym w ciągu dnia. Miasto rozjaśniło się w miarę jak niebiosy ciemniały. Z każdym kolejnym krokiem Cayle nabierał pewności siebie. Postąpił słusznie atakując Fokę bez względu na ryzyko. Zrobił dobrze nie zdradzając poczynań Medlona. Foka był sobie sterem i okrętem, dokładnie tak jak on, i szczerze mówiąc nikogo nie obchodziło, co się z nim stało. Ale pułkownik mógł powołać się na moc prawa Isher. Dopiero rankiem Cayle zamierzał powrócić na Aleję Szczęścia. Teraz jednak, kiedy wydawało mu się, że uporał się z wewnętrznymi rozterkami, zmienił zdanie. Gdyby udało mu się wygrać pięć tysięcy kredytów i kupić patent, skarby Isher zaczęłyby napływać do niego strumieniami. No i Lucy Rall - nie wolno mu zapominać o Lucy. Nawet jeden dzień wydawał się zbyt długi.

## **Rozdział 9**

Cayle musiał się ostro przepychać przez tłum, aby wejść do Pałacu



Grosika. Liczba chętnych tylko go zachęciła. W masie spragnionych pieniędzy istot będzie wyglądał jak kawałek drewna dryfujący na niezmiernym oceanie.

Nie wahał się. Już wcześniej przyjrzał się poszczególnym grom i teraz skierował się prosto do tej, którą wybrał. Za wszelką cenę chciał zająć dogodne miejsce i utrzymać je.

W tej grze płacono najwyższe stawki sto do jednego, a najniższe pięć do jednego. Zasada była stosunkowo prosta, chociaż Cayle, który wiedział co nieco o energii zdobywając od piętnastego roku życia doświadczenie w sklepie ojca, zdawał sobie sprawę, że za pozorną powolnością kryła się elektroniczna zawłość. Rdzeń stanowiła kulka mocy; miała mniej więcej dwa i pół centymetra średnicy i toczyła się w przypadkowy sposób wewnątrz większej plastikowej kuli. Poruszała się coraz szybciej, aż prędkość przełamywała opór materii.

Wtedy kulka stawiała się czystą siłą i przenikała poza bariery swego więzienia.

Wypadała poza plastik, nie napotykając widocznego oporu, niczym strumień światła, uwięziony w niewidocznej klatce przez nienaturalne prawo fizyki.

A jednak w momencie uwolnienia traciła wigor. Zmieniała kolor subtelnie i szybko, po czym zwalniała. Prędkość ucieczki wynosiła wiele kilometrów na sekundę, lecz zetknięcie z odmiennym otoczeniem zatrzymywało kulkę po kilkudziesięciu centymetrach.

Zaczynała spadać. Do chwili upadku, tuż przed zetknięciem z blatem stołu wywoływała iluzję wszechobecności. Iluzja całkowicie korelowała z umysłami graczy, będąc efektem olbrzymiej prędkości i halucynacji. Każdemu z uczestników gry towarzyszyło przekonanie, że kula leci wprost na niego, i że spadnie do kanału, który to właśnie on zaktywował. Za każdym razem

większość hazardzistów spotykało rozczarowanie, kiedy kula, po wypełnieniu misji, wpadała do cudzej przegrody.

Podczas pierwszej gry Cayle zdobył trzydzieści siedem kredytów. Zagarnął wygraną siląc się na obojętność, lecz szok związany ze zwycięstwem przeniknął nerwy wyrażając się podekscytowaniem. Umieścił po kredycie w każdym kanale i przegrał, po czym postawił na te same numery i wygrał dziewięćdziesiąt kredytów. W ciągu następnej godziny wygrywał średnio raz na pięć razy. Zauważył, że hit szczęścia zmienił się w świetną passę. Na długo przed upływem godziny ryzykował stawiając dziesięć kredytów w wybranych kanalikach.

Ani razu nie miał możliwości przeliczenia pieniędzy. W przerwach rzucał pełną garść bilonu do automatycznego wymiennika i otrzymywał banknoty o wysokich nominałach, które następnie wciskał do wewnętrznej kieszeni. Ani razu nie naruszył rezerwy. Po chwili pomyślał w panice: „Chyba mam trzy, może cztery tysiące kredytów. Najwyższy czas przestać. Nie muszę koniecznie wygrać całych pięciu tysięcy w jedną noc. Mogę wrócić jutro i pojutrze, i następnego dnia”.

Zmyliło go tempo gry. Za każdym razem, kiedy nadchodziła refleksja, że czas przerwać, kula zaczynała wirować i znów pospiesznie wrzucał pieniądze do kanalików. Przegrana irytowała, rozbudzając zdeterminowaną chciwość. Gdy wygrywał, wydawało mu się absurdem przerywać ten najbardziej zdumiewający łańcuch szczęścia, o jakim kiedykolwiek mógł marzyć. Zaczekał, powiedział do siebie, aż przegrasz dziesięć razy z rzędu... dziesięć razy... dziesięć... Od czasu do czasu upojony swym fartem zerkał na banknoty

czterdzieści- albo pięćdziesiąt tysięcy, które wepchnął wcześniej do bocznej kieszeni. Inne kieszenie pękały już w szwach, a on nieustannie rzucał duże sumy do różnych kanałów. Ile? Nie pamiętał. Nie miało to zresztą znaczenia. Maszyna zawsze liczyła dokładnie i płaciła odpowiednie wygrane.

Kołysał się jak pijany. Miał wrażenie, że unosi się ponad podłogą. Grał dalej jakby w amoku, prawie niepomny obecności innych graczy. Powoli docierało do niego, że coraz więcej z nich ruszyło tym samym szczęśliwym torem, wywołując jego numery w swych własnych kanałach. Lecz to było bez znaczenia. Nie mógł otrząsnąć się z otępienia, dopóki kulka nie opadła jak martwa w swej klatce. Stał nieruchomo czekając na rozpoczęcie gry, nieświadom, że to on ma coś wspólnego z jej przerwaniem, aż zobaczył, jak z kłębowiska ludzi wyłania się pulchniutki, ciemny mężczyzna.

Nieznajomy odezwał się ze służalczym uśmiechem: - Gratulacje, młody człowieku, witamy w naszych progach. Radujemy się wraz z tobą. A dla wszystkich pozostałych pań i panów mamy złe wieści. Reguły obowiązujące w naszym pałacu, widoczne na tablicach informacyjnych w budynku, nie zezwalają na jeźdźców szczęścia, jak ich nazywamy. Łut szczęścia tego młodego człowieka zdążył się tu utrwalić. A zatem, wszystkie inne zakłady należy stawiać zanim „zwycięzca” dokona swego wyboru. Ta maszyna działa właśnie w taki sposób. Nie czujcie się więc rozczarowani obstawiając w ostatniej chwili. A teraz życzę wam wszystkim szczęścia, a w szczególności tobie, chłopcze.

Odszedł ciężkim krokiem, z uśmiechem przyklepionym do okrągłej twarzy.

W chwilę później kulka znów wirowała.

Podczas trzeciej gry Cayle pomyślał niespodziewanie: „No, cóż, jestem w centrum uwagi”. Zdumiał się. Otrząsnął się z zapomnienia, w które chciał umknąć przed niebezpieczeństwem. „Lepiej jak wymknę się stąd możliwie szybko”, pomyślał.

Odwrócił się od stołu i wtedy jakaś ładna dziewczyna zarzuciła mu ręce na szyję, przytuliła się mocno całym ciałem. Poczul gorące usta na swoich wargach.

- Och, proszę, daj mi trochę szczęścia. Proszę, proszę. Wyplątał się z objęć zapomniawszy o swoim zamiarze. Co ja chciałem zrobić? Zastanawiał się intensywnie, obstawiając w kilku kolejnych zakładach. Uświadomił sobie, że do stołu przybywało coraz więcej nowych graczy, czasami siłą odpychając mniej zaradnych i zdecydowanych. W pewnym momencie, kiedy zauważył jak szczególnie brutalnie odciągnięto protestującego mężczyznę, w głowie zaświtała mu myśl, że dziesiątki ciekawych oczu bacznie go obserwują.

Za nic nie mógł sobie przypomnieć, co miał zamiar zrobić. Miał wrażenie, że otacza go mnóstwo kobiet, klejących się do niego, całujących kiedy próbował odwrócić głowę. Czuł w powietrzu przytłaczający zapach perfum.

Nie mógł się poruszyć, by nie dotknąć gołej skóry, obnażonych ramion i pleców. Kobiety w sukienkach z głęboko wyciętymi dekoltami wabiły go miękkimi, silnie pachnącymi piersiami.

Noc i szczęście trwały bez końca. Czuł podświadomie, że za bardzo go to upaja, zbyt duży aplauz towarzyszy każdemu obrotowi, każdej wygranej. Czy wygrywał, czy nie, kobiety rzucały mu się w objęcia, pocałunkami wyrażając współczucie lub radość. Dzika muzyka grała w tle. Miał dwadzieścia trzy lata i

takie pobudzenie wszystkich zmysłów przytępiło poczucie ostrożności. Kiedy wygrał niezliczone tysiące kredytów, drzwi Pałacu zamknęły się i okrągły mężczyzna podszedł do niego.

- No dobra, dosyć tego - rzucił szorstko. - Wyrzuciliśmy nieznajomych, więc możemy skończyć ten nonsens.

Cayle utkwił w nim nierozumiejący wzrok, a czujnik zagrożenia w jego mózgu zaczął tykać tak głośno, aż huczało mu w głowie.

- Chyba - wybąkał - pójdę do domu. Ktoś rąbnął go mocno w twarz.

- Poprawcie - odezwał się tłusty jegomość. - Wciąż buja w obłokach.

Drugi cios był silniejszy. Cayle wyszedł z mgły zdając sobie nagle sprawę, że znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

- Co tu się dzieje? - wyjąkał. Zwrócił oczy ku ludziom, którzy jeszcze kilka minut temu bili mu brawo. Ich obecność stłumiła w nim konieczność zachowania ostrożności. Kiedy go otaczali, nie myślał o niebezpieczeństwie.

Odwrócił się do grubego mężczyzny i zesztynniał unieruchomiony przez szorstkie dłonie. Inne, jeszcze bardziej brutalne zanurzyły się w kieszeniach ubrania, uwalniając go od wygranej. Usłyszał słowa grubasa dochodzące z wielkiej odległości:

- Nie bądź naiwny. W tym, co się zdarzyło, nie ma niczego niezwykłego.

Wszyscy stali gracze zostali wyrzuceni. Nie tylko z gry, ale z budynku. Te setki ludzi wynajmuje się na takie okazje. Kosztują nas dziesięć kredytów od łebka.

To w sumie tylko dziesięć tysięcy, a ty wygrałeś coś między pięćdziesiąt a sto razy więcej. - Wzruszył ramionami. - Ludzie nie znają się na ekonomii.

Następnym razem powstrzymaj swoją chciwość. - Uśmiechnął się obleśnie. - To

znaczy, jeżeli będzie następny raz.

Cayle w końcu odzyskał język w gębie.

- Co zamierzasz zrobić?

- Zobaczysz. - Gruby jegomość podniósł głos. - No dobra, chłopaki,

zabierzcie go do transportowca i otwieramy interes.

Popchnięto Cayle'a przez pokój i wrzucono do ciemnego korytarza.

Pomyślał rozpaczliwie, że znowu inni decydowali o jego losie.

# Interludium

McAllister, reporter z roku 1951, zdał sobie sprawę, że leży na chodniku.

Wstał. Obserwowała go grupa zaciekawionych osób. Zniknął park, nie było też fantastycznego miasta z przyszłości. Był natomiast rząd jednopiętrowych sklepików tworzący nudny wzór po dwóch stronach ulicy. Z mgły dźwięków doleciał go męski głos.

- Jestem pewien, że to ten reporter, który wszedł do sklepu z bronią.

A zatem powrócił do swoich czasów. Możliwe, że nawet do tego samego dnia. Kiedy oddalał się powoli, ten sam przenikliwy głos powiedział:

- Wygląda jakby był chory. Ciekaw jestem, co...

Więcej nie słyszał. Chory! Ci ludzie nigdy nie rozumieją, jak bardzo chory. Lecz gdzieś na Ziemi z pewnością żyje naukowiec, który mu pomoże.

Rzeczywistość świadczyła, że McAllister nie eksplodował.

Szedł szybkim krokiem pozostawiając daleko za sobą tłum. Tylko raz odwrócił się i dostrzegł, że ludzie rozchodzili się w bezładzie

charakterystycznym dla gapiów, którzy stracili obiekt zainteresowania. Skręcił za rogiem i zapomniał o nich.

„Muszę podjąć decyzję”.

Słowa rozbrzmiały głośno i blisko. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że sam je wypowiedział.

Podjąć decyzję? Nie uważał, by sytuacja, w jakiej się znalazł, wymagała podjęcia decyzji. Oto był tutaj. Jeśli znalezienie naukowca było decyzją, to już ją podjął. Pozostawała tylko kwestia kto? Pamięć przywiodła mu starego profesora fizyki z miejskiego koledżu. Automatycznie skręcił ku budce

telefonicznej i zaczął szukać monety. Z chorobliwym poczuciem klęski przypomniał sobie, że ma na sobie ochronny, przezroczysty kombinezon. Pieniądze znajdowały się kieszeni marynarki. Cofnął się, po czym przystanął wstrząśnięty. Co się dzieje? Noc, wspaniałe połyskujące miasto. Stał na bulwarze sprawiającym wrażenie usianego klejnotami. Ulica płonęła delikatnym światłem, które jak rzeka wiło się w blasku słońca.

Szedł przed siebie, zatraciwszy poczucie czasu, zwalczając natrętne myśli, które w końcu przebiły się do świadomości. Czy znowu była to epoka Isher i producentów broni? Istniało takie prawdopodobieństwo. Wyglądało, że sprowadzili go z powrotem. Mimo wszystko nie są zli i uratowaliby go, gdyby tylko mogli. Z tego co wiedział, w ich czasie upłynęło wiele tygodni. Zaczął się spieszyć. Znaleźć sklep z bronią. McAllister zawołał za przechodzącym obok mężczyzną. Ten przystanął z ciekawością, odwrócił się, a następnie poszedł dalej swoją drogą. Reporterowi pozostał w pamięci obraz ciemnych, wyrazistych oczu i podświadomie przypisał je do osoby idącej do cudownego domu przyszłości. To właśnie kazało mu stłumić pragnienie pogoni.

Później zdał sobie sprawę, że popełnił błąd, ponieważ była to ostatnia istota, jaką ujrzał na cichych, opustoszałych ulicach. Musiało być tuż przed świtem i ludzie siedzieli w domach. Co dziwne, to nie brak ludzi go niepokoił. Niepokoił go brak sklepu z bronią.

Nadzieja, iż jest znowu w przyszłości, odżyła. Wkrótce nastanie ranek, ludzie wyjdą z tych dziwnych, jaśniejących domów. Wielcy uczeni wieku naukowców-czarodziejów przebadają go. I to nie w szalonym pośpiechu, ze strachem destrukcji wiszącym nad głowami, lecz spokojnie, w normalności



superlaboratoriów. Wyobrażenie dobiegło kresu. Poczł zmianę. Znajdował się w centrum oślepiającej burzy śnieżnej. Zachwiał się od potężnego, nieoczekiwanego podmuchu wiatru. Siłą woli starał się za wszelką cenę odzyskać psychiczny i fizyczny spokój.

Lśniące, cudowne nocne miasto zniknęło. Zniknęła również płonąca droga.

Zniknęło wszystko przeistaczając się w śmiertelne pustkowie dzikiego świata.

Spojrzał przez wirujący śnieg. Nastął dzień i jakieś piętnaście metrów dalej mógł dostrzec zamglone cienie drzew targanych śnieżną zamiecią.

Instynktownie ruszył w kierunku tego naturalnego schronienia i przystanął osłonięty przed napierającym wichrem.

Pomyślał: „W jednej chwili w odległej przyszłości, a w następnej - gdzie?”

Na pewno nie było tu żadnego miasta. Widział jedynie drzewa nie zamieszkanego lasu oraz ostrą, pradawną zimę. Jak długo tam stał, wystawiony na chłostające podmuchy i szalejącą zamieć? Nie wiedział. Miał jednak dość czasu na tysiące myśli i na uświadomienie sobie, że kombinezon chroni go przed zimnem.

Gdy sobie to uzmysłowił, burza śnieżna zniknęła. Drzewa też. McAllister stał na piaszczystej plaży. Przed nim rozpościerało się błękitne, skąpane w słońcu morze wdzierające się do zrujnowanych, białych budynków. Daleko, na porośniętych chwastami wzgórzach, wznosiły się ruiny niegdyś olbrzymiego miasta. Ponad wszystkim unosiła się aura przemijania, a ciszę przerywał jedynie delikatny, ponadczasowy plusk fal.

Nastąpiła kolejna zmiana. Mimo że tym razem był na to przygotowany, dwukrotnie zanurzył się pod powierzchnią szerokiej rwącej rzeki, która znosiła

go coraz dalej. Płynął z trudem, lecz kombinezon z każdą sekundą napelniał się powietrzem. Po chwili McAllister z pełną świadomością zaczął kierować się ku brzegowi porośniętemu drzewami, jakieś trzydzieści metrów na prawo. Nagła myśl sprawiła, że przestał płynąć. Jaki to ma sens! Prawda była równie prosta jak straszliwa. Nieustannie przenosił się z przeszłości do przyszłości. Był ciężarkiem na długim ramieniu energetycznej huśtawki i za każdym razem przemieszczał się w czasie. Tylko to mogło wytłumaczyć szokujące obrazy, jakich był świadkiem. Za godzinę zajdzie kolejna zmiana.

Nadeszła. Leżał twarzą w dół na zielonej trawie. Kiedy podniósł wzrok, dostrzegł na horyzoncie sześć niskich budynków. Wyglądały obco, nieludzko. Lecz nie interesowała go ich konstrukcja. Był ciekaw, jak długo przebywa w każdym z czasów?

Patrzył na zegarek; dwie godziny i czterdzieści minut. To była ostatnia rzecz, jakiej usiłował dociec. Po czym okres po okresie, w miarę ruchu huśtawki pozostawał w jednej pozycji w wodzie czy na lądzie, nie robiło mu to różnicy. Nie walczył z tym. Nie wykonywał żadnych ruchów. Przeszłość... przyszłość... przeszłość... przyszłość...

Reakcje i myśli McAllistera zamknęły się dla otaczającej go i zmieniającej się rzeczywistości. Towarzyszyło mu niejasne uczucie, że powinien zrobić coś, sam ze sobą. Gdzieś w zakamarkach umysłu majaczyło mu, iż powinien podjąć jakąś konkretną decyzję, ale w najmniejszym stopniu nie pamiętał, czego by miała dotyczyć.

Z pewnością producenci broni zyskali niezbędny czas. Na drugim końcu szalonej huśtawki stała maszyna, której żołnierze Isher używali jako siły

aktywacyjnej. Ona również przechylała się ku przeszłości, by potem znaleźć się w przyszłości, i tak było na przemian.

Ale ta decyzja. Naprawdę będzie musiał o tym pomyśleć...

## Rozdział 10

Dziesięć minut przed północą, 16 lipca 4748 roku Isher otworzyły się drzwi do Departamentu Koordynacji Producentów Broni w hotelu Royal Ganeel. Robert Hedrock kroczył szerokim, jasnym i bardzo długim korytarzem.

Poruszał się z kocią czujnością, lecz w rzeczywistości nie skupiał uwagi na otoczeniu.

Ponad rok temu starał się o członkostwo, podając jako powód

przewidywany przez niego kryzys w stosunkach pomiędzy rządem a sklepami z

bronią. Opowiedział się oczywiście po stronie sprzedawców broni. Papiery miał

w porządku. Maszyna P p wykazała tak wysokie oceny zarówno w kategorii

umysłowej, fizycznej i moralnej, że jego podanie natychmiast przekazano pod

rozważenie Radzie Wykonawczej. Hedrock od początku pełnił szczególne funkcje,

a praca w dziale koordynacji była kolejnym etapem na drodze do władzy.

Zdawał sobie sprawę, że kilku członków Rady i urzędników zajmujących

wysokie stanowiska uważało jego karierę za zbyt błyskotliwą i nie leżącą w

interesie sklepów z bronią. W oczach niektórych osób Hedrock był postrzegany

jako postać tajemnicza, chociaż krytycy nie używali w stosunku do niego

niepochlebnych określeń. Szczerze mówiąc nikt nie kwestionował werdyktu

maszyny P p, co czasami go zdumiewało. Postanowił uważniej zbadać tę

ulepszoną wersję multikomputera, aby odkryć, dlaczego zwykle sceptyczni

ludzie bez sprzeciwu akceptowali te werdykty.

Hedrock bez trudu wprowadził maszynę w błąd, opowiadając skrupulatnie spreparowaną historię.

Co prawda posiadał szczególną kontrolę nad swym umysłem i ponadprzeciętną techniczną wiedzę o reakcjach maszyn na procesy biologiczne. Jednakże fakt przyjaznego nastawienia do sklepów z bronią nie pozostawał bez znaczenia. Powiedziano mu, że maszyna P p posiada unikatową wrażliwość pozwalającą na rozpoznawanie ukrytej wrogości, podobnie jak drzwi sklepów z bronią. Jej podstawowa struktura zawierała procesor wbudowany również w każdą broń, pozwalający rozpoznawać i odpowiednio reagować. Subtelne, wyostrzone, elektroniczne zmysły dostrzegały najmniejsze różnice w reakcjach poszczególnych fragmentów badanego ciała. Wynaleziono ją już przeszło sto lat temu, w czasie gdy Hedrock został członkiem sklepów z bronią. Wtedy maszyna była dla niego nowością. A uzależnienie od niej wyzwoliło w Robercie Hedrocku, jedynym nieśmiertelnym człowieku na Ziemi, przyjacielu sklepów z bronią, chęć sprawdzenia prawdziwych możliwości ochronnych komputera. Odłożył jednak na później ten najmniejszy z problemów, z jakimi się borykał. To właśnie on musiał podjąć decyzję. Nie wiedział jeszcze jak szybko, lecz czuł, że musi nastąpić to wkrótce. Pierwszy potężny atak wojsk młodej cesarzowej doprowadził do zamknięcia sklepów z bronią we wszystkich większych miastach na Ziemi, lecz nawet to było mało istotne w porównaniu z problemem nieustannej huśtawki. Hedrock nie potrafił uwolnić się od przekonania, że tylko on, jako jedyna istota na Ziemi, posiadał odpowiednie kwalifikacje do podjęcia decyzji. A wciąż nie wiedział, co zrobić.

Myśląc intensywnie dotarł do drzwi oznaczonych tabliczką: WSTĘP

TYLKO DLA CZŁONKÓW. Zapukał, odczekał niezbędny czas, po czym wszedł do osobliwie urządzonego pokoju, według standardów Isher niezbyt dużego. Pomieszczenie miało blisko sześćdziesiąt metrów sześciennych, więc w oczach Hedrocka zatracała się granica wielkości. Najbardziej zdumiewające były drzwi umieszczone trzydzieści metrów nad podłogą. Sufit znajdował się tyle samo metrów wyżej. Za drzwiami umocowano platformę, z której startowały energetyczne przenośniki. Hedrock stanął na jednej z par izolatorów platformy. W chwili gdy poczuł jak izolatory uchwyciły jego buty, wszedł na niewyraźnie świecące okratowanie.

Pośrodku pokoju siedmiu radnych otaczało maszynę, która unosiła się w przezroczystej plastikowej gablocie. Krótco powitali Hedrocka. Obserwował ich w milczeniu, świadomy wielkiego zdesperowania tych mężczyzn. Tuż obok niego, Peter Cadron szepnął: - Nadchodzi czas na kolejne wahnięcie. Hedrock skinął głową. I powoli, kiedy patrzył jak czarodziejski mechanizm unosi się w próżniowym pojemniku, zaabsorbowanie mężczyzn udzieliło się również jemu. Mapa czasu. Mapa krzyżujących się linii, tak szczegółowa, że zdawała się drgać niczym gorące powietrze.

Teoretycznie linie odchodziły od centralnego punktu do nieskończonej przeszłości i nieskończonej przyszłości (w matematyce stosowanej nieskończoność jest prawie równa zeru). Jednak na wysokości kilku trylionów lat można było dostrzec niewyraźny obiekt. Na tym olbrzymim oceanie czasu widniały nieruchome, cieniste kształty. Jeden duży i bardzo blisko centrum, drugi niewielki położony na krzywiźnie mapy. Hedrock wiedział, że kropka jest powiększoną wersją rzeczywistości, zbyt małą, aby dostrzec ją gołym okiem. Po

każdym ruchu następowały wzmocnienia. Te przyrządy dostrojono tak, aby oddziaływały wrażliwe energie i przystosowywały się automatycznie do obecności dodatkowych obserwatorów.

Kiedy Hedrock przyglądał się temu, obydwie cienie poruszyły się. Ruch, który nie miał odpowiednika w przestrzeni makro kosmicznej, był tak obcy, że wizja nie była w stanie stworzyć akceptowalnego obrazu. Nie był to szczególnie szybki proces, lecz wyraźnie obydwie cienie wycofywały się. Gdzie? Nawet naukowcy ze sklepów z bronią nigdy do końca tego nie zrozumieli.

Wycofywały, a następnie pojawiały ponownie. Za każdym razem w innych miejscach.

Znajdowały się w większej odległości. Duży cień, który drgał w odległości miesiąca i trzech dni od centrum w przeszłości, pojawił się nagle w odległości miesiąca, trzech dni i kilku godzin w przyszłości. Mała kropka, która oznaczała 97 miliardów lat w przyszłości, pokazywała teraz 106 miliardów lat w przeszłości.

Odległość czasowa była tak kolosalna, że Hedrock skurczył się w sobie i mruknął do stojącego obok mężczyzny:

- Czy określili już potencjał jego energii? Cadron ze znużeniem pokiwał głową.

- Wystarczy na zniszczenie planety. - Jęknął. - Gdzie, w imię przestrzeni kosmicznej, ją uwolnimy?

Hedrock spróbował to sobie wyobrazić. Nie uczestniczył w spotkaniu z McAllisterem, tym reporterem z XX wieku, lecz zrozumiał wagę wydarzenia, gdy poskładał fragmentaryczne relacje. A jednym z powodów, dla których

przyszedł do tego pokoju, była chęć poznania szczegółów.

Odciągnął Cadrona na stronę i bez ogródek, poprosił o informację.

Mężczyzna spojrzał na niego z kwaśnym uśmiechem.

- W porządku, powiem ci. Prawda jest taka, że wszystkim nam wstyd za to, co zrobiliśmy.

- A zatem według ciebie nie powinniście poświęcać tego McAllistera - stwierdził Hedrock.

Cadron pokręcił głową.

- Nie, nie w tym sęk. - Zmarszczki na jego twarzy pogłębiły się. - Chyba najlepiej, jak opowiem ci całą historię. Oczywiście w dużym skrócie.

- Agentka ze sklepu Greenway usłyszała, jak ktoś wszedł do sklepu - zaczął. - Ten klient był dziwny. Wyglądał na obcokrajowca. Okazało się że jest reporterem jednej z gazet z XX wieku. Był wyraźnie skonsternowany i zafascynowany bronią energetyczną. Wcześniej napisał artykuł o sklepie z bronią, który pojawił się na ulicy w małym miasteczku. Mogę sobie wyobrazić sensację, jaką wzbudził sklep, lecz prawdę mówiąc wszyscy sądzili, że była to iluzja. Budynek był jak najbardziej materialny, lecz kiedy policja próbowała wejść do środka, drzwi naturalnie nie ustąpiły. McAllister wiedziony ciekawością charakterystyczną dla ludzi jego profesji spróbował sam otworzyć drzwi. Przed nim oczywiście - jako że nie był z policji ani rządu - ustąpiły natychmiast.

- Przyznał naszej agentce, że przechodząc przez próg poczuł napięcie i chociaż nie wiedział o tym, w tym właśnie momencie pobrał pierwszą dawkę czasoenergii. Był to ekwiwalent w przybliżeniu siedmiu tysięcy lat. Ojciec

dziewczyny - właściciel sklepu - kiedy powiedziała mu o całym zajściu, natychmiast doszedł do wniosku, że coś jest nie tak. W swoim raporcie stwierdził, że sklep podlegał naciskom iście tytanicznej energii. Odkrył, że źródłem tej energii jest ogromny budynek rządowy na sąsiedniej ulicy.

Natychmiast zwołał Radę.

- Gdy przybyliśmy na miejsce, należało podjąć błyskawiczną decyzję.

McAllister posiadał wystarczającą ilość czasoenergii, aby zniszczyć całe to miasto - oczywiście w przypadku, gdyby kiedykolwiek wyszedł poza barierę ochronną sklepu bez odpowiedniej osłony. Tym czasem nacisk ze strony budynku rządowego nie malał. W każdej chwili mógł strącić McAllistera w rynnę czasu i istniały powody, aby sądzić, że w tym samym momencie nastąpiły równoległe ataki na inne nasze punkty. Nikt nie potrafił przewidzieć rezultatu.

Mówiąc krótko, dostrzegliśmy sposób na zyskanie czasu poprzez skupienie obcej energii na McAllisterze i odesłanie go do dwudziestego wieku. Mogliśmy uzyskać taki efekt poprzez umieszczenie przybysza w izolowanym kombinezonie kosmicznym, który powstrzymałby eksplozję do czasu znalezienia własnego rozwiązania.

- Wiedzieliśmy, że McAllister będzie się poruszał w czasie jak na huśtawce; w tył i w przód, w przeszłość i przyszłość, przesuając budynek rządowy wraz z jego energią z tego obszaru czasoprzestrzeni.

Cadron pokręcił ponuro głową.

- Wciąż jednak nie wiem, co jeszcze moglibyśmy zrobić. Byliśmy zmuszeni działać szybko na polu nie do końca zbadanym, a fakt, że dostaliśmy się z deszczu pod rynnę, to po prostu najzwyczajniejszy pech. Osobiście czuję się



bardzo kiepsko, jeśli chodzi o całą tę sytuację.

- Myślisz, że McAllister wciąż żyje? - spytał Hedrock.

- O tak. Wsadziliśmy go w jeden z naszych najlepszych kombinezonów.

Posiada pełne wyposażenie wraz z ośmiopierścieniowym urządzeniem serwującym jedzenie oraz pojemnikiem napełniającym się samoczynnie wodą.

Uśmiechnął się krzywo.

- Wpadliśmy na pomysł, całkowicie błędny, jak się okazało, że możemy go uratować później.

- Rozumiem. - Hedrock poczuł przygnębienie. To nie było przyjemne, lecz podjęto już wszystkie decyzje, zanim jeszcze usłyszał o niebezpieczeństwie.

Ten reporter był teraz jak rydwan bogini Wisznu. W całym wszechświecie, nigdy nie zrodziła się tak potężna siła kumulująca się teraz w jego ciele, w miarę kolejnych wahań. Uwolniona, spowodowałaby eksplozję, która zatrzęsłaby włóknem przestrzeni kosmicznej. Czas westchnąłby słysząc echa wybuchu i napięcia energii, tworzące iluzję krańca materii.

- Jakie są najnowsze wieści o tym budynku? - zapytał. Cadron rozpromienił się.

- Wciąż znajduje się w obrębie krytycznych granic. Musimy podjąć decyzję, zanim je przekroczy.

Hedrock milczał. Borykał się z podjęciem decyzji, z jej ostatecznym kształtem, choć wiedział, że niewątpliwie nikt go o to nie zapyta.

- A co z ludźmi, którzy pracują nad problemem spowolnienia wahań? - odezwał się w końcu.

Odpowiedział mu jakiś inny mężczyzna.

- Zaniechano tych badań. Nauka cztery tysiące siedemset osiemdziesiątego czwartego roku nie zna odpowiedzi. Mamy i tak dość szczęścia, że jeden z naszych sklepów uczyniliśmy punktem zawieszenia. Możemy wyeliminować niebezpieczeństwo eksplozji w przeszłości, czy w przyszłości. Ale której? A przede wszystkim kiedy?

Cienie na kartografie nie poruszyły się, nie dały najmniejszego znaku. Nie nadszedł jeszcze ich czas.

## **Rozdział 11**

Człowiek obserwujący natężenia energii zbladł. Mężczyźni odwrócili się od mapy. Pomruk konwersacji wypełnił pomieszczenie. Ktoś poruszył temat wykorzystania tej szansy do zdobycia nowych danych dotyczących podróży w czasie. Radny Kendlon zauważył, że kumulowanie energii ciała stanowiło całkiem przekonujący dowód na to, że podróże w czasie nigdy nie staną się popularne.

Wreszcie odezwał się Dresley, jak zawsze dokładny i skrupulatny.

- Panowie, zebraliśmy się tutaj jako delegaci Rady, aby wysłuchać raportu pana Hedrocka dotyczącego kontraktu przeciwko wojskom cesarzowej. W swym raporcie z przed kilku tygodni podał nam administracyjne szczegóły. I jak sobie z pewnością przypominacie, uważaliśmy, że jego założenia były trafne.

Panie Hedrock, czy mógłby pan uaktualnić te informacje?

Hedrock w zadumie przyglądał się twarzom zebranych. Obserwowali go uważnie, co wzmogło w nim chęć realizacji zamierzeń. Problem polegał na tym, by podjąć decyzję dotyczącą czasoenergetycznej huśtawki, a następnie wprowadzić ją w życie nie zwracając uwagi na stosunek przełożonych. To

będzie trudne.

Zaczął treściwie i zwięźle.

- Od czasu, gdy otrzymałem pierwszą dyrektywę, założyliśmy tysiąc dwieście czterdzieści dwa nowe sklepy, głównie w małych wioskach oraz nawiązaliśmy trzy tysiące osiemset dziewięć kontaktów z rządowym personelem cesarzowej, zarówno wojskowym jak i cywilnym.

Wyjaśnił pokrótce system klasyfikacji poszczególnych osób na podstawie powołania, stopnia, stanowiska i, co ważniejsze, rozmiarów entuzjazmu wobec przedsięwzięcia, do którego cesarzowa skłoniła swoich poddanych.

- Od trzech naukowców - ciągnął - którzy uważają sklepy z bronią za integralną część cywilizacji Isher, pozyskaliśmy w pierwszych dziesięciu dniach tajniki działania maszyny czasoenergetycznej. Odkryliśmy, że z czterech generałów odpowiedzialnych za to przedsięwzięcie, dwóch było mu od początku przeciwnych, trzeciego udało nam się zjednać, kiedy budynek zniknął, lecz czwarty, generał Doocar, głównodowodzący, niestety nie poprzestanie ataków bez wyraźnego rozkazu cesarzowej. Jest lojalny do tego stopnia, że zapomina o własnych uczuciach.

Umilkł oczekując komentarza, lecz milczenie, jakie napotkał, stanowiło najbardziej pożądaną replikę. Hedrock kontynuował:

- Kilka tysięcy żołnierzy cesarskiej armii zdezerterowało, ale tylko jeden członek Rady Imperium, książę del Curtin otwarcie sprzeciwił się atakowi.

Uczył to po egzekucji Bantona Vickersa, który jak wiecie, krytykował cały plan. W ramach dezaprobaty książę wycofał się z pałacu podczas trwania ataku.

Co sprowadza nas do osoby cesarzowej. - Szczegółowo opisał jej charakter.

Wspaniała Innelda, osierocona w wieku jedenastu lat, została koronowana mając lat osiemnaście, teraz liczyła sobie dwadzieścia pięć.

- Wiek - stwierdził ponuro Hedrock - będący stadium pośrednim w rozwoju człowieka.

Dostrzegł zdumienie na twarzach zgromadzonych, wynikające z pewnością z faktu, iż były to ogólnie znane fakty. Nie zamierzał jednak się streszczać. Miał własną formułę na zwycięstwo i chciał przedstawić ją, przynajmniej raz, szczegółowo.

- Mając dwadzieścia pięć lat - mówił - nasza Innelda jest pobudzoną emocjonalnie, niestałą w odczuciach, błyskotliwą, nie znoścą ograniczeń pannicą. Po zapoznaniu się z tysiącami raportów, w końcu wydawało mi się, że najlepszym na nią sposobem jest blokada pewnych kanałów, którymi mogła się godnie wycofywać w kryzysowych sytuacjach.

Rozejrzał się pytająco. Zdawał sobie sprawę, że przed tym audytorium musiał mówić bez ogródek. Powiedział zatem szczerze:

- Mam nadzieję, że członkowie Rady nie będą mieli za złe, jeśli polecę pod rozwagę następującą taktykę. Liczę, że nadarzy się jakaś sposobność, którą będziemy mogli wykorzystać i zatrzymać tę machinę. Wychodząc oczywiście z założenia, że kiedy już się ją zatrzyma, cesarzowa zajmie się innymi sprawami i zapomni o wojnie, którą wszczęła.

Przerwał, aby nadać wagi kolejnym słowom.

Razem z moim personelem będziemy oczekiwać niecierpliwie na taką sposobność, zwracając waszą uwagę na wszystko, co wyda nam się istotne. Czy są jakieś pytania?

Kilka pierwszych nie miało większego znaczenia. Jakiś mężczyzna

odezwał się na koniec:

Czy ma pan pojęcie, jaką formę może przybrać ta tak zwana sposobność?

- Byłoby trudno zagłębiać się we wszystkie korytarze badanego labiryntu -

odpowiedział ostrożnie Hedrock. - Ta młoda kobieta jest podatna na perswazję i

naciski. Przeżywa trudny okres jeśli chodzi o rekrutację do armii. Jest celem

zmowy i intrygi grupy starszych dygnitarzy, którzy niechętnie zaakceptowali jej

pełnoletność. Oni ukrywają przed nią informacje. Pomimo wysiłków wpada w

prastarą sieć. Jej komunikacja ze światem rzeczywistym jest hmm... nieco

zagnatwana. Tak czy inaczej, próbujemy wykorzystać jej słabości - zakończył

spokojnym głosem.

Mężczyzna, który już wcześniej zabrał głos rzekł teraz:

- To jest tylko teoria.

- Teoria - odparł oschle Hedrock - oparta na szczegółowej analizie

charakteru cesarzowej.

- Czy nie uważa pan, że lepiej by było, gdyby pozostawił pan takie badania

ekspertowi maszyny P p?

- Przeanalizowałem wszystkie dane na temat sklepów z bronią związane z

tą kobietą.

- Mimo wszystko - upierał się mężczyzna - to Rada podejmuje decyzję w

takich sprawach.

Hedrock nie ustępował.

- Ja jedynie zasugerowałem, a nie podjąłem decyzję. Mężczyzna nie

odezwał się więcej. Hedrock jednak miał już obraz Rady złożonej z członków o

bardzo ludzkich przywarach, zazdrosnych o swoje prerogatywy. Ci ludzie nie zaakceptują łatwo jego decyzji związanej z dramatem braku rozwiązania, rozgrywającego się w odległych zakrętach czasu.

Dostrzegł, że publiczność zaczyna się niepokoić. Spojrzenia zwracały się podświadomie w kierunku mapy czasu, a kilka par oczu zerknęło niecierpliwie na zegarki. Hedrock pospiesznie wycofał się z pokoju o niewidocznych podłogach energetycznych. Obserwowanie tego wahadła wciągało jak narkotyk.

Mózg mógłby zostać osłabiony przez wysiłek doglądania mechanizmu rejestrującego spazmy ciał materialnych poruszających się w czasie.

Wystarczająco zła była świadomość, że budynek i mężczyzna huścili się miarowo to w jedną, to w drugą stronę.

Hedrock powrócił do swego biura akurat w chwili, gdy na ekranie statuu widniała twarz Lucy.

- ...mimo moich wysiłków – mówiła - wyrzucili mnie siłą z Pałacu Grosika.

A kiedy zamknięto drzwi, wiedziałam, co się stało. Obawiam się, że zabrali go do jednego z Domów Iluzji, a wie pan, co to oznacza.

Hedrock pokiwał w zadumie głową. Dostrzegł z niezadowoleniem, że dziewczyna wyraźnie przejęła się tym.

- Oprócz innych spraw - odparł powoli - te energetyczne iluzje dają efekt kalidetyczny. Natury modyfikacji nie określi się bez odpowiednich pomiarów, lecz można stwierdzić z całą pewnością, że jego szczęście do hazardu zniknie na zawsze.

Zwlekał z reakcją przyglądając się bacznie jej twarzy, po czym powiedział stanowczo:

- Przykro, że Clark tak łatwo wpadł w jedną z wielu zasadzek miasta.

Ponieważ jednak zawsze był tylko jedną z możliwości, bez żalu możemy pozwolić mu odejść. Szczególnie że nawet najmniejsza interwencja w naturalny bieg jego życia wywołałaby podejrzenia, dyskredytujące wszelkie dobro, jakie mógłby dla nas uczynić.

- Tak więc możesz się uważać za zwolnioną z obowiązku pilnowania go.

W najbliższym czasie otrzymasz dalsze instrukcje. - Umilkł. - O co chodzi, Lucy? Zakochałaś się w nim, czy co?

Wyraz jej twarzy nie pozostawiał wątpliwości.

- Kiedy to odkryłaś? - naciskał delikatnie.

Jeżeli był w niej jakiś opór i lęk przed przyznaniem się do uczucia, teraz rozproszył się całkowicie.

- Gdy całowały go te inne kobiety. Nie wolno panu myśleć - dodała pośpiesznie - że się tym przejęłam. Wiele takich rzeczy jeszcze go spotka zanim się ustatkuje.

- Niekoniecznie - odpowiedział szczerze Hedrock. - Ty będziesz musiała zrezygnować ze swych pragnień, lecz zgodnie z moimi obserwacjami spory procent mężczyzn wychodzi z podobnych doświadczeń zahartowanych jak stal. Są jednak znużeni światem realnym.

Czytając z jej twarzy zrozumiał, że powiedział już dosyć. Grunt pod jej przyszłe działanie został przygotowany. Rezultaty pojawią się w toku naturalnego biegu wydarzeń. Uśmiechnął się przyjaźnie.

- To wszystko, Lucy. I nie zamartwiaj się.

Wyłączył stat.

Hedrock wyglądał przez drzwi swego biura kilkakrotnie w ciągu następnej godziny. W budynku krzątało się pełno ludzi, lecz ruch stopniowo zamierał, aż wreszcie korytarz zaświecił pustką.

Robert Hedrock działał stanowczo i bez pośpiechu. Z sejfów na ścianie wyjął dyski z planami maszyny kontrolującej czas - tej z pokoju, w którym, dwie godziny temu, rozmawiał z radnymi. Wcześniej poprosił, aby mu je przesłano z Centrum Informacji, co uczyniono bez słowa komentarza. I nie było w tym nic dziwnego. Jako szef Departamentu Koordynacji miał dostęp do wszystkich naukowych danych dotyczących sklepów z bronią. Znalazł nawet niezłe wytłumaczenie, oczywiście na wypadek, gdyby go zapytano. Chciał przestudiować dane, tak miał odpowiedzieć, w nadziei, że rozwiązanie przyjdzie samo. Ale w rzeczywistości kierował się osobistymi pobudkami.

Z dyskami w kieszeni ruszył korytarzem do najbliższych schodów. Zszedł pięć pięter i poszedł do części Hotelu Royal Ganeel, która nie była zajęta przez sklepy z bronią. Wszedł do apartamentu i zamknął za sobą drzwi na klucz.

Był to imponujący lokal: pięć salonów oraz olbrzymia biblioteka, do której Hedrock skierował swe kroki. Tutaj również zamknął drzwi na klucz, a następnie uważnie sprawdził, czy nie ma podsłuchu. Jak się spodziewał, niczego nie znalazł. Z tego co wiedział, nie figurował na liście podejrzanych. Nigdy jednak nie podejmował niepotrzebnego ryzyka.

Szybko przyłożył jeden z pierścieni na palcu do gniazdka elektrycznego.

Metalowe kółko odchyliło się. Wsunął palec do obręczy i pociągnął. To, co się w tym momencie zdarzyło, było zjawiskiem typowym w sklepach z bronią.

Został przeniesiony przez transmiter materii na odległość około tysiąca ośmiuset



kilometrów, do jednego ze swych licznych laboratoriów. Członkowie Rady nie mieli pojęcia o istnieniu tego transmitera. Laboratorium od wieków należało do jednej z wielu ściśle strzeżonych kryjówek.

Miał jakąś godzinę czasu, lecz wiedział, że zdąży jedynie przejrzeć kolejny dysk. Zbudowanie duplikatu maszyny wymagałoby wielu podobnych wizyt. Jak się okazało, starczyło mu czasu na zrobienie dodatkowej kopii planów. Bardzo ostrożnie włożył dysk do szafki na dokumenty, gdzie znajdowały się dziesiątki tysięcy innych diagramów i planów, którym, przez okres kilku tysięcy lat, nadał priorytet AA.

Przed upływem godziny, jedyny nieśmiertelny człowiek na Ziemi, założyciel sklepów z bronią, posiadacz sekretów nie znanych żadnej innej żyjącej istocie ludzkiej, powrócił do biblioteki w swym apartamencie w Hotelu Royal Ganeel.

Wkrótce siedział w biurze pięć pięter wyżej.

## **Rozdział 12**

Lucy Rall wyłoniła się z rządowej budki staty. Przechodząc przez alkowę ujrzała swoje odbicie w energetycznym lustrze. Zatrzymała się. Zewnętrzne światła przyciągały uwagę. Chodniki płonęły jasnością, która pokonywała noc, lecz Lucy na to nie zważała. Wpatrywała się bez ruchu w swą bladą twarz i rozgorączkowane oczy. Zawsze uważała się za atrakcyjną kobietę, lecz teraz nosiła zbyt wiele śladów zmęczenia, aby być ładną. Czy to właśnie dostrzegł Hedrock?

W końcu, gdy już znalazła się na zewnątrz, podążyła przed siebie niepewnym krokiem. Szła przez Aleję Szczęścia, bo właśnie tam, w jednym z

domów gry korzystała ze statku. Magiczną, intensywnie oświetloną ulicę ożywiały roje ludzkich ciał przemieszczających się od jednego źródła światła do następnego. Lampy jaśniały we dnie i w nocy, lecz tłumy rozpraszały się w miarę jak ciemność nieba ustępowała przed nadchodzącym świtem. Pora wrócić do domu. Jednak Lucy nie potrafiła się zdecydować. Zastanawiała się, co może zrobić i jednocześnie miała wrażenie, że nic. Ten wewnętrzny konflikt wysał z niej resztki sił, w ciągu godziny dwukrotnie zatrzymywała się na energetyczne drinki.

Dręczyło ją również poczucie osobistej klęski. Zawsze uważała za rzecz oczywistą, że w końcu poślubi mężczyznę związanego ze sklepami z bronią. Przez wszystkie lata w szkole, a później w koledżu, kiedy zaaprobowano jej podanie o członkostwo, uważała wszystkich innych ludzi za autsajderów.

Pomyślała z pełną świadomością: „To się stało wtedy na statku, kiedy znalazł się w tarapatach. Było mi go żal”.

Teraz znajdował się w jeszcze większych. Gdyby udało jej się zlokalizować dom, do którego go zabrali, wtedy... no właśnie, co wtedy? Myśli zawisły w próżni. Nagle wpadła na pomysł, który ją oszołomił. Absurdalny i szalony pomysł. Gdyby poszła do jednego z tych miejsc, musiałaby poddać się psychicznej i fizycznej iluzji.

Spodziewała się, że sklepy z bronią wykluczają z organizacji za samo rozważanie takiej możliwości. Kiedy jednak sięgnęła pamięcią wstecz do dokumentów, które wcześniej podpisywała, nie mogła sobie przypomnieć żadnego podobnego zakazu. Szczerze mówiąc niektóre zdania wydawały jej się pozytywnie emocjonujące, przynajmniej w obecnej sytuacji.

„...ludzie ze sklepów z bronią mogą wstępować w związki małżeńskie zgodnie ze swoim pragnieniem... uczestniczyć, lub brać udział we wszystkich przyjemnościach oferowanych na terytorium Isher... Nie istnieją ograniczenia co do sposobu, w jaki członek organizacji wykorzystuje wolny czas...”

„Oczywiście przyjmuje się, że żaden członek nie zrobi niczego co mogłoby przynieść uszczerbek jego opinii, jaką maszyna P p o nim... tak jak wszyscy zostali wyraźnie poinformowani... okresowe badania przez P p określą status członka względem sklepów z bronią...”

„W ekstremalnych przypadkach, sklepy z bronią usuną z jego pamięci wszelkie wspomnienia i informacje związane z organizacją, które mogłyby zostać użyte przeciwko...”

„Następujące występki i przyjemności, w przypadku oddawania się im zbyt gorliwie, okazały się w przeszłości powodem do zerwania stosunków...”

Między innymi, przypomniała sobie, że niebezpieczne dla kobiet są „Domy Iluzji”. Nie pamiętała dokładnie, lecz wydawało jej się, że widziała jakiś przypisek do tej listy. I nie chodziło o niebezpieczeństwo jako takie, lecz że ludzie w takich miejscach stawali się niemalże zawsze niechętnymi niewolnikami. Powtarzane doświadczenia powodowały, że to, co zaczęło się jako poszukiwanie normalnej, zmysłowej przygody, kończyło się bardziej intymnym uczestnictwem.

Lucy otrząsnęła się z zadumy uświadamiając sobie, że idzie szybkim krokiem w kierunku sygnału błyskowego stacji staty. W ciągu minuty uzyskała połączenie z Centrum Informacji Sklepów z Bronią. Kilka sekund później wetknęła do swojej torebki wydruk ze staty z dwoma tysiącami stu ośmioma

adresami Domów Iluzji i ruszyła w kierunku Pałacu Grosika.

Podjęła decyzję i od tego momentu ani razu nie pomyślała o odwrocie.

W pałacu dostrzegła rzeczy, z których Cayle nie mógł zdawać sobie sprawy bez odpowiedniej wiedzy. Sytuacja wróciła do normy. Kilku wynajętych ludzi wciąż ostentacyjnie uczestniczyło w grach, które bez ich udziału nie miałyby żadnych zwolenników. W chwili gdy poszukiwacze przyjemności zaczęli oblegać daną maszyną czy stół, najemnicy dyskretnie się wycofywali. Lucy ruszyła ku tylnej części olbrzymiej sali, zatrzymując się często z udawanym zainteresowaniem. Eliminator ukryty w torebce pozwalał na otwieranie i zamykanie drzwi prowadzących do biura dyrektora bez uruchamiania alarmów typu imperialnego.

Sama musiała polegać na prostym alarmie dzwonkowym ostrzegającym przed zbliżającymi się ludźmi. Spokojnie, lecz sprawnie i szybko przeszukała biuro. Najpierw nacisnęła aktywator danych wstukując kluczowe słowo „iluzja”. Ekran pozostał nieruchomy. Napisała słowo „dom”. Brak odpowiedzi.

Dyrektor musiał mieć adres domu, lub domów, które go interesowały. W furii chwyciła dysk informacyjny statu i zadziałała na jego aktywatorach. Lecz tu również „dom” i „iluzja” nie dały żadnej odpowiedzi. Czy to możliwe, że ten człowiek, którego imię - Martin - znalazła na kilku dokumentach, miał koneksje tylko z kilkoma domami i wszystkie numery znajdowały się wyłącznie w jego głowie? Bardzo prawdopodobne, stwierdziła ponuro w myślach.

Nie zamierzała rezygnować przed wyczerpaniem wszystkich możliwości, jakie dawała sytuacja. Szybko spenetrowała zawartość biurka, a niczego nie znalazłszy usiadła w wygodnym fotelu i czekała. Nie trwało to długo. Drgnęła

na dźwięk alarmu. Nakierowała go najpierw w kierunku jednych drzwi, potem drugich. Pozytywna odpowiedź nadeszła od strony drzwi, przez które Lucy weszła przed piętnastoma minutami. Ktokolwiek to był, znajdował się teraz w korytarzu, jego ręka sięgała do klamki.

Drzwi otwały się ukazując pulchnego mężczyznę. Nucił cicho pod nosem. Sposób ustawienia dużego biurka i fotela sprawił, że mężczyzna najpierw wszedł, a dopiero po chwili zobaczył nieproszonego gościa. Tłusty mały człowieczek zamrugał błękitnymi oczami. Nie widać w nim było cienia strachu. Świńskie oczka spojrzały na broń w dłoni kobiety, a następnie łakomie na jej twarz. - Ładna laleczka - zamlaskał. Oczywiście nie była to jedyna reakcja. W końcu warknął cicho:

- Czego chcesz?

- Mojego męża.

Wziąwszy pod uwagę okoliczności użyła najtrafniejszego określenia. Czyż nie mogło być jakiejś pani Clark?

- Męża? - odezwał się jak echo. Sprawiał wrażenie szczerze zdziwionego.

Lucy powiedziała monotonnym głosem:

- Wygrywał. Czekałam z tyłu mając go na oku. A potem napierający tłum wypchnął mnie na zewnątrz. Kiedy próbowałam wrócić drzwi, były już zamknięte, a kiedy je otwarto, jego tam nie było. Poskładałam wszystko do kupy i oto jestem.

Nie była to długa przemowa, lecz oddawała sedno sprawy. Ukazywała obraz zmartwionej, zdeterminowanej żony. Niedobrze, gdyby zaczął podejrzewać, że sklepy z bronią interesują się Cayle'em Clarkiem. Dostrzegła,

jak sens jej wywodu dociera do świńskiego mózdzku.

- Ach, to o niego pani chodzi. - Roześmiał się szorstko. - Przykro mi młoda damo, ja tylko wezwałem tych od transportu. Oni mają kontakty. Co robią z tymi ludźmi, tego już nie wiem.

- Chce pan powiedzieć, że nie zna adresu, pod który go zabrali, ale wie pan, co to za miejsce. Mam rację? - napierała Lucy.

Utkwił w niej zamyślony wzrok, jakby coś rozważał. Wreszcie wzruszył ramionami.

- Dom Iluzji.

Fakt, że domyślała się tego już wcześniej, nie umniejszał wartości uzyskanej właśnie informacji, tak jak pozorna szczerść mężczyzny nie oznaczała, że mówił prawdę. Lucy odezwała się oschle:

- Widzę, że tam w kącie jest wykrywacz kłamstw Lambetha. Niech go pan tu przyniesie.

Bez szemrania wykonał polecenie.

- Proszę zwrócić uwagę - zaznaczył unosząc trusty palec - że nie stawiam oporu.

Ignorując go, podniosła stożkowaty przyrząd i wycelowała nim w tłustego mężczyznę.

- Jak się nazywasz?

- Harj Martin.

Igły Lambetha nie poruszyły się. Istotnie był to Martin. Zanim zdążyła otworzyć usta, powiedział pośpiesznie:

- Jestem gotów udzielić ci wszystkich informacji, jakich zażadasz. -

Wzruszył ramionami. - Nie ma to dla mnie żadnego znaczenia. Jesteśmy chronieni. Jeżeli uda ci się zlokalizować dom, do którego zabrano twojego męża, proszę bardzo. Powinnaś jednak wiedzieć, że te domy mają swoje metody pozbywania się ludzi, kiedy wzywana jest policja.

Jego zachowanie cechowała nerwowość, co zainteresowało Lucy. Spojrzała na niego jasnymi oczami.

- Ty chyba coś kombinujesz - stwierdziła zimnym głosem. - Chciałbyś, żebyśmy zamienili się miejscami, co? - Pokręciła głową z dezaprobatą. - Nie próbuj. Strzelę.

To broń ze sklepu z bronią - Martin wskazał tłustym podbródkiem.

- Tak - przyznała Lucy. - Nie wystrzeli, dopóki mnie nie zaatakujesz.

Nie mówiła do końca prawdy. Członkowie organizacji posiadali specjalną broń, której nie ograniczało aż tyle restrykcji, co tej przeznaczonej dla klientów.

Martin westchnął.

- Doskonale. Firma nazywa się „Transportowce Lowery'ego”. Igły

Lambetha potwierdziły zgodność nazwy. Lucy wycofała się w kierunku drzwi.

- Puszczam cię wolno - powiedziała. - Mam nadzieję, że to docenisz.

Grubas pokiwał głową oblizując spierzchnięte wargi. Błękitne oczy obserwowały ją bacznie, jakby ich właściciel wciąż miał nadzieję, że nieproszony gość popełni jakiś błąd.

Nie padło ani jedno słowo więcej. Otworzyła drzwi, prześlizgnęła się przez szparę i pół minuty później szła bezpiecznie ulicą.

Anton Lowery, olbrzymi blondyn, podniósł się sennie z poduszki i spojrzał na nią głupawo. Nie uczynił najmniejszej próby, żeby wstać. W końcu

odpowiedział:

- Nie wiem, gdzie go zabrali. Rozumie pani, my zajmujemy się tylko transportem. Kierowca dzwoni do różnych domów na chybił trafił, aż znajduje taki, który może wykorzystać człowieka. Nie prowadzimy rejestru.

Sprawiał wrażenie nieco rozgniewanego, jak uczciwy przewoźnik, którego etyka zawodowa została po raz pierwszy zakwestionowana. Lucy nie traciła czasu na dalszą dyskusję.

- Gdzie znajdę tego kierowcę? - zapytała.

Odpowiedział, że prawdopodobnie zszedł ze zmiany o drugiej nad ranem i miał powrócić dopiero za sześćdziesiąt sześć godzin.

- To te związki. - Lowery skrzywił się na twarzy. - Krótki dzień pracy, wysokie wynagrodzenie i mnóstwo wolnego czasu. - Wydawało się, że podawanie tych informacji sprawia mu satysfakcję, poczucie zwycięstwa nad intruzem, co znacznie osłabiło jego wzburzony ton.

- Gdzie on mieszka? - zapytała Lucy. Nie miał najmniejszego pojęcia.

- Może się pani tego dowiedzieć od związków - zaproponował. - Nie dają nam adresów.

Okazało się, że nie pamiętał nazwy związku. Lambeth, którego zabrała z Pałacu Grosika, potwierdzał wszystkie jego zeznania. Lucy westchnęła. Za trzy dni Cayle zostanie wprowadzony w plugawe życie Domów Iluzji. Mroczne myśli wznieciły w niej gwałtowny gniew.

- Do diabła z tobą! - rzuciła dziko. - Kiedy kierowca zamelduje się znów w pracy, weźmiesz od niego adres tego domu. Zadzwoń do ciebie dziesięć minut po jego przybyciu do pracy i lepiej, żebyś miał tę informację.



Jej ton i zachowanie musiały być przekonywające. Anton Lowery zapewnił pospiesznie, że nie ma nic przeciwko temu i osobiście wszystkiego dopilnuje.

Wciąż o tym zapewniał, kiedy opuszczała jego sypialnię.

Na zewnątrz Lucy wypila kolejnego energetycznego drinka z automatu na rogu ulicy. Nie wystarczył. Jej zegarek wskazywał za kilka minut piątą rano, a zdrętwiałe mięśnie mówiły, że czas wskoczyć do łóżka.

Bez problemów dotarła do mieszkania. Znużona zrzuciła z siebie ubranie i ciężko opadła na prześcieradła. Przez głowę przemknęła jej ostatnia świadoma myśl: „Trzy dni... Czy ten czas będzie się bardziej dłużył mężczyźnie, który doznawał nieustannej przyjemności? Czy też jej, która wiedziała, że przedłużona przyjemność jest największym bólem z możliwych?”

Zapadła w sen jak przemęczone dziecko.

Gdy tylko otrzymała adres domu, skontaktowała się z Hedrockiem. Słuchał zamyślony, po czym pokiwał głową.

- Dobra robota - przyznał. Poprzemy cię. Wysyłam uzbrojony statek. Jeden z najlepszych. A jeśli nie będziemy mieć żadnych informacji od ciebie po upływie rozsądnego czasu, zaatakujemy. - Zawahał się. - Mam nadzieję, iż zdajesz sobie sprawę, że jedynym usprawiedliwieniem, jeśli nie pozostawisz wątpliwości w umyśle Clarka, są twoje osobiste powody. Czy jesteś gotowa posunąć się tak daleko?

Nie musiał zadawać tego pytania. Wynędniała twarz, która patrzyła na niego z ekranu statku, była odpowiedzią. Ta dziewczyna znajdowała się w stanie ogromnego napięcia emocjonalnego. Poczul żal, lecz wiedział, że nie jest odpowiedzialny za jej uczucia. On tylko je rozpoznawał i wykorzystywał psychologiczną wiedzę, aby zintensyfikować poszukiwania. Rozmiar kalidetycznych zdolności Cayle'a Clarka sprawi, że usłyszy się o nim w Isher. Nie mogło to jednak wpłynąć na samą wojnę. Kiedy chłopak ruszy właściwą ścieżką, kalidetyczny wzór będzie ruchomym sześcianem tak szybkim, że w początkowej fazie żaden ludzki umysł nie uchwyci rozmiarów tego, co się dzieje.

Gdyby tylko istniał jakiś sposób odkrycia, jaką formę przyjmie. Hedrock otrząsnął się. Należy po prostu obserwować każdy ruch Clarka z nadzieją, że rozpoznają odpowiedni moment. Zdał sobie sprawę, że dziewczyna czeka. Jego umysł zaczął pracować intensywnie.

- Na kiedy jesteś umówiona? Na dziś wieczór czy jutro?

- Dzisiaj o dziesiątej trzydzieści. - Z trudem zdobyła się na ponury

uśmiech. - Recepcjonista nalegał, żebym była na czas. Najwidoczniej z

ledwością radzą sobie z tymi, których dostają.

- Przypuśćmy, że nie będzie wolny akurat o tej porze, co wtedy zrobisz?

- Myślę, że o tej porze trwa całkowita przerwa iluzji. Mężczyznom i

kobietom wolno wtedy wybierać partnerów. Ale jeżeli nie będzie uchwytny, ja

też nie będę. Będę za to bardzo uważać.

- Myślisz, że Clark cię rozpozna? - Zauważył, że nie zrozumiała, o co mu

chodzi, więc pospieszył z wyjaśnieniem. - Te iluzje pozostawiają poobrazowe

halucynacje, które interferują z wizualną percepcją.

- Postaram się, by mnie rozpoznał.

Opisała kilka możliwych metod. Hedrock rozważył je, po czym pokręcił

głową.

- To oczywiste - powiedział - że nigdy nie byłeś w takim domu. Ci ludzie

są niezmiernie podejrzliwi. Dopóki nie znajdziesz się faktycznie w stanie iluzji,

twoje szansę powiedzenia czegoś, co nie zostanie podsłuchane, są nikłe.

Dopiero gdy automaty zaczną wysyłać bodźce, przestaną się o ciebie troszczyć.

Pamiętaj o tym i staraj się przystosować do każdej sytuacji, jaka może zaistnieć.

Lucy powoli wychodziła z szoku. Po spędzonym wspólnie z Cayle'em

popołudniu ufała mu.

- Rozpozna mnie - stwierdziła stanowczo.

Hedrock nie odezwał się. Chciał jedynie zasygnalizować problem. Trzy dni

i noce pełne iluzji to długi okres. Nawet jeśli nie wystąpią poobrazy, umysł

będzie otępiały, siły witalne okresowo osłabną, nastąpią ubytki energii

zasilającej pamięć.

- Lepiej będzie, jak się przygotuję - zakończyła Lucy. - Do widzenia.

- Życzę szczęścia, z całego serca - odpowiedział. - Ale nie proś o pomoc, dopóki nie będzie absolutnie konieczna.

Hedrock nie wyłączył staty. W krytycznych sytuacjach zajmował apartament przylegający do biura koordynacyjnego. Praca była sensem jego życia. Przez wszystkie godziny kiedy nie spał, pracował. Teraz połączył się z bazą floty wojennej sklepów z bronią i kazał im wysłać krążownik do ochrony. Mimo to nie był usatysfakcjonowany. Marszcząc brwi zastanowił się nad możliwościami, jakie stwarzała sytuacja Lucy i w końcu poprosił o tajne akta dziewczyny. W ciągu dwóch minut, dzięki transportowi międzyprzestrzennemu, dysk z odległego Centrum Informacji pojawił się przed nim na stole. Najpierw sprawdził fakty: rozumienie 110, horyzonty 118, dominacja 151, ego 120, indeks emocjonalny 150...

Hedrock zatrzymał się w tym momencie. W porównaniu z normą wynoszącą 100, i nie zapominając o średniej równej 85, Lucy była miłą, inteligentną dziewczyną o trochę za dużym potencjale emocjonalnym. To właśnie przez tę cechę uwikłała się w romans. Po zidentyfikowaniu Cayle'a Clarka (na drodze rutynowego sprawdzenia tłumów, które zgromadziły się przed nowym sklepem z bronią) jako kalidetycznego giganta, zdecydowano, że należy skontaktować się z nim poprzez medium, jakim będzie niezamężna kobieta o wysokim potencjale emocjonalnym.

Członkowie Rady przewidzieli, że taki kalidetyk wzbudzi w Lucy zainteresowanie. Wybór wiązał się również z innymi czynnikami, głównie z

gwarancją ochrony psychiki osoby, która miała zostać poddana olbrzymiemu stresowi. Biorąc pod uwagę dobro dziewczyny, byłoby pożądane, gdyby oczarowanie okazało się wzajemne.

Hedrock analizował kolejno fakty odnoszące się do obecnej sytuacji.

Westchnął głęboko. Zrobiło mu się żal Lucy. Sklepy z bronią zwykle nie ingerowały w prywatne życie swoich członków. Tylko w sytuacji awaryjnej wykorzystywano jednostki dla dobra sprawy.

Myśl o sytuacji awaryjnej rozkojarzyła go. Odesłał dysk do Centrum Informacji, a następnie włączył stat. Manipulował nim w skupieniu, odrzucił kilka obrazów wynikłych z upustu energii w pokoju, do którego zmierzał i w końcu dostał to, czego chciał, a mianowicie mapę czasu. Bez trudu zlokalizował duży cień. Leżał sześć tygodni i jeden dzień w przyszłości. Z odnalezieniem mniejszego miał większe problemy. Dostrzegł go dopiero po jakimś czasie - maleńki, czarny punkcik na krzywiźnie mapy zdawał się tkwić miliony milionów lat w przeszłości. Hedrock zamknął oczy i zmusił się do wizualizacji takiego okresu czasu. Nie potrafił. Energia zamknięta w McAllisterze była obecnie zbyt wielka na porównania planetarne. Problem eksplozji powoli zmieniał się w koszmar.

Kiedy wreszcie Hedrock wyłączył stat, ogarnęło go znużenie równie wielkie jak zdumienie. Mimo iż upłynęło tak dużo czasu, wciąż nie znalazł właściwego rozwiązania i wciąż nie miał pojęcia, jak uniknąć tego najgorszego niebezpieczeństwa, które zagroziło Układowi Słonecznemu.

Przez następną godzinę czytał uważnie streszczenia raportów dostarczonych w tym dniu przez agentów. Lucy nie wiedziała, że sama znajduje

się pośród tych kilku tuzinów agentów, mogących kontaktować się bezpośrednio z nim o każdej porze dnia i nocy. Pozostali rozmawiali z automatami lub z urzędnikami, którzy pracowali na trzy zmiany.

Skondensowane raporty wymagały wnikliwej analizy. Ani razu nie odniósł wrażenia, że traci czas. Ani razu nie pozwolił sobie na nadmierny pośpiech.

Każdy raport został szczegółowo przeanalizowany.

Nie zauważył, kiedy minęła 10:30 i, choć zdawał sobie sprawę, że Lucy musiała już dotrzeć do domu, zawahał się przez moment i skontaktował ze statkiem unoszącym się wysoko ponad wyznaczonym miejscem. Hedrock przez chwilę przyglądał się budynkowi, który wydawał się strukturą podobną do zabawki w podmiejskim osiedlu przypominającym ogród. Następnie, już z wyraźnym obrazem skryształizowanym w umyśle, powrócił do pracy.

Kiedy otworzyła bramę, poczuła ciepło przepływające przez ciało.

Zatrzymała się w pół kroku.

Wiedziała, że wrażenie zostało sztucznie wyindukowane. Był to pierwszy etap przyjemności prowadzący do osobliwych poziomów zmysłowych uciech oferowanych przez Dom Iluzji. Od tej pory, aż do momentu, w którym opuści ten budynek, nie będzie chwili, żeby nie odczuwała nowych, być może podstępnych i niespodziewanych manipulacji systemem nerwowym.

Po chwilowym niezdecydowaniu ruszyła powoli, przyglądając się budynkowi. Stał na urzekająco pięknym terenie, cofnięty w stosunku do ulicy.

Kwiaty i krzewy wystawały nęcąco pośród kamiennej części dziedzińca. Jakieś trzydzieści metrów od głównego wejścia zaczynał się skrywający je ekran gigantycznych roślin o zielonych liściach.

Przeszła pod nimi i znalazła się w korytarzu, którego koniec widziała wyraźnie prawie czterdzieści pięć metrów przed sobą.

Dwukrotnie bezwiednie zwolniła kroku. Za pierwszym razem zdawało jej się, że coś miękkiego pieści jej twarz, jakby delikatny dotyk ukochanej dłoni. Za drugim razem doznanie było bardziej dramatyczne. Z trudem złapała oddech.

Rumieniec oblał jej twarz i rozszedł się ciepłem w dół ciała. Poczła się zakłopotana, lecz równocześnie szczęśliwa, trochę speszona i podniecona.

Mimo woli pomyślała, czy tak właśnie czuje się młoda dziewczyna w noc poślubną.

Właśnie w tym specjalizował się Dom Iluzji. Tutaj starzy zmęczeni rozpustnicy, mężczyźni jak i kobiety, mogli znów przeżywać, oczywiście za

stosowną opłatą, cielesną rozkosz i doznawać związanych z tym emocji.

Dotarła do zakrętu i nagle znalazła się w alkowie ozdobionej lustrami.

Podeszła do jednego z nich z wahaniem, zastanawiając się, czy nie są to ukryte drzwi. Była zaniepokojona możliwością, że wybierze niewłaściwe. Stała czekając aż drzwi otworzą się same. Minęła minuta, może dwie, lecz nic się nie wydarzyło. Zaczęła popychać lustra, jedno po drugim.

Pierwsze sześć ani drgnęło, jakby przylegały do nieruchomej ściany.

Siódme otworzyło się z zadziwiającą łatwością. Lucy weszła do wąskiego korytarza. Ramionami ocierała się o ściany, co powodowało, że nie potrafiła pozbyć się niepokojącego uczucia, że jest zamknięta. Przytłaczające wrażenie zbyt małej przestrzeni wykraczało poza fizyczne odczucie i oddziaływało na psychikę. Było związane z klaustrofobią i obawą przed tym, co może przytrafić się osobie skazanej na poruszanie się wyłącznie do przodu lub do tyłu.

Zastanawiała się, czy jej reakcje wynikały z napięcia wywołanego świadomością, iż była tu z powodu nie mającego nic wspólnego z przeznaczeniem Domu Iluzji. Całą sobą sprzeciwiała się naturze tego miejsca.

Niepokój z pewnością spowodowany możliwością odkrycia jej motywów, zanim zdąży zrealizować swój plan. Prawdopodobnie stali klienci nie przejmowali się wąskim korytarzem, ponieważ wiedzieli, co ich czeka dalej.

Obawy rozproszyły się równie szybko jak pojawiły. Poczła nagłą zapowiedź nieograniczonej radości. Bez tchu dotarła do końca korytarza i popchnęła wąską ścianę. Ustąpiła nadzwyczaj lekko i tym razem Lucy ku swej uldze zobaczyła mały, przytulny pokój. Siedząca za biurkiem kobieta odezwała się na jej widok:



- Proszę usiąść. Kiedy ktoś po raz pierwszy odwiedza nasz Dom, musimy przeprowadzić z nim rozmowę.

Była w wieku około czterdziestu lat. Miała klasyczną twarz o ładnych rysach, lecz zbyt wąskich oczach, i cienkiej linii ust. W milczeniu wskazała krzesło i Lucy usiadła bez słowa.

- Rozumiesz, moja droga, że wszystko, co mi powiesz, zostanie zachowane w największej tajemnicy - zaczęła miłym głosem. - Szczerze mówiąc... - Usta ułożyły się w delikatnym zarysie uśmiechu, a wypielęgnowany palec dotknął czoła - ...te sprawy nigdy nie wychodzą na zewnątrz. Ale muszę ci powiedzieć, że mam doskonałą pamięć. Wystarczy, że usłyszę lub zobaczę kogoś choćby raz, nigdy go nie zapominam.

Lucy nie odzywała się. Spotkała już wiele osób z eidetyczną pamięcią. Z tego co wiedziała o Domach Iluzji, nigdy nie znaleziono w nich żadnych danych na temat klientów. Najwidoczniej przechowywano je w umyśle kogoś takiego jak ta kobieta.

- To oczywiście oznacza, że przyjmujemy wyłącznie gotówkę. Ile wynosi twój roczny dochód?

- Pięć tysięcy kredytów - Lucy odparła bez wahania.

- Gdzie pracujesz?

Podawała nazwę ogólnie znanej firmy. Sposób postępowania został już dawno ustalony. Każdy członek organizacji figurował na liście jako pracownik firmy, która nieoficjalnie należała do sklepów z bronią, albo, której właścicielem był zwolennik sklepów. Tak więc gdy zwyczajem handlowego życia Isher dochodziło do zadawania podobnych pytań, członkowie organizacji podawali

rzetelne i możliwe do sprawdzenia odpowiedzi.

- Ile płacisz za czynsz? - zapytała kobieta.

- Sto kredytów miesięcznie.

- A ile wynoszą twoje rachunki za wyżywienie?

- Och, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt - coś koło tego. Kobieta odezwała się w zadumie, częściowo do siebie:

- Transport - dziesięć; ubranie - dwadzieścia pięć; inne - dziesięć - to

pozostawia ci zadowalające dwa tysiące pięćset rocznie na dodatkowe wydatki.

Gdybyś chciała przychodzić tu raz w tygodniu, mogłabyś to robić za

pięćdziesiąt kredytów każdorazowo. Jednakże damy ci zniżkę z uwagi na

sytuację awaryjną. Poproszę trzydzieści pięć kredytów.

Lucy odliczyła pieniądze, zdumiona tą chłodną kalkulacją. W

rzeczywistości jej dochód był obciążony innymi wydatkami. Na przykład tysiąc

kredytów podatku dochodowego. Rachunki za odzież znacznie przewyższały

dwadzieścia pięć kredytów. A mimo to mogłaby, w razie konieczności, lub

gdyby pragnienie przyjemności przewyciężyło ostrożność, podołać finansowo

nawet z mniejszą wolną kwotą niż zasugerowała kobieta. Należało uwzględnić

również fakt, iż osoba, której nie wiodło się najlepiej, chciałaby przychodzić

tutaj częściej niż raz w tygodniu. W takim przypadku można było

przeprowadzić się do gorszej dzielnicy, kupować tańsze ubrania, mniej jeść.

Możliwych było wiele podobnych cięć, a wszystkie z nich równie stare jak

korupcja.

Kobieta włożyła pieniądze do szuflady i wstała.

- Dziękuję, moja droga. Mam nadzieję, że rozpoczynamy długi i wzajemnie

satisfakcjonujący związek. Tędy proszę.

Kolejne ukryte przejście wiodło do szerokiego korytarza zakończonego otwartymi drzwiami. Lucy znalazła się w obszernej luksusowej sypialni. Zdała sobie sprawę z rozmiarów pomieszczenia jeszcze zanim do niego weszła. Kilka rzeczy wywołało podejrzenia, więc zatrzymała się w wejściu i zajrzała ostrożnie do środka. Muszę pamiętać, mówiła sobie w duchu, że to Dom Iluzji. Tutaj to, co normalnie wydawałoby się realne, może być ułudą. Przypomniała sobie wskazówki otrzymane od Hedrocka co do sposobów wykrywania mechanicznie indukowanych złudzeń. Zauważyła, że gdy patrzyła na ten pokój kąciakiem oczu, obraz robił się niewyraźny, szczególnie na samym skraju pola widzenia.

Zdawało jej się, że widzi postać kobiety, a pomieszczenie jest dużo większe.

Uśmiechając się podeszła do odległej ściany, przeszła przez nią i znalazła się w ogromnym pokoju z migoczącymi lustrami. Jakaś kobieta pospieszyła ku niej i skłoniła się, wyraźnie skruszona.

- Proszę nam wybaczyć. Ponieważ jest to pani pierwsza wizyta w tym Domu, myśleliśmy, że nic pani nie wie o naszych niespodziankach. Czy wiedziała pani o tej szczególnej iluzji od znajomych, czy też była pani w podobnych miejscach?

Lucy zdała sobie jasno sprawę, że nie może zlekceważyć tego istotnego pytania.

- Znajomy opowiadał mi kiedyś - wyznała szczerze.

Wydawało się, że odpowiedź usatysfakcjonowała niską energiczną blondynkę, która poprowadziła Lucy do czegoś, co okazało się lustrzanymi drzwiami.

- Proszę się przebrać - poleciła - a następnie przejść tymi drzwiami na drugą stronę.

Lucy znalazła się w małej przebieralni. Na wieszaku, na jednej ze ścian wisiała atrakcyjna biała sukienka. Na podłodze stała para sandałów. Nic poza tym. Rozebrała się powoli, niespodziewanie czując skrępowanie. Naprawdę będzie trudno wywinąć się z tej opresji. Jeżeli nie zdoła skontaktować się z Cayle'em w porę, wówczas może zacząć doświadczać wszystkich przyjemności oferowanych przez ten dom, bez względu na własne chęci.

Biała sukienka była cudownie miękka w dotyku. Gdy podczas przekładania jej przez głowę materiał dotknął ciała, z ust Lucy wyrwał się okrzyk rozkoszy. Kreację wykonano ze specjalnego, drogiego sukna zaprojektowanego tak, aby oddziaływała na odpowiednie receptory zmysłów w całym ciele. Metr tego materiału kosztował ponad sto kredytów.

Lucy stała przez długą chwilę pozwalając rozkoszy rozpląnąć się po całym ciele. Niespodziewanie ogarnęło ją podniecenie. Zachwiała się, jakby pod wpływem zawrotu głowy i pomyślała: „To nie ma znaczenia. Cokolwiek by się dzisiaj stało, mam ochotę się zabawić”.

Wsunęła stopy do sandałów. Zachwiała się ponownie, szukając oparcia w drzwiach, a następnie, wyprostowana, otworzyła je i znieruchomiła. Spod przymrużonych powiek obserwowała pokój z perspektywicznym widokiem. Za stołami wzdłuż jednej ściany siedzieli mężczyźni, wzdłuż drugiej - kobiety. Ściany połyskiwały barwnymi, plastycznymi wzorami. Przez całą długość pomieszczenia rozciągał się bar, gdzie serwowano alkohole. Lucy od niechcienia zrobiła krótki test na iluzję, spoglądając na wszystko kąciakiem oczu. Nie

przyłożyła się do tego sprawdzianu. To było to. Oto miejsce spotkania. Za kilka minut dotrze do Cayle'a. Jeżeli nie uda jej się nawiązać kontaktu to trudno, nie miało to znaczenia. Będą jeszcze inne wieczory, powiedziała sobie w duchu, czując lekkie oszołomienie.

Do pokoju weszła na miękkich nogach. Wzgardliwie zlustrowała pozostałe klientki siedzące przy niewielkich stolikach i popijające z maleńkich kieliszków. Kobiety były o wiele starsze od niej. Nagle, pobudzona widokiem rywalek, zerknęła ku mężczyznom. Z zainteresowaniem zauważyła, że przez całą długość pomieszczenia przebiega przezroczysta bariera, od podłogi aż po sam sufit, oddzielająca mężczyzn od kobiet. Istniało oczywiście prawdopodobieństwo, że to również iluzja i że w odpowiednim momencie bariera zniknęła przed poszczególnymi osobami, albo przed całą grupą. Lucy, która wiedziała co nieco na temat energii używanej do specjalnych efektów, domyśliła się, że w końcu nastąpi połączenie.

Myśl uleciała, kiedy dziewczyna przebiegała nerwowym wzrokiem wzdłuż szeregu mężczyzn. Wszyscy bez wyjątku byli stosunkowo młodzi. Jej spojrzenie prześlizgnęło się po Cayle'u, lecz dopiero po kilku chwilach zdała sobie sprawę, że to on. Zaczęła lustrować szereg po raz drugi, ale ostrożność nakazała jej przestać. Trzeźwiejąc po krótkim, emocjonalnym odurzeniu, skierowała się do jednego z małych stolików. Zachowała przy tym w pamięci wizerunek mężczyzny, którego przed chwilą ujrzała.

Usiadła czując, jak opuszcza ją uniesienie. Na wspomnienie nieszczęścia, jakie wyczytała w twarzy Cayle'a, ogarnęła ją rozpacz. Wynędzniały, zmęczony i nieszczęśliwy chłopak to wizja, jaką miała przed oczami. Zastanawiała się, czy

istniała jakakolwiek szansa, by jego zaćmione oczy uchwyciły jej spojrzenie.

Spojrzę jeszcze raz za minutę, postanowiła w końcu, i tym razem postaram się przyciągnąć jego uwagę.

Zerknęła na zegarek, całą siłą woli powstrzymując chęć pośpiechu.

Brakowało jeszcze pięciu sekund do upływu minuty, kiedy szczupły, niski mężczyzna wyłonił się z alkowy i podniósł rękę do góry. Lucy zerknęła pośpiesznie w kierunku Cayle'a i napotkała jego wzrok. Po chwili usłyszała, jak mały człowieczek odezwał się radosnym tonem:

- Moi drodzy, oto bariera idzie w dół. Nadszedł czas, aby się poznać.

Sygnał wywołał najróżniejsze reakcje. Większość kobiet pozostała na miejscach. Jednak kilka wstało pośpiesznie i ruszyło przez pokój. Lucy wyczuwając, że Cayle zmierza w jej kierunku, zamarła w bezruchu. Zagłębił się w fotelu naprzeciwko niej i odezwał z rozbrajającą bezpośredniością:

- Jesteś bardzo atrakcyjna.

Skinieniem głowy przyjęła komplement, obawiając się zdradzić swoje myśli. Pracownica Domu Iluzji pochyliła się tuż obok.

- Zadowolona? - Pytanie zostało wypowiedziane nadzwyczaj miękko.

Lucy potwierdziła, a kobieta wskazała ręką.

- Tędy.

Wstała myśląc: „Jak tylko zostaniemy sami, możemy zacząć układać plan”.

Przed drzwiami nastąpiło gwałtowne poruszenie i do sali wpadła kobieta, która przeprowadzała z Lucy rozmowę wstępną. Powiedziała coś niskim głosem do małego mężczyzny. Chwilę później rozdzwonił się dzwonek. Lucy wykonała pół obrotu i... straciła równowagę. Poczwała, że spada w ciemność...

O 11:05 kiedy zabuczał stat i twarz Lucy pojawiła się na ekranie, Hedrock był wciąż w biurze. Dziewczyna kręciła głową zdezorientowana.

- Nie wiem, co się stało. Wydawało się, że wszystko układa się pomyślnie.

Rozpoznał mnie nie zdradzając się z tym. Najwidoczniej mieliśmy zostać odprowadzeni do jakiegoś odosobnionego pokoju, kiedy wszystko pokryła czerń. Odzyskałam świadomość już w moim mieszkaniu.

- Poczekaj chwilę - rzucił Hedrock.

Połączył się z okrętem wojennym. Dowódca pokręcił przecząco głową.

- Właśnie miałem się z panem skontaktować. Był policyjny nalot.

Ostrzeżenie musiało nastąpić na krótko przedtem, ponieważ załadowali kobiety do autolotów po sześć do jednego - i wyekspediowali je do domu.

- A co z mężczyznami? - Hedrock był wyraźnie spięty. W sytuacjach krytycznych wszystkiego można się było spodziewać po tych domach.

- Dlatego właśnie nie skontaktowałem się od razu. Widziałem, jak wpychają mężczyzn do transportowców. Podążyłem za nimi, lecz użyli zwyczajowej metody.

- Rozumiem - odparł Hedrock. Przesłonił oczy dłonią i jęknął. Sprawa Cayle'a Clarka zaczynała się znów komplikować i w obecnej sytuacji należało pozostawić go własnemu losowi. - W porządku, kapitanie - powiedział ponuro. -  
Dobra robota.

Ponownie połączył się z Lucy i przekazał jej złe wieści.

- Przykro mi, lecz to eliminuje go z planu. Nie ośmielimy się interweniować.

- Co mam teraz robić? - zapytała płaczliwie.

- Po prostu czekaj - poradził. - Czekaj.

Trudno było powiedzieć coś więcej.



Fara pracował bez wytchnienia. Nie miał nic innego do roboty i w jego głowie często pojawiała się myśl, że będzie tak pracował aż po dzień swojej śmierci. Był głupcem - tysiące razy powtarzał sobie, jak wielkim - lecz mimo to wciąż łudził się nadzieją, że Cayle wejdzie do sklepu i powie: „Ojcze, życie dało mi surową lekcję. Jeżeli kiedykolwiek możesz mi wybaczyć, naucz mnie fachu, a wtedy przejdiesz na dobrze zasłużony odpoczynek”.

26 sierpnia, tuż po tym jak Fara skończył jeść obiad, włączył się telestat.

- Chodzi o pieniądze - zamruczał zgorzkniałe. - Pieniądze z banku.

Fara i Creel spojrzeli po sobie.

- Ech - westchnął w końcu Fara - chodzi o nasze konto.

W ponurym spojrzeniu Creel dostrzegł myśl, która zrodziła się w jej głowie.

- Cholera by wzięła tego chłopaka! - wyszeptał.

Odczuł jednak ulgę. Zdumiewającą ulgę! Cayle zaczynał doceniać rolę rodziców. Włączył podgląd.

- Niech przyjdzie i poprosi - zamruczał na wpół do siebie. Twarz, która pojawiła się na ekranie, miała potężną szczękę, krzaczaste brwi chrząszcza i była dziwna.

- Tu Clark Pearton z Piątego Banku Ferd. Otrzymaliśmy od państwa syna polecenie przelewu na dziesięć tysięcy kredytów. Z prowizją za przelew i podatkiem rządowym wymagana suma wyniesie dwanaście tysięcy sto kredytów. Zapłaci pan teraz, czy pojawi się po południu?

- A... ale... a... ale jąkał się Fara. - Kto... - Fara umilkł słuchając jak

właściciel wydatnej szczęki mówi coś o pieniądzach wypłaconych Cayle'owi

Clarkowi rano na pilne polecenie. W końcu oprzytomniał na tyle, by wydusić z siebie:

- Ale bank nie miał prawa wypłacić tych pieniędzy bez mojej zgody.

Głos przerwał mu zimno.

- Czy poinformować naszą centralę, że mamy do czynienia z fałszerstwem?

Naturalnie natychmiast zostanie wydany nakaz aresztowania waszego syna.

- Proszę zaczekać... proszę zaczekać. - Fara mówił bezwiednie. Zdał sobie sprawę z obecności Creel, która dawała mu znaki głową. Jej twarz była biała, a głos brzmiał nienaturalnie:

- Fara, nie rób tego. Skończył z nami. Musimy być równie twardzi. Nie rób tego.

Słowa dzwoniły bezsensownie w jego uszach. Zdawało się, że nie pasują do utartego schematu. Mówił:

- Ja... ja nie mam... A jak spłacę... raty?

- Jeśli życzy pan sobie pożyczkę - pospieszył z pomocą Clerk Pearton - naturalnie z radością podpiszemy z panem odpowiednią umowę. Mogę powiedzieć, że kiedy otrzymaliśmy polecenie przelewu, sprawdziliśmy pańską sytuację i jesteśmy przygotowani udzielić panu pożyczki na jedenaście tysięcy kredytów na czas nieokreślony, biorąc jako zabezpieczenie pański warsztat. Mam tu formularz i jeśli się pan zgadza, przełączymy tę rozmowę na obwód rejestrowany i może pan od razu podpisać.

- Fara, nie!

Urzędnik kontynuował monotonnym głosem:

- Pozostałe tysiąc sto kredytów trzeba będzie zapłacić w gotówce. Zgadza się pan?

- Tak, tak, oczywiście. Mam dwa tysiące pięćse... - Powstrzymał swój niewyparzony język, po czym dodał: - Tak, zgadzam się.

Po uzgodnieniu szczegółów, odwrócił się do żony i zaatakował ją, czując bolesną wewnętrzną ranę i zdumienie.

- Co miało oznaczać twoje paplanie, żeby nie płacić tych pieniędzy?

Zawsze mówiłaś, że ponoszę odpowiedzialność za to, że jest właśnie taki. Poza tym nie wiemy, dlaczego potrzebował pieniędzy. Ten facet powiedział, że to pilne polecenie.

Creel odrzekła niskim, martwym głosem:

- W przeciągu jednej godziny ograbił nas ze wszystkiego. Musiał to zrobić z premedytacją, spodziewając się, że dwóch starych głupców zapłaci.

- Widzę tylko - wtrącił Fara - że uratowałem nasze imię przed zniesławieniem.

Poczucie dobrze spełnionego obowiązku przetrwało do popołudnia, kiedy to pojawił się komornik z Ferd z nakazem przejęcia sklepu.

- Ale za co... - Fara nie wierzył własnym oczom.

- Automatyczne Atomowe Warsztaty Remontowe wykupiły pański dług z banku i zamykają warsztat.

- To niesprawiedliwe - krzyknął Fara. - Wniosem sprawę do sądu. - Myślał gorączkowo: „Gdyby cesarzowa kiedykolwiek się o tym dowiedziała, to by... to by...”

Gmach sądu mieścił się w dużym, szarym budynku i Fara z każdą sekundą,

idąc korytarzami, coraz bardziej czuł wypełniającą go pustkę i chłód. W Glay decyzja o niewynajmowaniu prawnika wydawała się rozsądna. Tutaj, w olbrzymich korytarzach i salach, okazała się absolutnym nieporozumieniem. Mimo to udało mu się zdać relację ze zbrodniczej działalności banku, który, po pierwsze, dał Cayle'owi pieniądze, po drugie odsprzedał dług głównemu konkurentowi Fary, najwidoczniej w ciągu kilku minut po podpisaniu umowy. Na koniec oznajmił:

- Jestem pewien, że cesarzowa nie aprobowałaby takiego postępowania wobec uczciwych obywateli.

- Jak śmiesz - syknął z ławy sądowej jakiś zimny głos - używać imienia jej wysokości na poparcie swoich argumentów?

Fara zadrzał. Poczucie, że jest członkiem wspólnoty wielkiej rodziny cesarzowej, zmieniło się niespodziewanie w dreszcz chłodu. Fara z przerażeniem wyobraził sobie dziesięć milionów sądów podobnych do tego, oraz miliony złowrogich i pozbawionych serc ludzi, takich jak ci, którzy stali pomiędzy cesarzową a jej lojalnym poddanym. Pomyślał z pasją: „Gdyby cesarzowa wiedziała co tu się dzieje, jak niesprawiedliwie go traktowano, na pewno by...”

A może wcale by tak nie zrobiła?

Wyrzucił z umysłu tę straszliwą wątpliwość, otrząsnął się raptownie z zamyślenia i usłyszał głos sędziego:

- Apelacja powoda odrzucona przy oszacowaniu kosztów na siedemset kredytów, które mają zostać podzielone między sąd a obrońcę w stosunku pięć do dwóch. Proszę dopilnować, aby apelujący nie wyszedł bez uiszczenia

zapłaty. Następna sprawa.

Nazajutrz Fara udał się na spotkanie ze swoją teściową. Najpierw zaszedł do Restauracji Farmera na obrzeżach wioski. Miejsce to, jak zauważył z satysfakcją, myśląc o stałym potoku napływających pieniędzy, było w połowie wypełnione gośćmi, chociaż do południa brakowało jeszcze kilku godzin. Nie zastał Madame. Postanowił spróbować szczęścia w sklepiku.

Znalazł ją na zapleczu, gdzie doglądała odważania ziarna do miarek z sukna. Stara kobieta o twardej twarzy wysłuchiwała jego opowieści bez słowa komentarza. Na koniec odezwała się szorstko:

- Nic się nie da zrobić, Fara. Ja też muszę często brać pożyczki z banku, żeby tu wszystko jakoś się kręciło. Gdybym spróbowała cię ustawić w interesie, ludzie z Automatycznych Warsztatów zaczęliby deptać mi po piętach. Poza tym postąpiłabym głupio przekazując pieniądze człowiekowi, który pozwala, aby marnotrawny syn wyciskał z niego fortunę. Taki facet nie ma wyczucia rzeczywistości. I nie dam ci pracy, bo nie najmuję krewnych - dodała na zakończenie. - Powiedz Creel, żeby przeprowadziła się do mnie. Mężczyzny jednak nie mam zamiaru utrzymywać. To wszystko.

Patrzył na nią wypełnionymi smutkiem oczyma, kiedy znów zaczęła

wydawać

polecenia

pracownikom

manipulującym

przestarzałymi,

niedokładnymi automatami mierniczymi. Jej ostry głos odbijał się echem od

pokrytych kurzem i pyłem ścian:

- Tu przeważa, przynajmniej o gram. Patrz na swoją wagę.

Choć stała odwrócona plecami, Fara dobrze wiedział, że zdaje sobie sprawę z jego obecności. Świadczył o tym sposób poruszania się kobiety. Wreszcie odwróciła się raptownie i wyrzuciła z siebie:

- Dlaczego nie pójdziesz do sklepu z bronią? Nie masz nic do stracenia, a taka sytuacja nie może trwać bez końca.

Wyszedł jak ślepiec. Z początku pomysł kupienia broni i popełnienia samobójstwa zdawał się absurdalny. Fara poczuł się dotknięty, że jego własna teściowa zaproponowała coś takiego. Zabić się? To bezsensowne. Był jeszcze młody, tuż po pięćdziesiątce. Przy sprzyjających okolicznościach, posiadając fach w ręku, mógł sobie pozwolić na poczciwe życie nawet w świecie wypełnionym automatami. Zawsze znalazłoby się miejsce dla fachowca. Całe jego życie opierało się na tym credo.

W domu Creel pakowała swoje rzeczy.

- Kieruję się zdrowym rozsądkiem - wyjaśniła. - Wynajmiemy ten dom, a wprowadzimy się do mieszkania.

Powiedział o propozycji matki, obserwując bacznie jej reakcję. Wzruszyła ramionami.

- Wczoraj już powiedziałam jej „nie” - odezwała się w zadumie. - Ciekawa jestem, dlaczego tobie też o tym wspomniała.

Fara podszedł szybko do wielkiego, frontowego okna wychodzącego na ogród z kwiatami, sadzawką i klombami. Spróbował wyobrazić sobie Creel z dala od tego ogrodu i domu, gdzie spędziła dwie trzecie życia; Creel

mieszkająca w zwykłym mieszkaniu. I zrozumiał, o co chodziło jej matce. Była jeszcze jedna nadzieja. Zaczekał, aż Creel wejdzie na górę i połączył się za pomocą telestatu z sołtysem. Pulchna twarz przybrała niespokojny wyraz, kiedy Dale zobaczył, kto chce z nim rozmawiać. Wysłuchał jednak z namaszczaniem i powiedział:

- Przykro mi, wioska nie pożycza pieniędzy. A przy okazji, chciałem ci powiedzieć, Fara, że straciłeś licencję na prowadzenie warsztatu. Ja nie mam z tym nic wspólnego.

- Coooo?

- Przykro mi! - Sołtys zniżył głos. - Posłuchaj Fara, skorzystaj z mojej rady i idź do sklepu z bronią. Te miejsca są naprawdę użyteczne.

Usłyszał kliknięcie i po chwili wpatrywał się w pusty ekran. A zatem śmierć!

Po dwóch miesiącach mieszkania w jednym pokoju podjął decyzję.

Zaczekał aż ulica opustoszeje, po czym przemknął przez bulwar, minął ukwiecone ogrody i dotarł do sklepu z bronią. Farę ogarnął przelotny lęk, że drzwi się nie otworzą, lecz ustąpiły bez problemu. Kiedy wyszedł z ciemności przedsionka, ujrzał siwowłosego starca siedzącego na krześle w kącie i czytającego przy delikatnym świetle. Mężczyzna podniósł wzrok, odłożył na bok książkę, a następnie wstał.

- O, pan Clark - powitał go cicho. - Czym możemy służyć?

Lekki rumieniec oblał policzki Fary. Miał nadzieję, że nie będzie znosił upokorzenia z powodu rozpoznania. Teraz, kiedy jego strach uwidocznił się, postanowił uparcie brnąć naprzód. Istotną sprawą związaną z samobójstwem był fakt, żeby Creel nie będzie musiała ponosić kosztów związanych z pogrzebem.

Ani nóż, ani trucizna nie mogły go w tej mierze zadowolić.

- Chcę broń - powiedział Fara. - Taką, która za jednym strzałem może dezintegrować ciało o średnicy około dwóch metrów. Macie coś takiego?

Starzec odwrócił się do gabloty i wyjął z niej tęgi miotacz połyskujący delikatnymi barwami niepodrabialnego plastiku.

- Proszę zwrócić uwagę - rzekł dokładnie akcentując słowa - że te kryzy na lufie to coś więcej niż wypukłości. Sprawiają, że model jest idealny do noszenia w kaburze pod płaszczem. Można go wyjąć bardzo szybko, ponieważ, właściwie dostrojony, wskoczy do sięgającej ręki właściciela. W tej chwili jest zestrojony ze mną. Proszę popatrzeć, jak będę wkładał go z powrotem do kabury i...

Szybkość ruchu zdumiała Farę. Palce starca poruszyły się i broń znajdująca



się metr dalej znalazła się natychmiast w dłoni. Stało się to jednocześnie!

Kiedy starszy mężczyzna wyjaśniał zasadę działania broni, Fara próbował

powiedzieć, że nie trzeba omawiać wszystkich cech miotacza, lecz

zrezygnował. Utkwił zafascynowany wzrok w małym przedmiocie. Widział

wcześniej, a nawet miał w rękach broń żołnierzy - zwykłe, metalowe lub

plastikowe miotacze, których używało się podobnie jak każdej innej materii.

Tamte przedmioty były martwe, nie podskakiwały z poufałą gorliwością, aby

wypełniać wolę swego właściciela, służąc mu potężną siłą.

Nagle przypomniał sobie o celu swojej wizyty. Uśmiechnął się kwaśno i

powiedział:

- To wszystko jest ciekawe. A co z wachlarzowym promieniem? Starszy

człowiek odpowiedział spokojnie:

- Przy grubości ołówka, ten promień przeniknie każde ciało z odległości do

trzystu pięćdziesięciu metrów, z wyjątkiem kilku stopów ołowiu. Przy

właściwym

ustawieniu

otworu

ogniowego,

można

zdezintegrować

trzyipółmetrowy obiekt z czterdziestu pięciu metrów. Ta śrubka pełni rolę

przełącznika.

Wskazał maleńkie urządzenie znajdujące się u wylotu lufy.

- Przekręca się w lewo, aby rozciągnąć promień, a w prawo, żeby go

zwięzić.

- Wezmę go - odezwał się Fara. - Ile kosztuje? Starszy mężczyzna patrzył na niego w zadumie.

- Już wcześniej wyjaśniłem nasze reguły, panie Clark - powiedział powoli.

- Oczywiście przypomina je pan sobie.

- He! - sapnął Fara i umilkł z szeroko otwartymi oczyma. - Chce pan powiedzieć - jęknął - że to się naprawdę liczy. One nie są... - Spięty i chłodny dokończył: - Potrzebuję broni, która będzie strzelać w samoobronie, lecz którą mogę również zwrócić przeciwko sobie, jeżeli będę musiał - albo będę chciał.

- Och, samobójstwo! - Sprzedawca wyglądał jakby doznał olśnienia. - Mój drogi panie, nie mamy nic przeciwko temu, abyś odebrał sobie życie, kiedy tylko zechcesz. To twój osobisty przywilej w świecie, w którym przywileje stają się z każdym rokiem coraz większą rzadkością. A co do ceny, wynosi ona cztery kredyty.

- Cztery... tylko cztery kredyty! - zdziwił się Fara.

Stał oszołomiony, zapominając o mrocznym celu wizyty. Tyle mógł kosztować sam plastik. Ale cały pistolet z pięknymi, zawiłymi zdobieniami nie byłby za drogi nawet gdyby kosztował dwadzieścia pięć kredytów. Poczuł dreszcz zainteresowania. Tajemnica sklepów z bronią niespodziewanie stała się tak intrygująca i ważna, jak jego własne przeznaczenie. Starzec przemówił ponownie:

- A teraz, jeśli zdejmie pan płaszcz, możemy założyć szelki z kaburą.

Fara zgodził się odruchowo. Nie mógł uwierzyć, że za kilka minut wyjdzie stąd wyposażony w broń zdatną do unicestwienia go i że na drodze do śmierci

nie leżała żadna przeszkoda. Odczuwał nawet rozczarowanie. Nie potrafił tego wytłumaczyć, lecz w zakamarkach umysłu czaiła się nadzieja, że te sklepy mogą... no właśnie, co mogą?

Co tak naprawdę? Fara westchnął. Ponownie z zamyślenia wyrwał go głos sprzedawcy.

- Może wolałby pan wyjść tylnymi drzwiami. Są mniej widoczne niż frontowe.

W Farze nie było za grosz oporu. Wyczuwał palce mężczyzny na swoim ramieniu, palce, które go prowadziły, a potem jeden z nich nacisnął przełącznik na ścianie i pojawiły się drzwi. Dostrzegł kwiaty. Bez słowa podążył ku nim. Znalazł się na zewnątrz, zanim zdążył to sobie uświadomić.

Fara stał przez chwilę na schludnej, wąskiej ścieżce, za wszelką cenę starając się skoncentrować na beznadziejności swego położenia. Zamiast tego zdał sobie sprawę z obecności wielu osób. Jego umysł przypominał dryfujący pniak drzewa. Wśród tych nie do końca jasnych myśli narastała stopniowo świadomość złego. Skręcił w lewo w kierunku frontowego wejścia do sklepu z bronią. Niezdecydowanie przeobraziło się w pełen zdumienia szok. Nie był już w Glay, a sklep z bronią nie znajdował się tam gdzie wcześniej.

Kilkunastu mężczyzn minęło Farę, potrącając go w pośpiechu, aby dołączyć do długiej kolejki ciągnącej się nieco dalej. Ich obecność i wygląd nie wywarły na nim żadnego wrażenia. Cała jego uwaga koncentrowała się na części maszyny, która stała w miejscu, gdzie przedtem znajdował się sklep z bronią. Fara spojrział w górę, starając się ogarnąć wzrokiem ogrom matowego metalu, jaki rozpościerał się pod letnim słońcem i niebem tak błękitnym, jak odległe południowe morze.

Maszyna wznosiła się ku niebiosom - pięć wielkich kondygnacji, każda wysokości trzydziestu metrów. Ta wspaniała, wysmukła konstrukcja zwieńczona była wieżą tak rozświetloną, że dorównywała jasnością słońcu. A była to w istocie maszyna, nie budynek. Cała niższa kondygnacja żyła migoczącymi światłami, w większości zielonymi, upstrzonymi barwnie czerwienią, gdzieś błękitem i żółcią.

Druga kondygnacja jaśniała białymi i czerwonymi światłami i chociaż było ich mnóstwo, to jednak mniej niż na pierwszej. Metalowa powierzchnia trzeciej części błyszczała błękitem i żółcią. Światelka migotały delikatnie rozstrzelone

na dużej przestrzeni.

Czwartą kondygnację stanowiły napisy będące częściową informacją:

BIEL - NARODZINY

CZERWIEN - ZGONY

ZIELEŃ - ŻYJĄCY

BŁĘKIT - IMIGRACJA NA ZIEMIĘ

ŻÓŁTY - EMIGRACJA

Piąta kondygnacja była ostatecznym wyjaśnieniem:

UKŁAD SŁONECZNY 11,474,463,747

ZIEMIA 11,193,247,361

MARS 97,298,604

WENUS 141,053,811

KSIEŻYCE 42,863,971

Cyfry zmieniały się w chwili, gdy na nie patrzył, przemieszczając się w górę i w dół. Ludzie umierali, rodzili się, przenosili się na Marsa, na Wenus, na księżycy Jupitera, na ziemskiego satelitę, inni zaś powracali lądując co minutę w przeróżnych kosmicznych portach. Życie toczyło się w charakterystyczny, gigantyczny sposób - a tu znajdował się rejestr.

- Lepiej stań w kolejce - odezwał się przyjazny głos. - Przedstawienie osobistej sprawy zajmuje trochę czasu.

Fara utkwiał wzrok w nieznanym. Nie mógł doszukać się sensu w jego słowach.

- W kolejce? - zaczął, lecz pohamował się gwałtownie.

Szedł bezwolnie przed młodszym mężczyzną myśląc, że w podobny

sposób konstabl Jor został przetransportowany na Marsa. Jednocześnie słowa nieznanego zaczęły przenikać do jego świadomości.

- Sprawie? - rzucił gwałtownie Fara. - W sprawie osobistej! Mężczyzna o potężnej twarzy, błękitnych oczach, może trzydziestopięcioletni, popatrzył na niego z zaciekawieniem.

- Chyba wiesz, po co tu jesteś - powiedział. - Nie przesłano by cię tutaj, gdybyś nie miał jakiegoś problemu, który sądy sklepów z bronią pomogą ci rozwiązać. Z innego powodu nie przybywa się do Centrum Informacji.

Fara szedł dalej w stronę drzwi prowadzących do wnętrza wielkiej metalowej struktury, wiedziony przez rwący potok ludzi.

A więc ta osobliwa maszyna jest jednocześnie budynkiem.

Problem, myślał. Hmm, oczywiście, miał problem. Beznadziejny, nierozwiązywalny, absolutnie pogmatwany problem, tak głęboko osadzony w podstawowej strukturze cesarskiej cywilizacji, że aby go rozwikłać, należałoby wywrócić do góry nogami ten cały świat.

Drgnąwszy dostrzegł, że stoi w wejściu. Pomyślał ze strachem: „Za kilka sekund zostanę osądzony”.

Wewnątrz Centrum Informacji Fara rozejrzał się po szerokim, lśniącym korytarzu. Idący za nim młody mężczyzna rzekł: - Tu jest boczny korytarz, praktycznie pusty. Chodźmy. Fara, drżąc na całym ciele, ruszył we wskazanym kierunku. Przy końcu przejścia kilkanaście młodych kobiet przesłuchiwało petentów. Zatrzymał się przed jedną z nich. W rzeczywistości była starsza niż wydawało się to z pewnej odległości - trzydziestokilkuletnia, atrakcyjna, pełna energii. Z miłym uśmiechem, typowym dla urzędniczki, zapytała:

- Pańskie nazwisko?

Powiedział, jak się nazywa, dodając bełkotliwie, że pochodzi z wioski Glay.

- Dziękuję. Odszukanie pańskich akt zajmie kilka minut. Zechce pan usiąść?

Nie zauważył wcześniej krzesła. Usiadł, czując jak walące serce podchodzi mu do gardła. W głowie miał pustkę, ani jednej myśli, żadnej nadziei, tylko silne, rozdzierające umysł podekscytowanie. Nagle uświadomił sobie, że dziewczyna mówi do niego, lecz tylko strzępy jej słów dotarły do niego.

- Centrum Informacji jest... na skutek czego... biuro statystyki. Każda osoba urodzona... zarejestrowana tutaj... wykształcenie, zmiana adresu... zawód... oraz najważniejsze momenty życia. Całość przechowywana jest w... kombinacją... Cesarską Izbą Statystyki oraz... poprzez osoby agentów... każda wspólnota...

Fara odniósł wrażenie, że ulatują mu istotne informacje. Musiał skupić uwagę, by usłyszeć więcej. Z dużym wysiłkiem próbował to uczynić, lecz

nadaremnie. Był zbyt roztrzęsiony nerwowo, i mimo starań nie potrafił skupić się na słowach dziewczyny. Chciał coś powiedzieć, lecz zanim udało mu się otworzyć drżące usta, usłyszał kliknięcie i cienki, ciemny dysk zastygł nieruchomo na biurku. Kobieta podniosła go i przyjrzała się uważnie. Po chwili powiedziała coś do mikrofonu i wkrótce dwa kolejne dyski wyłoniły się z powietrza i opadły na biurko. Przyjrzała im się bacznie i w końcu podniosła wzrok.

- Z pewnością zainteresuje pana - powiedziała - że pański syn, Cayle, przebywa na Marsie.

- Hę? - Fara uniósł się z krzesła, lecz stanowczy głos młodej kobiety osadził go w miejscu:

- Muszę pana poinformować, że sklepy z bronią nie podejmują żadnych kroków przeciwko indywidualnym osobom. Nie zajmujemy się moralnym uzdrowieniem. Chęć współpracy musi przyjść od danej jednostki. A teraz, czy zechciałby pan przedstawić w kilku słowach pański problem. Ta relacja zostanie zarejestrowana i poddana szczegółowemu badaniu przez sąd.

Fara, spocony jak mysz, zatopił się w krzesło. Desperacko pragnął dowiedzieć się czegoś więcej o Cayle'u.

- Ale... ale co... jak... - Opanował się z trudem i niskim głosem opisał to, co się wydarzyło. Kiedy skończył, dziewczyna powiedziała:

- Przejdzie pan teraz do Pokoju Nazwisk. Proszę wypatrywać swego nazwiska, a kiedy się pojawi, iść prosto do Pokoju 474. Proszę pamiętać - 474... a teraz, kolejka czeka. Jakby był pan tak miły...

Uśmiechnęła się grzecznie i Fara odszedł, zanim w pełni zdał sobie z tego



sprawę. Odwrócił się, aby zadać pytanie, lecz jakiś starszy jegomość właśnie siadał na krześle. Fara pospieszył wielkim korytarzem, słysząc osobliwe odgłosy dochodzące z przodu.

Otworzył z zapalem drzwi i słyszany wcześniej dźwięk uderzył go z siłą młota. Był tak silny i niewiarygodny, że Fara zatrzymał się w drzwiach, skurczył w sobie próbując się cofnąć. Dopiero po kilku sekundach doszedł do siebie, starając się znaleźć sens w zamieszaniu. Było równie wielkie jak hałas.

Ludzie, ludzie, wszędzie ludzie; tysiące ludzi w długim i szerokim audytorium, siedzący w rzędach, przechadzający się niespokojnie w tę i z powrotem wzdłuż przejść między fotelami. Wpatrzeni z nerwowym zainteresowaniem w długą tablicę podzieloną na kwadraty, w których widniały litery alfabetu. Olbrzymia tablica z listami nazwisk rozciągała się na całej długości ogromnego pomieszczenia.

Pokój Nazwisk, pomyślał z drżeniem Fara opadając na krzesło. A jego nazwisko pojawi się przy literze C. To było jak gra w nigdy nie kończącego się pokera, trudne do wytrzymania i wyczerpujące, ale też fascynujące i straszliwe.

Coraz to nowe nazwiska wyświetlały się na dwudziestu kilku kwadratach.

Ludzie wrzeszczeli jak nienormalni, niektórzy tracili przytomność, w hali panowała druzgocząca wrzawa, istne piekło. Co kilka minut na tablicy zapalał się wielki znak:

**UWAŻAJCIE NA SWOJE INICJAŁY**

Fara uważał. Z każdą mijającą sekundą wydawało mu się, że nie znieśie tego ani chwili dłużej. Pragnął ciszy. Chciał wstać i chodzić, ale kiedy inni to czynili, straszliwie na nich krzyczano. Niespodziewanie, ślepa dzikość sytuacji

przeraziła Fara. Pomyślał niepewnie: „Nie mam zamiaru robić z siebie głupca.

Ja...”

- Clark Fara.... - zalsniło na tablicy. - Clark Fara... Fara zerwał się na równe nogi.

- To ja! - wrzasnął. - Ja!

Nikt się nie odwrócił. Nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

Zawstydzony dotarł do miejsca, gdzie nie kończąca się kolejka ludzi przechodziła stopniowo przez wysokie drzwi. Cisza w długim korytarzu była prawie równie nieznośna jak hałas, który ją poprzedzał. Nie mógł się skoncentrować na numerze 474. Absolutnie nie potrafił sobie wyobrazić, co mogło być dalej, za tym numerem.

Pokój był mały. Na jego umeblowanie składał się niewielki stolik w stylu biurowym oraz dwa krzesła. Na stole leżało siedem schludnych kupek folderów, każda w innym kolorze. Foldery ułożono w rzędzie przed dużą, mlecznobiałą kulą, która rozjarzyła się delikatnym światłem. Z jej wnętrza dobiegł męski głos:

- Fara Clark?

- Tak odparł bezzwłocznie.

- Zanim zapadnie werdykt w twojej sprawie - mówił spokojnie głos - chcę, żebyś wziął folder z błękitnej kupki. Lista pokaże Piąty Międzyplanetarny Bank we właściwym stosunku do ciebie i do świata. Zostanie ci to wytłumaczone w swoim czasie.

Fara zauważył, że była to po prostu lista firm. Około pięciuset nazw, ułożonych w kolejności alfabetycznej. Folder nie zawierał żadnego wyjaśnienia, Fara wsunął go automatycznie do bocznej kieszeni. Głos ze świetlistej kuli

rozbrzmiał ponownie.

- Stwierdzono - padły wyraźne słowa - że Piąty Międzyplanetarny Bank popełnił karygodny błąd. Jest winien oszustwa, szantażu, a także współdziału w przestępstwie. Bank ten skontaktował się z twoim synem, Cayle'em, poprzez tak zwanego śmieciarza, to znaczy poprzez agenta, który zajmuje się wyszukiwaniem młodych ludzi z finansowymi problemami, lecz z bogatymi rodzicami. Taki śmieciarz pobiera prowizję w wysokości ośmiu procent, zawsze płaconą przez pożyczkobiorcę, w tym przypadku twojego syna. Bank popełnił przestępstwo, ponieważ jego agenci stwierdzili, że bank wypłacił już dziesięć tysięcy kredytów twojemu synowi, podczas gdy wypłacono tylko tysiąc. Ponosi również winę za groźbę aresztowania twego syna za rzekome fałszerstwo, poczynioną w chwili, gdy nie zaszła żadna transakcja. Machlojka polegała na szybkim odsprzedaniu długu twemu konkurentowi. Decyzją sądu obciąża się ten bank potrójną grzywną w wysokości trzydziestu sześciu tysięcy trzystu kredytów. Nie leży w naszym interesie, Faro Clarku, żebyś wiedział, w jaki sposób wydobędziemy od nich te pieniądze. Wystarczy jak dowiesz się, że bank je zapłaci i że sklepy z bronią przejmą połowę tej grzywny. Druga połowa...

Usłyszał klapnięcie i schludnie zapakowana paczka rachunków wylądowała na stole.

- To dla ciebie - wyjaśnił głos i Fara wsunął drżącymi palcami paczuszkę do kieszeni płaszcza. Skoncentrowanie się na kolejnych słowach wymagało od niego maksymalnego wysiłku zarówno umysłowego jak i fizycznego.

- Nie wolno ci myśleć, że kłopoty już się skończyły. Ponowne otworzenie twego warsztatu w Glay będzie wymagało zdecydowania i odwagi. Bądź skryty,

odważny i zdeterminowany, a nie przegrasz. Broniąc swych praw, nie wahaj się użyć broni, którą zakupiłeś. Wkrótce zapoznasz się z planem. A teraz, przejdź przez drzwi naprzeciwko.

Fara opanował się z trudem, po czym spełnił polecenie i... znalazł się w słabo oświetlonym, znajomym pomieszczeniu. Siwowłosa mężczyzna o miłej aparycji wstał z krzesła, gdzie czytał książkę i podszedł do niego uśmiechając się smutno.

Niesamowite, fantastyczne, radosne przeżycie dobiegło końca. Znowu był w sklepie z bronią w Glay.

Nie mógł wyjść ze zdumienia. Ta wielka, fascynująca organizacja działała w samym sercu bezwzględnej cywilizacji, która w przeciągu kilku krótkich tygodni ograbiła go z dorobku całego życia. Wysiłkiem woli powstrzymał potok myśli. Gdy zmarszczył brwi, jego silna twarz pokryła się siecią zmarszczek.

- Ten sędzia... - Fara zawahał się ponownie ściągając brwi, rozgniewany na samego siebie. - Ten sędzia powiedział, że aby ponownie otworzyć warsztat, będę musiał...

- Zanim do tego wrócimy - przerwał mu starszy mężczyzna - chcę, żebyś spojrział na tę niebieską listę, którą ze sobą przyniosłeś.

- Listę? - powtórzył bezwiednie Fara. Dopiero po długiej chwili przypomniał sobie, że zabrał ją z pokoju 474.

Z rosnącym zdumieniem studiował listę z nazwami firm dostrzegając, że obok Automatycznych Atomowych Warsztatów Remontowych figuruje na niej Piąty Międzyplanetarny Bank oraz kilka innych większych banków. W końcu podniósł wzrok.

- Nie rozumiem. - Pokręcił głową. - Czy to są firmy, przeciwko którym musieliście wszczynać postępowanie?

Srebrnowłosa uśmiechnął się ponuro i również pokręcił głową.

- Nie o to mi chodzi. Te firmy są zaledwie ułamkiem ośmiu milionów firm figurujących w naszych księgach. - Ponownie uśmiechnął smutno. Te firmy zdają sobie sprawę, że z naszego powodu ich zyski księgowe nie mają żadnego związku z realnymi. Nie widzą jednak różnicy, a ponieważ zależy nam na ogólnym polepszeniu zasad moralnych w świecie biznesu, a nie ulepszaniu

oszukiwanych metod, wolimy, aby tkwili w tej ignorancji.

Przerwał rzucając Farze badawcze spojrzenie.

- Istotną cechą firm na tej szczególnej liście jest to, że wszystkie są własnością cesarzowej Isher. Jednakże biorąc pod uwagę twoją opinię, nie liczę, byś dał wiarę moim słowom.

Fara stał nieruchomo. Wierzył z absolutnym przekonaniem, całkowicie i ostatecznie. Zrozumiał ze zdumieniem, jaki niewybaczalny błąd popełniał przez całe swoje życie, obserwując ten marsz zrujnowanych ludzi ku nicości, biedzie i zniesławieniu - i winił sprzedawców broni.

- Byłem szalony - jęknął. - Wszystko, co robiła cesarzowa i jej urzędnicy, uważałem za słuszne. Teraz wiem, że żadna przyjaźń, żadne osobiste związki nie mogły przetrwać w takim stanie rzeczy. Przypuszczam, że gdybym zaczął występować, czy nawet mówić cokolwiek przeciwko cesarzowej, rozprawiono by się ze mną bardzo szybko.

- Pod żadnym pozorem - starszy mężczyzna podniósł głos - nie wolno ci nic mówić przeciwko jej wysokości. Sklepy z bronią nie aprobowują podobnych zachowań i nie będą służyć dalszą pomocą komukolwiek, kto postępuje tak niedyskretnie. Cesarzowa nie jest za wszystko osobiście odpowiedzialna, jak może się wydawać. Podobnie jak ty, ona również jest w pewnym stopniu niesiona na fali naszej cywilizacji, lecz nie mam zamiaru rozwodzić się na temat polityki. Najgorszy okres naszych stosunków z władzą imperium miał miejsce przed czterdziestoma laty, kiedy osoby, którym pomagaliśmy - jeśli to odkryto - likwidowano w różny sposób. Może się zdziwisz, ale twój teść również zginął z rąk tych oprawców.

Ojciec Creel! - jęknął Fara. - Ale przecież... - Krew uderzyła mu do głowy z taką siłą, że zamroczyło go na chwilę. - Ale przecież - udało mu się wreszcie wykrztusić - jak podano, uciekł z inną kobietą.

- Zawsze rozpuszczali jakąś wiarygodną historyjkę - wyjaśnił sprzedawca.

Fara milczał.

- Wreszcie położyliśmy kres tym morderstwom, eliminując trzy osoby zajmujące najwyższe miejsca w hierarchii, wyłączając rodzinę cesarską, które wydały rozkaz pewnej szczególnej egzekucji. Nie chcemy jednak powrotu krwawych mordów. Nie interesuje nas też krytyka naszej tolerancji zła. Ważne jest, by zrozumieć, że nie ingerujemy w główny nurt ludzkiej egzystencji.

Naprawiamy jedynie zło. Jesteśmy barierą oddzielającą ludzi od ich bezwzględnych wyzyskiwaczy. Ogólnie mówiąc, pomagamy tylko uczciwym. Nie oznacza to, że nie wyciągamy pomocnej dłoni do posiadających mniej skrupułów, lecz w takich przypadkach ograniczamy się jedynie do sprzedaży broni - co wbrew pozorom jest bardzo dużą pomocą. Olbrzymie znaczenie ma tutaj fakt, iż rząd utrzymuje się przy władzy prawie wyłącznie dzięki ekonomicznym szykanom.

- Przez cztery tysiące lat od czasu, gdy ten błyskotliwy geniusz Walter S. de Lany odkrył proces wibracji, który umożliwił powstanie sklepów z bronią oraz ustanowił pierwsze zasady politycznej filozofii naszej organizacji, obserwowaliśmy, jak kolejne rządy przechodzą na przemian od demokracji pod ograniczoną monarchią, aż do całkowitej tyranii i odwrotnie. Odkryliśmy przez ten czas jedną rzecz: ludzie zawsze mają taki rząd, jaki chcą. Kiedy zapragną żyć inaczej, muszą go zmienić. My jak zawsze pozostaniemy rdzeniem wolnym

od korupcji. Posiadamy psychologiczną maszyną, która nieomylnie rozpoznaje charakter człowieka. Powtarzam, wolny od korupcji rdzeń ludzkiego idealizmu, oddany usuwaniu chorób, które powstają w sposób nieunikniony pod każdą formą rządu.

- Ale teraz... twój problem. W rzeczywistości jest bardzo prosty. Musisz walczyć tak, jak wszyscy ludzie walczyli od początku o to, co było dla nich wartościowe - o swoje prawa. Jak wiesz, ludzie z Automatycznych Warsztatów usunęli twoje maszyny i narzędzia w ciągu godziny od zamknięcia firmy. Przetransportowano je do Ferd, a następnie przesłano do wielkiego magazynu na wybrzeżu. Odzyskaliśmy je i dzięki naszym specjalnym środkom transportu znów umieściliśmy w twoim warsztacie. Pójdiesz tam teraz i...

Fara słuchał instrukcji z silnym postanowieniem, aż wreszcie, zaciskając mocno szczękę, skinął głową.

- Możecie na mnie liczyć - powiedział stanowczo. - W swoim czasie byłem upartym człowiekiem i, mimo że przeszedłem na inną stronę, ta cecha charakteru pozostała niezmienna.



Policja знаła większość Domów Iluzji. Wiedza ta opierała się na niepisanym układzie. Tuż przed spodziewanym nalotem ostrzegano właściciela, pod warunkiem, że listy z nazwiskami ludzi, których tam chwymano, znajdowały się w jakiejś łatwo dostępnej szufladzie biurka. Potem wysyłano tych biedaków i przestępców na Marsa, Wenus i różne księżyce. Agenci rządowi nieodmiennie potrzebowali ludzi do pracy na innych planetach. A te domy, często odwiedzane przez bogate kobiety, które nie mogły sobie pozwolić na skandale, dostarczały siły roboczej.

Policji nie podobały się jedynie sporadycznie występujące wypadki śmiertelne, bo jak wiadomo, martwi zwykle nie składają zeznań. Właściciele Domów Iluzji bezlitośnie ciągnano po sądach, gdy łamali tę jedną, nienaruszalną zasadę. Przez setki lat udawało się dzięki temu utrzymywać te siedliska rozpusty pod względną kontrolą.

Cayle zeskoczył z trapu prosto na ziemię. Znieruchomiał, co było niekontrolowaną reakcją podczas pierwszego zetknięcia z twardą skałą Marsa. Jej chłód przeniknął podeszwy butów. Lodowatym wzrokiem zlustrował posępne miasto Shardl. Tym razem pojawiła się nienawiść tak gwałtowna, że wzdrygnął się, i determinacja tak silna, że poczuł, jak lód w jego sercu zamienia się w skałę.

- Ruszaj się... - Poczuł na plecach bolesne uderzenie pałki. Jeden z żołnierzy pilnujący wysiadających otepiałych mężczyzn, wykrzyczał mu te słowa w twarz. Brutalny głos brzmiał głucho w rozrzedzonym powietrzu. Cayle nie odwrócił się. Ruszył posłusznie, reagując w ten sposób na

zniewagę i obrazę. Szedł przed siebie utrzymując miejsce w szeregu, a z każdym krokiem chłód przenikał coraz głębiej do jego serca. Wciągnął zimne powietrze w płuca. Mężczyźni idący przed nim odczuwali to samo. Zaczęli biec. Kilku wyrwało się do przodu dysząc chrapliwie, z wywalonymi białkami oczu, reagując niezdarnie na zmniejszoną grawitację. Nierówne i szorstkie podłoże dawało się we znaki tym, którzy upadli. Wrzaski mieszały się z przekleństwami, kiedy sterczące krawędzie wdzierały się w miękkie ciała. Ludzka krew zboczyła twardą niczym żelazo glebę wiecznie zamrożonej planety.

Cayle szedł nieugięcie dalej, ze wzdrganiem patrząc na tych, którzy potracili głowy. Ostrzegano ich wcześniej przed grawitacją. Wielka, zamknięta, plastikowa budowla wznosiła się zaledwie czterysta metrów dalej. Przenikliwy chłód dokuczał, lecz był do zniesienia. Cayle dotarł do celu straciwszy czucie w stopach i czując mrowienie w całym ciele. W ciepłej hali skierował się do miejsca, z którego rozciągał się widok na główną część miasta.

Shardl, małe górnicze miasteczko zbudowano na równinie, która gdzieś zaczynała rozkwitać zielenią ciepłych, atomowych ogrodów. Wyjątkowo dziwaczne, nakrapiane krzaki tylko uwydatniały panującą tu pustkę. Cayle zauważył, że mężczyźni studiują tablice z biuletynami zawieszane na jednej ze ścian. Zbliżył się i przeczytał:

## MOŻLIWOŚCI

Przecisnął się bliżej i odczytał resztę, po czym uśmiechnął się i odwrócił. A więc chciano, żeby ludzie zapisywali się na marsjańskie farmy. Zgodzić się na piętnaście lat pobytu, a „Jej wysokość, Innelda z Isher dostarczy ci całkowicie wyposażoną, atomowo podgrzewaną farmę. Nie ma konieczności uiszczenia

zapłaty z góry. Czterdzieści lat na spłatę”.

Oferta kończyła się złowieszczo: „Udaj się niezwłocznie do Biura Gruntów i podpisem wyraż swój akces - a nie będziesz musiał ani minuty pracować w kopalni”.

Cayle pozostał oporny na zachęty. Słyszał o tym systemie kolonizacji zimnego Marsa oraz gorącej Wenus. W końcu pionierzy zajmą każdy akr powierzchni, a planeta zostanie poddana korzystnemu wpływowi atomowej mocy. I w ten sposób, przez tysiąclecia, ludzie doprowadzą do odtajania wszystkich lodowych, możliwych do zamieszkania światów Układu Słonecznego i ochłodzenia płonących pustyni Wenus i Merkurego. W końcu stworzą kopie odległej zielonej Ziemi, z której przybyli.

Taka była teoria. Podczas tych wszystkich jałowych dni w szkole publicznej, kiedy to czytał i słuchał opowieści o kolonizacji, nawet nie marzył o tym, że pewnego dnia stanie tutaj i spojrzy na połowicznie oświetlony świat Marsa. Nie pomyślał, że będzie tu stał, pojmany przez system zbyt bezwzględny, aby jakikolwiek człowiek wychowany tak jak on, potrafił mu się oprzeć. Wyzbył się nienawiści do swego ojca. Ulotniła się w mgły przeszłości, do świata nicości, dokąd odeszły również iluzje. Biedny bezwolny głupiec, pomyślał z żalem. Możliwe, że niektórzy ludzie nigdy nie zrozumieją realiów życia w cesarstwie Isher.

Jego problem został prosto i skutecznie rozwiązany. Wcześniej Cayle odczuwał obawę. Teraz nie. Co dziwne, wcześniej był uczciwy. Teraz nie. No cóż, może pod pewnym względem. Wszystko zależało od indywidualnego spojrzenia na życie i tego jak dalece zaaprobuje się teorię, że istota ludzka musi

być na tyle silna, aby sprostać wymogom czasu. Cayle Clark zamierzał sprostać.

Taki człowiek, jakim on się stał, nie pozostanie długo na Marsie. Tymczasem nie może podpisywać niczego, co mogłoby ograniczyć jego swobodę. Musi zachować ostrożność i jednocześnie chwycić w locie nadarżające się możliwości.

Tuż za jego plecami rozbrzmiał męski głos.

- Czy mam przyjemność z Cayle'em Clarkiem, byłym mieszkańcem wioski Glay?

Cayle odwrócił się powoli. Nie oczekiwał, że sposobność nadarzy się tak szybko. Przed nim stał niski mężczyzna. Miał na sobie płaszcz z kosztownego materiału i niewątpliwie nie przybył tu w ten sam sposób co Cayle, mimo niepozornego i niechlujnego wyglądu. Jego głos odezwał się ponownie:

- Jestem miejscowym... hmm... przedstawicielem Piątego Banku. Może się okazać, że potrafimy panu pomóc wyjść z tej niezwyklej sytuacji. - Mężczyzna wyglądał jak ropucha. Jego wymizerowaną twarz otaczał wysoki kołnierz. Oczy, niczym czarne koraliki, spoglądały z beznamiętnym, skąpym błyskiem.

Cayle instynktownie spiął się w sobie, nie ze strachu, lecz z pogardy.

Pewnego dnia do Domu Iluzji przysła kobieta obwieszona klejnotami - o takiej samej twarzy i takich oczach. I nawet te wszystkie biczce, jakie spoczęły na jego obnażonych plecach, pod jej chciwym wzrokiem, nie złamały w nim woli.

Wy tłumaczenie sobie, że nie ma sensu porównywać tych dwoje, lub sądzić, że mają ze sobą coś wspólnego, kosztowało Cayle'a sporo wysiłku.

- Zainteresowany? - spytała kreatura.

Właśnie miał skinąć głową, kiedy skojarzył słowo, które wcześniej

umknęło jego uwadze.

- Mówił pan, że jaki bank?

Ludzka kreatura uśmiechnęła się ze spojrzeniem kogoś, kto zdaje sobie sprawę, że rozdaje drogocenne prezenty.

- Piąty Międzyplanetarny - padła natychmiastowa odpowiedź. - Jakiś miesiąc temu złożył pan depozyt w naszej centrali w cesarskim mieście. Podczas zwyczajowego sprawdzania życiorysu każdego nowego depozytariusza odkryliśmy, że jest pan w drodze na Marsa... Powiedzmy w bardzo nieprzyjemnych okolicznościach. Dlatego też chcemy służyć panu pożyczką.

- Rozumiem - odezwał się ostrożnie Cayle dokonując kolejnej, bardziej szczegółowej, analizy agenta wielkiego banku. Nie odkrył niczego nowego. Niczego, co mogłoby wzbudzić zaufanie. Mimo to nie zamierzał kończyć rozmowy.

- A w jaki sposób bank mógłby mi pomóc? - zapytał spokojnie. Mężczyzna odchrząknął.

- Jest pan synem Fary i Creel Clarków? - zapytał pompatycznie. Cayle po chwili wahania przyznał się do pokrewieństwa.

- Pragnie pan powrócić na Ziemię?

- Tak. - W odpowiedzi nie było znać śladu wahania.

- Podstawowa opłata - zaczął mężczyzna - wynosi sześćset kredytów za rejs, kiedy

odległość

między

Marsem

a

Ziemią

pozwała

na

dwudziestoczterodniową podróż. Kiedy dystans się zwiększa, koszty wznoszą dodatkowo do dziesięciu kredytów dziennie. Prawdopodobnie wie pan o tym.

Cayle nie wiedział. Domyślał się wcześniej, że tygodniówka w kopalni wynosząca dwadzieścia pięć kredytów nie pozwoli mu na zbyt szybki powrót na Ziemię. Odczuwał napięcie, świadom tego, jak osaczony jest człowiek bez źródła dochodów. Wiedział już, co się stanie.

- Piąty Bank - powiedział uroczystym tonem mężczyzna - pożyczę panu tysiąc kredytów, jeżeli pański ojciec zagwarantuje spłatę długu i jeżeli podpisze pan weksel na dziesięć tysięcy kredytów.

Cayle usiadł ciężko. Koniec nadziei nadszedł szybciej, niż się spodziewał.

- Mój ojciec - powiedział znużonym głosem nigdy nie zagwarantuje spłaty pożyczki wynoszącej dziesięć tysięcy kredytów.

- Poprosimy pańskiego ojca - stwierdził agent - żeby zagwarantował tylko ten jeden tysiąc. Pan będzie musiał spłacić dziesięć tysięcy z przyszłych dochodów.

Cayle badał go spod przymrużonych powiek.

- W jaki sposób wejdę w posiadanie tych pieniędzy? Wymizerowana twarz uśmiechnęła się.

- Pan podpisuje, a my damy panu całą sumę. Ojca niech pan zostawi nam.

Nasz Departament Psychologii zajmuje się takimi sprawami. Wobec niektórych

używamy techniki dominacji. Na innych...

- Jeśli o mnie chodzi, muszę mieć te pieniądze zanim cokolwiek podpiszę -  
przerwał mu Cayle

Rozmówca wzruszył ramionami i roześmiał się.

- Jak pan sobie życzy. Widzę, że jest pan twardym negocjatorem. Proszę  
zatem za mną do biura dyrektora kopalni.

Cayle w zamyśleniu podążył za nim. Prostota tej metody wzbudziła w nim  
niechęć zmieszaną z obawą. Wszystko działo się zbyt szybko, tak jakby... No  
cóż, tak jakby była to część rutyny kończącej podróż. Zwolnił i rozejrzał się  
dokoła uważnie. Dostrzegł długi rząd biur, do których elegancko ubrani ludzie  
wprowadzali dopiero co przybyłych.

Wydawało mu się, że może wyobrazić sobie ten obraz. Pierwsza oferta na  
tablicy biuletynowej. Ochotnicy do wyjazdu na farmę. Jeżeli nie złapali cię w  
ten sposób, podchodził wygadany facet z ofertą pożyczki na zasadzie  
rodzinnego kredytu. Pożyczone pieniądze albo w ogóle się nie pojawiają, albo  
zostaną ci skradzione prawie od razu.

A zatem, wyczerpawszy wszystkie dostępne źródła, obecne i przyszłe,  
miałeś pozostać na Marsie.

Będzie kilku świadków, pomyślał Clark. Potężne draby z bronią -  
gwarancja, że nie dostaniesz swoich pieniędzy.

Dobry sposób na kolonizację nieprzyjaznej planety. Możliwe, że jedyny,  
zważywszy że ludzie już dawno zatracili zamiłowanie do pionierstwa.

W biurze czekało na nich dwóch, elegancko ubranych, uśmiechniętych i  
przyjaznych mężczyzn. Przedstawili się jako dyrektor kopalni i przedstawiciel

banku. Clark zastanowił się cynicznie, jak wiele innych osób uśpionych i załadowanych na statek tak jak on, było w tym samym momencie przedstawianych „dyrektorowi kopalni”. Brzmiało to imponująco, a rozmowa z tak wysoko postawioną personą musiała przyprawiać o dreszcz radości. Cayle uścisnął wyciągniętą dłoń, oceniając w myślach swoje położenie. Pieniądze musiał dostać legalnie, co oznaczało podpisanie dokumentu i otrzymanie kopii. Lecz nawet to nie gwarantowało czegokolwiek. Ale przecież na tych planetach istniało jakieś prawo. Niebezpiecznie byłoby pozostać bez pieniędzy i pojawić się w sądzie, gdzie z pewnością wszyscy by wszystkiemu zaprzeczyli. Pokój nie był duży, lecz luksusowo umeblowany. To mogło być biuro dyrektora kopalni. Ujrzał dwie pary drzwi, te którymi wszedł i drugie naprzeciwko, którymi, jak sądził, obrabowany osobnik wychodził nie mając szansy porozmawiać z ludźmi w dużym pokoju. Clark podszedł do tych drugich drzwi. Otworzywszy je zorientował się, że prowadzą na zewnątrz. W zasięgu wzroku ujrzał baraki otoczone przez grupki żołnierzy. Znieruchomiał zdając sobie sprawę, że z pewnością uniemożliwiono by mu ucieczkę, gdyby otrzymał pieniądze.

Szybkim ruchem palców sprawdził, czy działa zamek w drzwiach. Cicho je zamknął i z uśmiechem powrócił do pokoju. Otrząsnął się.

- Ale chłodno na zewnątrz. Z radością wrócę na Ziemię.

Trzej mężczyźni uśmiechnęli się współczująco, a agent bankowy przypominający płaza, wyjął dokument z przypiętymi dziesięcioma stukredytowymi banknotami. Clark przeliczył pieniądze i włożył je do kieszeni. Następnie przeczytał treść prostej umowy, najwidoczniej obmyślanej tak, by



uspokoić umysły ludzi, którzy podejrzliwie odnosili się do wszelkiego rodzaju formularzy. Dokumenty sporządzono w trzech kopiach. Jedna miała zostać przesłana na Ziemię, druga do marsjańskiej filii - i trzecia dla niego. Były odpowiednio podpisane i opieczetowane. Czekwały tylko na jego podpis. Clark oderwał tę trzecią kopię i włożył do kieszeni. Pozostałe zamieszczono w obwodzie rejestrującym. Złożył zamaszty podpis, a następnie cofnął się o krok i rzucił długopis ostrym końcem prosto w twarz „dyrektora”.

Mężczyzna wrzasnął i podniósł rękę do zranionego policzka.

Clark nie czekał na reakcję pozostałych. Jednym skokiem znalazł się tuż przy mężczyźnie podobnym do ropuchy, schwycił go za szyję, tuż nad ciężkim kołnierzem, i ścisnął z całej siły. Kreatura wrzasnęła, opierając się słabo. Przez chwilę Clarka ogarnęło ostre poczucie lęku, że błędnie obmyślił plan ataku. Wszedł z założenia, że ten drugi również posiada broń i że sięgnie po nią w panice. Długie kościste, niczym szpony, palce skierowały się pod poły przepastnego płaszcza i wyłoniły się ściskając mały, błyszczący miotacz. Clark zmiażdżył chudą dłoń. Broń upadła z brzękiem na podłogę.

Dostrzegł, jak ten „wysoki urzędnik” zachodzi go od tyłu, by nie zranić płaza. Clark mierzył w stopy. Cienki, jasny promień dosięgnął celu. Odór przypalonego mięsa wypełnił pomieszczenie, a strużka błękitnego dymu wydobyła się z eleganckiego buta. Mężczyzna wrzeszcząc upuścił miotacz i zwałił się ciężko na podłogę, trzymając za stopę. Po ponagleniu, „dyrektor” niechętnie uniósł ręce w górę. Clark szybko uwolnił go od ciężaru miotacza, podniósł drugi z podłogi i wycofał się w kierunku drzwi.

W skrócie wyjaśnił im swój zamiar. „Ropucha” będzie mu towarzyszył

jako zakładnik. Pójdą do najbliższej bazy lotniczej i polecą do miasta Mare Cimmerium, gdzie złapie rejsowy liniowiec na Ziemię.

- A jeżeli coś się nie powiedzie - zakończył - przynajmniej jedna osoba umrze przede mną.

Wszystko się powiodło.

A był to dwudziesty szósty sierpnia 4784 roku Isher, dwa miesiące i dwadzieścia trzy dni od pierwszego ataku Inneldy na producentów broni.

Cayle Clark planował i analizował; dni podróży z Marsa na Ziemię obrały kurs przeciwny do ruchu wskazówek zegara. Czas Rejsowy zmienił się stopniowo z Czasu Dziennego na Czas Cesarskiego Miasta. Ale czerń na zewnątrz z oślepiająco jasną kulą Słońca po jednej stronie wydawała się niezmienna. Podawano posiłki. Clark spał, śnił, istniał. Jego myśli stały się bardziej wyraziste, bardziej zdecydowane. Nie miał wątpliwości. Człowiek, który odrzucił strach przed śmiercią, nie mógł ponieść porażki.

Słoneczne światło stopniowo nabierało intensywności. Wylewało się na otaczające ciemności spiralnymi strugami. Mars zmienił się w drobny punkt - czerwoną kropkę w morzu nocy. Ciężko go było dostrzec pośród gwiazdnych brylantów kosmosu. Ziemia stopniowo przeobrażała się w dużą, lśniąca kulę światła, a następnie w monstrualną, przymgloną, niewiarygodną materię wypełniającą połowę nieba. Cayle ujrzał kontynenty. Po nocnej stronie Ziemi, częściowo tylko widzialne. Gdy statek minął Księżyc, zamigotały miasta rywalizując dzielnie z wszechobecnym kosmosem.

Clark nie spędzał całego czasu na obserwacji planety. Na pięć dni przed przybyciem do celu podróży odkrył, że w jednej z ładowni grają w pokera. Dołączył się i przegrywał od samego początku. Zaledwie od czasu do czasu jakaś wygrana pozwalała mu odzyskać kilka kredytów. Ale na trzeci dzień nieustającego hazardu szczęście opuściło Clarka całkowicie. Przerażony wycofał się ostatecznie.

W kabinie przeliczył pieniądze, które mu zostały - miał osiemdziesiąt jeden kredytów. Zapłacił przedstawicielowi banku osiem procent prowizji od tysiąca

kredytów. Reszta poszła na opłatę za przelot, przegrane w pokera i jeden miotacz klasy cesarskiej. Na pocieszenie, pomyślał, że wkrótce znajdzie się z powrotem w cesarskim mieście. „I to z większą gotówką niż kiedy tam przybyłem po raz pierwszy”.

Położył się. Ku swemu zdziwieniu czuł się rozluźniony. Przegrane w pokera nie zmartwiły go. Nie planował ponownie próbować szczęścia w grach. Miał przed oczami zupełnie odmienny obraz własnego życia. Oczywiście nie obejdzie się bez ryzyka, lecz zupełnie innego rodzaju. Wygrał przynajmniej pięćset tysięcy kredytów w Pałacu Grosika. Trudno będzie je odebrać, lecz w końcu mu się uda. Czuł w sobie cierpliwość i był przygotowany na wszelkie zrzędzenia losu.

Jak tylko odzyska pieniądze, zapewni sobie patent oficerski od pułkownika Medlona. Być może nawet za niego zapłaci. To będzie zależało od sytuacji. W jego planie zabrakło miejsca na zemstę. Nie obchodziło go to, co stało się z tymi dwoma skorumpowanymi kreaturami, grubym i pułkownikiem. Dla Cayle 'a byli jak kamienie milowe na drodze do najbardziej ambitnego projektu, jaki kiedykolwiek powstał w cesarstwie Isher.

Innelda chciała jak najlepiej dla swego kraju. Podczas tego jedyne go kontaktu Cayle wyczuł, że jest sfrustrowana korupcją poddanych. Wbrew powszechnej opinii, cesarzowa była uczciwa. Clark nie wierzył, by mogła wydać rozkaz egzekucji. Jako władczyni nierzadko podejmowała trudne decyzje. Tak jak i on, ona również musi sprostać wymogom sytuacji.

Cesarzowa była uczciwa. Z radością powita człowieka, który wykorzystując jej nieograniczoną władzę zrobi porządek w imperium. Przez

dwa i pół miesiąca zastanawiał się nad tym, co powiedziała owego pamiętnego dnia w biurze Medlona, i doszedł do całkiem interesujących wniosków.

Wspomniała o żołnierzach, którzy masowo dezercerowali, pod wpływem pogłosek o nadchodzących zmianach, a jej oskarżenie o spiskowanie ze sklepami z bronią wiązało się z niewyjaśnionym zniknięciem tych sklepów.

Naprawdę coś się miało wkrótce wydarzyć, a przed człowiekiem mającym z nią osobisty kontakt otwierało to olbrzymie możliwości.

Najpierw jednak musiał odszukać Lucy Roll i poprosić ją o rękę.

Ten głód nie mógł czekać.

Statek wylądował na kilka minut przed południem, w bezchmurny dzień.

Formalności zajęły trochę czasu i zanim podstemplowano papiery i Cayle wyszedł na świeże powietrze, minęła 14:00. Delikatny wietrzyk przyjemnie muskał policzki. Z metalowego lądowiska spojrzął na olśniewające miasto.

Widok chwycił za serce, lecz Clark nie tracił czasu. Z budki staty połączył się z numerem Lucy. Po chwili na ekranie pojawiła się twarz młodego mężczyzny.

- Jestem mężem Lucy - przedstawił się znajomo wyglądający młodzieniec.

- Wyszła na chwilę, lecz nie musisz z nią rozmawiać. - Nakazującym tonem

dodał: - Przyjrzyj mi się dobrze, a z pewnością przyznasz mi rację.

Clark zapowietrzył się patrząc tępo w ekran, lecz pamięć nie mogła pokonać szoku spowodowanego tym, co właśnie usłyszał.

- Przyjrzyj mi się uważniej - ponaglił obraz w stacie. Clark zaczął.

- Nie sędzę, żebym...

Wreszcie zrozumiał. Cofnął się jak człowiek, którego walnięto w twarz.

Podniósł rękę, jakby chciał osłonić oczy przed oślepiającym światłem. Poczul jak krew odpływa mu z policzków i zachwiał się. Znajomy głos, jak magnes, przywrócił go z powrotem do normalności.

- Weź się w garść! - usłyszał. - I posłuchaj. Chcę, żebyś się ze mną spotkał jutro w nocy na plaży Raju Haberdashery. Spójrz na mnie jeszcze raz i przekonaj się. Bądź tam.

Clark nie musiał patrzeć, lecz jego wzrok błędził po ekranie staty. Dalsze pytania były zbędne. Patrzył na własną twarz.

Cayle Clark patrzył na Cayle'a Clarka - o 14:10, 4 października 4784 roku Isher.

Szósty października - cesarzowa drgnęła i przewróciła się na bok w swoim łóżku. Wspomnienia przyćmiły wszystkie inne myśli. Poprzedniej nocy obiecała sobie, że do rana podejmie decyzję. Kiedy wyrwała się z objęć snu, wciąż towarzyszyła jej niepewność. Kobieta otworzyła wypełnione goryczą oczy. Usiadła, starając się pozbyć napięcia twarzy. Natychmiast podbiegło do niej kilka służących, które do tej pory kręciły się za dźwiękoszczelnym ekranem. Przyniosły energetycznego drinka. Gdy odsłoniły okna, imponujących rozmiarów sypialnia zajaśniała blaskiem kolejnego ranka. Masaż, prysznic, kosmetyka twarzy, włosów - w miarę trwania tych rutynowych czynności Innelda myślała: „Czas zacząć działać, w przeciwnym razie ten atak skończy się osobistym upokorzeniem. Po czterech miesiącach nie mogą ciągle zwlekać”.

Już w sukni przyjęła pierwszego z oczekujących oficjałów. Gerritt, szef Pałacowej Administracji miał problem, a raczej wiele problemów, jak zwykle irytujących. Częściowo ona ponosiła winę za taki stan rzeczy. Dawno temu nalegała, by powiadamiano ją o wszelkich karach wymierzanych pałacowemu personelowi. Obecnie najczęściej surowym osądem podlegała bezczelność i wyniosłość. Wykroczeniem, które stawało się coraz bardziej powszechne, było uchylanie się od wypełnienia obowiązków i przeciwstawienie przełożonym.

- Na miłość boską. - Innelda wzniosła oczu ku niebu, wyraźnie zdenerwowana. - Jeżeli nie podobają im się warunki, dlaczego po prostu nie zrezygnują? Służący z doświadczeniem zdobytym w pałacu bez problemu znajdą posadę, choćby z tego względu, że podobno dużo wiedzą na temat moich osobistych spraw.

- Dlaczego wasza wysokość nie pozwoli mi zająć się tymi osobistymi sprawami? - poskarżył się Gerritt, czyniąc to nader stanowczo. Innelda wiedziała, że w końcu ją zmęczy, lecz nie będzie to z korzyścią dla niego. Żaden uparty, stary konserwatysta nie będzie miał pełnej kontroli nad olbrzymią armią pałacowej służby - dziedzictwa okresu regencji. Westchnęła i odprawiła go powracając do swoich myśli. Co ma uczynić? Czy powinna wydać rozkaz kolejnego ataku? A może czekać z nadzieją na nowe, bardziej pomyślne informacje? Problem polegał na tym, że czekała już wiele tygodni.

Wszedł generał Doocar. Wysoki, chudy mężczyzna o ciemnoszarych oczach zasalutował sprężyście.

- Pani, ten budynek pojawił się ponownie ubiegłej nocy na dwie godziny czterdzieści minut, tylko o jedną minutę różnicy od szacowanego czasu.

Innelda skinęła głową. Teraz stało się to rutyną. Cykliczne pojawianie się budynku rządowego rozpoczęło się w ciągu tygodnia od jego pierwszego zniknięcia. Wciąż obstawała przy tym, by informowano ją o ruchach budynku, ale sama nie wiedziała po co.

Jestem jak dziecko, pomyślała. Nie mogę pozwolić, by wszystko wciąż wymykało mi się spod kontroli. Nastrój popsuł jej się nagle. Poczyła kilka ostrych uwag na temat społeczności wojskowych naukowców pod dowództwem Doocara, a następnie zadała kolejne pytanie. Generał pokręcił głową.

- Pani, jakikolwiek atak nie wchodzi teraz w grę. W każdym większym mieście na tej planecie mamy maszynę mocy, która dominuje nad sklepami z bronią, lecz w ciągu ostatnich dwóch i pół miesiąca zdezerterowało jedenaście tysięcy żołnierzy. Maszyny mocy obsługiwane są przez strażników nie



mających pojęcia, jak to robić.

Kobieta ożywiła się.

- Automat hipnotyczny nauczyłby ich wszystkich w godzinę.

- Istotnie. - Twardy głos męczyzny nie stracił na stanowczości. Wąskie usta zmieniły się w cieką kreskę. - Wasza wysokość, przywilej wydawania rozkazów należy do ciebie. Ja je wykonuję.

Zirytowana Innelda zagryzła wargę. Ten ponury, stary cap schwytał ją w pułapkę. Zdenerwowała się, że wyzwoliła myśl, której tak często nie chciała dopuścić do siebie w przeszłości.

- Zdaje się, że tak zwani zwykli żołnierze są bardziej lojalni niż oficerowie.

I bardziej odważni.

Generał wzruszył ramionami.

- Pozwalasz tym kreaturom od pobierania podatków sprzedawać patenty oficerskie - rzucił oskarżycielsko. - Ogólnie mówiąc sama uczysz tego ludzi. Oczywiście, nie spodziewasz się chyba, że człowiek, który zapłacił dziesięć tysięcy kredytów za oficerskie szlify, da się zabić.

Sprzeczką zaczynała ją nużyć. Znała ją doskonale, choć ubraną w inne słowa. Te same stare slogany wzmocnione tą samą dramaturgią. Chociaż od dnia, w którym poruszono po raz pierwszy problem patentów w siłach zbrojnych, upłynęło już kilka tygodni, temat nie należał do przyjemnych. Teraz przypomniał jej o czymś, o czym prawie zapomniała.

- Ostatnim razem, kiedy o tym rozmawialiśmy - powiedziała dokładnie akcentując każdą sylabę - prosiłam, byś skontaktował się z pułkownikiem Medlonem i zapytał go, co stało się z tym młodym człowiekiem, któremu miał

przyznać patent oficerski. Nieczęsto kontaktuję się osobiście z niższymi rangą oficerami. - Nagle ogarnęła ją furia. - Jestem otoczona przez bandę starców, którzy nie potrafią zmobilizować wojska. - Z trudem stłumiła gniew. - Ale nieważne. Co z nim?

Generał Doocar odezwał się lodowato:

- Pułkownik Medlon poinformował mnie, że ten przyszły oficer nie stawiał się o wyznaczonej porze. Pułkownik zakłada, że chłopak dowiedział się o tym, co się dzieje i pospiesznie zmienił zdanie.

Zapadła męcząca cisza. Innelda pomyślała, że wyjaśnienie brzmiało nie tak, jak powinno. Nie on. Poza tym osobiście z nim rozmawiała.

Doceniała potęgę osobistego kontaktu. Ludzie, którzy spotkali cesarzową Isher, nie tylko odczuwali jej osobisty czar, lecz doświadczali paranormalnej aury jej pozycji. A to do tej pory działało bez zarzutu.

W końcu Innelda przemówiła ze spokojną determinacją:

- Generale, jeszcze dzisiaj poinformuj pułkownika, że albo odnajdzie tego młodego oficera, albo rankiem stanie przed wykrywaczem kłamstw.

Wymizerowany mężczyzna skłonił się z cynicznym uśmiechem na twarzy.

- Pani - zaczął - jeśli czerpiesz przyjemność z mszczenia korupcji, poprzez ściganie jednostkowych przypadków, masz zajęcie na całe życie.

Nie podobała jej się ta uwaga. Kryła się w niej brutalność, która sięgnęła głęboko, w samo serce. Cofnęła się.

- Muszę od czegoś zacząć. - Wykonała nieokreślony gest, wyrażający częściowo groźbę, a częściowo frustrację i dodała z wyraźnym

niezadowoleniem: - Rozumiem, generale. Kiedy byłam młodsza, zgadzałeś się,

że coś należy zrobić.

- Ale nie ty powinnaś to uczynić. - Pokręcił z dezaprobatą głową. -

Cesarska rodzina musi sankcjonować, lecz nie włączać się osobiście, w moralne czyszczenie domu. - Wzruszył ramionami. - Szczerze mówiąc, mniej więcej rozumiem ideę sklepów z bronią. Żyjemy w czasach, gdy ludzie zwracają się ku korupcji, kiedy ich żadne przygód instynkty nie mogą się wyzwolić.

Zielone oczy błysnęły złowrogo.

- Nie interesuje mnie filozofia sklepów z bronią.

Zaskoczyło ją, że mówił o sklepach z bronią w taki sposób. Cisnęła w niego oskarżeniem, lecz wysoki, stary mężczyzna pozostał niewzruszony.

- Pani - odrzekł spokojnie - kiedy przestanę analizować ideę i filozofię władzy, która istnieje już trzy tysiące siedemset lat, możesz spodziewać się mojej rezygnacji.

Odrzuciła ten argument. Wszędzie dokoła napotykała niemalże bogobojny stosunek do sklepów z bronią. A nawet więcej - akceptację sklepów jako prawowitego elementu cywilizacji Isher. Muszę pozbyć się tych starców, pomyślała nie po raz pierwszy. Traktują mnie jak dziecko i zawsze będą tak robić.

- Generale, nie interesuje mnie wysłuchiwanie moralnych nauk organizacji, która u swoich podstaw jest odpowiedzialna za całą niemoralność w Układzie Słonecznym - odezwała się lodowatym głosem. - Żyjemy w wieku, w którym potencjał produkcji jest tak wielki, że nikt nie powinien nawet pamiętać o głodzie. Przesłębstwa z pobudek ekonomicznych nie istnieją. Problem przestępstw psychopatycznych zostaje rozwiązywany po ujęciu winnego. A jaka

jest rzeczywistość? - Wrzała od gniewu. - Odkrywamy, że nasz psychopata zakupił broń w sklepie. Właściciel Domu Iluzji jest chroniony podobną bronią. To prawda, że w tym przypadku istnieje niepisana umowa między policją a tymi domami. Lecz gdyby jakiś właściciel stawiał opór musielibyśmy sprowadzić trzydziestotysięcznocyklowe działo, aby go pokonać. - Umilkła oceniając wykonaną przez fryzjerkę pracę. Wreszcie, zadowolona, odprawiła ją ruchem ręki.

- Absurdalne i zbrodnicze! - kontynuowała. - Jesteśmy sfrustrowani w naszym pragnieniu, aby położyć kres tej odwiecznej niegodziwości milionów jednostek, które sztychą z obowiązującego prawa, ponieważ mają broń ze sklepów z bronią. Sytuacja wyglądałaby inaczej, gdyby producenci broni ograniczyli sprzedaż swych produktów do odpowiednich osób. Kiedy jednak każdy kundel może kupić...

- Broń defensywną! - wtrącił miękko generał. - Tylko defensywną.

- Właśnie - przyznała Innelda. - Człowiek może popełnić każde przestępstwo, a potem skutecznie bronić się przeciwko wymiarowi sprawiedliwości. - Och - sapnęła z furią - po co ja w ogóle z tobą rozmawiam?

Powtarzam, posiadamy potencjał zdolny do zniszczenia tych sklepów raz na zawsze. Nie musisz zabijać członków tej organizacji, ale zorganizuj armię, aby zniszczyć sklepy. Zorganizuj ją, powtarzam, i przygotuj do ataku w ciągu trzech dni. Tygodnia? - Spojrzała na niego wnikliwie. - Jak długo, generale?

- Daj mi czas do nowego roku, pani. Przysięgam, że to zamieszanie spowodowane masowymi dezercjami pozbawiło nas znaczącej siły.

Przez moment zapomniała o dezercjach.

- Pojmaliście choćby część z nich? Zawahał się.

- Tak, niektórych.

- Jeszcze dziś rano chcę przesłuchać jednego z nich. Generał Doocar skłonił się.

- Co do reszty - dodała Innelda - naślij na nich żandarmerię. Jak tylko skończy się ten bałagan, powołam specjalny wojskowy sąd i nauczymy tych zdrajców, co znaczy przysięga wierności.

- A co - odezwał się Doocar miękkiem głosem - jeśli mają broń ze sklepów z bronią?

Zareagowała gwałtownie, lecz po chwili stłamsiła w sobie gniew.

- Mój przyjacielu - odpowiedziała ponuro - kiedy dyscyplinę w armii trafia szlag z winy jakiejś podziemnej organizacji, wówczas nawet generałowie muszą zdać sobie sprawę, że najwyższy czas ruszyć tyłek i zniszczyć ową siłę. -

Wykonała zdecydowany ruch ręką. - Po południu, generale, odwiedzę laboratoria Olimpijskie Pola. Chcę zobaczyć, jakie poczyniono postępy w śledztwie, które ma wyjaśnić, co producenci broni zrobili z naszym budynkiem. Jutro rano pułkownik Medlon dostarczy mi tego młodego mężczyznę, któremu obiecał oficerskie szlify. W przeciwnym razie, jedna skorumpowana głowa spadnie na bruk. Możesz myśleć, że zachowuję się dziecinnie zajmując się jednostkami, ale od czegoś, do cholery, trzeba zacząć. Przynajmniej wiem, że na tego chłopca mogę liczyć. A teraz - podniosła głos - wielbicielu sklepów z bronią, wynoś się stąd, zanim zrobię coś złego.

- Pani - zaprotestował łagodnie Doocar. - Jestem lojalny wobec Domu Isher.

- Miło mi to słyszeć - ucięła Innelda i wyszła na korytarz nie zaszczycając  
generała spojrzeniem.

Kiedy weszła do sali jadalnej, usłyszała słabe westchnienie ulgi.

Uśmiechnęła się ponuro. Ludzie, którzy chcieli jadać przy cesarskim stole, musieli czekać na jej znak - przełamanie chleba albo wiadomość, że nie przyjdzie. Nikt nie musiał brać udziału w tych ucztach, lecz ci, którzy mieli dostęp do jadalni, nie rezygnowali z tego przywileju. Innelda uniosła dłoń.

- Dzień dobry! - Usiadła u szczytu stołu. Wzięła łyk wody ze szklanki, dając tym samym sygnał lokajom. Rozejrzała się po komnacie. Wszędzie siwiejące głowy; mężczyźni i kobiety po pięćdziesiątce - relikty regencji. Wyjątek stanowiło kilku młodzieńców i dwie młodsze sekretarki. Oni jednak byli pozostałością po emigracji młodych ludzi, do jakiej doszło po odejściu księcia del Curtina.

- Czy wszyscy dobrze spali tej nocy? - Innelda słodko przełamała ciszę. Pospieszyli z zapewnieniami. - Jak miło - mruknęła, po czym pogrzyżyła się w ponurym milczeniu. Nie wiedziała, czego tak naprawdę od nich chce. Może podziwu, ale jakiego rodzaju? Przed rokiem, wprowadzony na dwór młody mężczyzna zapytał ją, czy jest dziewicą, a ponieważ była, wspomnienie tego incydentu nadal nie dawało jej spokoju.

Wyraźny brak ogłady. Inneldzie towarzyszyło instynktowne poczucie, że jakiegokolwiek rozluźnienie norm moralnych z jej strony godziłoby w reputację całej rodziny Isher. A zatem co? Zatopiła zęby w chrupiącym kawałku chleba. Czego chciała? Pozytywnego myślenia, wiary w zasady, ale nie sztywnego ich przestrzegania, lecz traktowania pogodnie, optymistycznie, a niekiedy i z humorem. Otrzymała surowe i proste wychowanie, w trakcie którego kładziono

nacisk na ćwiczenia umysłu w pozytywnym myśleniu. Jest to bardzo ważna umiejętność, lecz łatwo można przesadzić z powagą. Spięła się ze zwykłą sobie determinacją. „Muszę pozbyć się tych ponurych, leniwych, przesadnie uważnych, zbyt ostrożnych...”, pomyślała współczując samej sobie i zaniosiła modły do bogów. „Podarujcie mi jeden dobry żart dziennie i jednego człowieka, który weźmie w swoje ręce sprawy państwa, a do tego będzie potrafił mnie zabawić. Jaka szkoda, że nie ma tu Dela”.

Zdenerwowała się swoimi myślami. Jej kuzyn, książę del Curtin, nie aprobował ataku na sklepy z bronią. Co to był za szok, kiedy to odkryła. I co za upokorzenie, gdy wszyscy młodzi mężczyźni z jego świty opuścili wraz z nim pałac, odmawiając wzięcia udziału w tym przedsięwzięciu. Po wyeliminowaniu Bantona Vickersa, który zagroził, że poinformuje sklepy z bronią o planach cesarzowej - a zdradliwe oświadczenie zniszczyłoby jej prestiż nie mogła patrzeć przez palce na poczynania opozycji. Zaciskając wargi przypomniawszy sobie ostatnią rozmowę z księciem. On był zimny i formalny, cudownie przystojny w gniewie, ona niepewna lecz zdeterminowana. Gdy mówił: „Kiedy dojdiesz do siebie po tym szaleństwie, Inneldo, możesz mnie wezwać ponownie”, chciała mu wówczas odpowiedzieć: „To nigdy nie nastąpi”. Lecz zabrakło jej odwagi. Jak żona, pomyślała gorzko. Została wprowadzona w błąd, ale nie chciała mówić zbyt wiele, z obawy, że „mąż” może ją łapać za słowa. Nostalgia za księciem nie mijała, mimo iż zdawała sobie sprawę, że nie mogła go poślubić, po tym co zrobił. Jednak byłoby miło znów cieszyć się jego towarzystwem, już po zniszczeniu sklepów z bronią. Skończyła śniadanie i zerknęła na zegarek. Była 9:30. Skrzywiła się mimo woli. Długi dzień dopiero



się zaczynał.

O 10:30 przed oblicze cesarzowej przyprowadzono dezertera. Według dokumentów miał trzydzieści trzy lata, urodził się na wsi, służył w stopniu majora. Lekki, cyniczny uśmiech wykrzywiał mu usta, lecz z oczu wyzierało przygnębienie. Nazywał się Gille Sanders. Innelda przypatrywała mu się posepnie. Jego papiery zawierały również informację, iż miał trzy kochanki i dorobił się fortuny na korupcji związanej z dostawami dla armii. Dość typowy przypadek. Trudno było zrozumieć dlaczego on, posiadający tak wiele, zrezygnował ze wszystkiego. Zadała mu to pytanie.

- I proszę - dodała nie obrażaj mnie sugerując, że chodziło o moralną stronę tej wojny. Powiedz mi wprost i otwarcie, dlaczego poświęciłeś wszystko dla zniesławienia i utraty honoru. Jednym czynem przekreśliłeś całe swoje życie. W najlepszym razie zostaniesz wysłany na Marsa, albo Wenus. Na zawsze. Byłeś głupcem czy tchórzem, czy jednym i drugim? Wzruszył ramionami.

- Chyba głupcem. - Zaszurał nerwowo stopami po podłodze. Nie unikał palącego wzroku cesarzowej, lecz odpowiedź nie usatysfakcjonowała jej. Po dziesięciu minutach rozmowy nie wyciągnęła od niego żadnego wiarygodnego wytłumaczenia. Być może na jego decyzję nie miały wpływu względy ekonomiczne. Innelda spróbowała z innej strony.

- Zgodnie z twoimi aktami - powiedziała spokojnym głosem - stawiałeś się w budynku osiemset A, gdzie z uwagi na twoją rangę, poinformowano cię o znalezieniu metody na zniszczenie sklepów z bronią. W godzinę później po spaleniu prywatnych papierów, opuściłeś biuro i udałeś się do domku nad morzem, który pięć lat temu zakupiłeś - jak sądziłeś - potajemnie. Tydzień

później, kiedy stało się jasne, że nie zamierzasz wypełniać swych obowiązków, zostałeś aresztowany. Od tej pory przebywasz w więzieniu. Czy ten opis odpowiada rzeczywistości?

Mężczyzna w milczeniu skinął głową. Cesarzowa przyglądała mu się badawczo, zagryzając wargi.

- Przyjacielu - odezwała się miękko - w mojej mocy leży wymierzenie ci takiej kary, jaką zechcę. Cokolwiek. Śmierć, wygnanie, złagodzenie... -

Zawahała się - Przywrócenie stopnia.

Sanders westchnął znużony.

- Wiem - powiedział. - Widziałem to w snach.

- Nie rozumiem zdumiała się. Jeżeli zdajesz sobie sprawę ze skutków swojego czynu, to musiałeś być bardzo głupi.

- Obraz czasu - ciągnął monotonnym głosem, jakby nie usłyszał jej słów - kiedy ktoś, niekoniecznie ja sam, posiada moc, bez zastrzeżeń, bez możliwości jakiegokolwiek odwrotu, bez ulgi, bez nadziei.

Miała odpowiedź.

- Co za głupota! - wybuchnęła. Odchyliła się do tyłu na krześle przez chwilę zbyt przejęta, aby coś powiedzieć. Wzięła głęboki oddech, po czym, zirytowana, pokręciła głową. - Majorze - odezwała się łagodnie - żal mi cię. Niewątpliwie znajomość historii mojej rodziny musiała ci podsunąć myśl, że niebezpieczeństwo nadużycia władzy nie istnieje. Ten świat jest zbyt duży. Jako jednostka mogę ingerować w sprawy tak małej części rodzaju ludzkiego, że czasem wydaje się to aż absurdalne. Każdy dekret, jaki wydaję, ginie niemalże natychmiast we mgle sprzecznych interpretacji. Mój rozkaz zniszczenia sklepów

z bronią mógłby okazać się niezwykle łagodny i nie miałby znaczenia w ostatecznym rozrachunku. Cokolwiek, zastosowane do jedenastu miliardów ludzi, nie ma większego sensu i łatwo daje się zakwestionować jeżeli się nie oceni, faktycznych rezultatów. A ja to zrobiłam.

Ku swemu zaskoczeniu, dostrzegła, że jej słowa nie wywarły na majorze wrażenia. Wycofała się obrażona. Wszystko było tak krystalicznie przejrzyste, a ten głupiec wciąż pozostawał uparty. Siłą woli pohamowała gniew.

- Majorze - odezwała się o ton wyżej - po eliminacji sklepów z bronią moglibyśmy wprowadzić nowe prawa, których nie dałoby się tak łatwo ominąć czy

zignorować.

Uległaby

zmniejszeniu

administracja

wymiaru

sprawiedliwości, ponieważ ludzie musieliby akceptować wyroki sądu, a ich ostateczną nadzieją ratunku byłyby apelacje do wyższych instancji.

- Z pewnością - mruknął Sanders, który, jak się okazało, nie miał nic więcej do powiedzenia. Wyraźnie odrzucał jej logikę. Przypatrywała mu się przez dłuższy czas, już bez cienia współczucia, po czym odezwała się z goryczą:

- Jeżeli tak mocno wierzysz w sklepy z bronią, dlaczego nie udałeś się do jednego z nich po broń defensywną?

- Zrobiłem to.

Zawahała się, a następnie spytała zimno:

- Co się stało? Czy odwaga cię opuściła, kiedy przyszło do obrony przed aresztowaniem?

Obserwując go zrozumiała, że popełniła błąd. Przygotowała się na ripostę, która mogła okazać się miażdżąca. Obawa okazała się słuszna.

- Nie, wasza wysokość - odrzekł zimno Sanders. - Zrobiłem dokładnie to, co inni... hmm... dezercerzy. Zrzuciłem mundur i poszedłem do sklepu z bronią, lecz drzwi nie otworzyły się. Okazuje się, że jestem jednym z tych niewielu oficerów, którzy wierzą, iż rodzina Isher jest ważniejszą niż sprzedawcy broni częścią cywilizacji.

Wcześniej oczy świeciły mu, gdy mówił, teraz zmatowiały wypełnione przygnębieniem.

- Jestem – powiedział - dokładnie w takiej sytuacji, w jakiej chcesz każdego postawić. Nie mam możliwości wyboru. Muszę akceptować twoje prawa. Muszę akceptować tajemne deklaracje wypowiedzenia wojny instytucji, która w jednakim stopniu stanowi część cywilizacji isherskiej, co Dom Isher. Muszę zaakceptować śmierć, jeśli wydasz taki wyrok, nie mając szansy na obronę w otwartej walce. Wasza Wysokość - dodał cicho na zakończenie - szanuję i podziwiam cię. Ci dezercerzy nie są kundlami. Oni po prostu stanęli przed wyborem i postanowili nie uczestniczyć w tej wojnie. Wątpię, czy potrafiłbym to wyjaśnić lepiej.

Ona również wątpiała. Oto człowiek, który nigdy nie zrozumie pobudek, jakimi kierowała się cesarzowa.

Po odprawieniu Sandersa zapisała sobie jego nazwisko z adnotacją, by zapoznać się z werdyktem sądu wojskowego. Sporządzając notatki stwierdziła,

że nie pamięta nazwiska mężczyzny, którego pułkownik Medlon miał jej do rana przyprowadzić. Przekartkowała papiery.

- Cayle Clark - powiedziała głośno. - To on.

Uświadomiła sobie, że najwyższy czas pójść do Departamentu Skarbu i dowiedzieć się, dlaczego zaczyna brakować pieniędzy. Ze zmęczonym uśmiechem wyszła z gabinetu i wjechała prywatną windą na pięćdziesiąte piętro.

Lucy napisała w swym chaotycznym raporcie dla Departamentu

Koordinacji: „Pobraliśmy się tuż przed południem w piątek, w dniu, w którym

powrócił z Marsa. Nie wiem jak wytłumaczyć fakt, że późniejsze badanie

wykazało, iż statek nie wylądował przed drugą, oraz że nie podałam tej

informacji. Zapytam Cayle'a o to tylko w razie konieczności. Nie chcę

zgadywać, w jaki sposób zawarł ze mną związek przed przybyciem na Ziemię.

Jednak fakt ślubu nie podlega kwestii, przynajmniej dla mnie. Człowiek,

którego poślubiłam, to Cayle Clark. Niemożliwe, żeby ktoś nabrał mnie podając

się za Cayle'a. Po prostu zadzwonił do mnie jak co dzień ze statku. Nie wie, że

złożyłam ten raport. Zaczynam czuć, że postępuję źle składając jakiegokolwiek

raporty dotyczące jego osoby, ponieważ jednak okoliczności są takie a nie inne,

tak jak mnie poproszono, próbuję przypomnieć sobie wszystkie szczegóły tego,

co się zdarzyło. Rozpocznę od momentu, kiedy zadzwonił do mnie rano ze statku,

w dniu gdy przyleciał z Marsa.

Z tego, co pamiętam, dochodziła dziesiąta trzydzieści. Rozmowa trwała

niesłuchanie krótko. Wymieniliśmy powitania, a potem poprosił mnie o rękę.

Moje uczucia do Cayle'a Clarka są dobrze znane szefowi Departamentu

Koordinacji i jestem pewna, że pan Hedrock nie będzie zaskoczony moją

pozytywną odpowiedzią, oraz tym, że podpisaliśmy deklaracje małżeńskie na

obwodzie rejestrowanym kilka minut przed południem tego samego ranka.

Następnie udaliśmy się do mojego mieszkania, gdzie, z jedną przerwą,

pozostaliśmy przez cały dzień i noc. Przeszkoda pojawiła się za piętnaście

drugą, kiedy zapytał mnie, czy nie poszłabym na spacer, podczas gdy on

skorzysta z mojego statku. Nie wyjaśnił, czy oczekuje połączenia, czy sam ma zamiar dzwonić. Po powrocie zauważyłam na liczniku, że to była rozmowa z zewnątrz.

Nie czuję się winna, że wyszłam z mieszkania na jego prośbę. Zgoda, wydaje mi się naturalna. W ciągu dnia i wieczorem nie powrócił ani razu do tego tematu, lecz opisał mi wszystko, co zdarzyło się mu od czasu, gdy ostatni raz widziałam go w Domu Iluzji. Przyznaję, iż jego relacja nie była zbyt przejrzysta i niejednokrotnie miałam odczucie, że opowiada o wydarzeniach z zamierchłej przeszłości.

Nazajutrz po ślubie wstał wcześniej i oświadczył, że ma wiele rzeczy do zrobienia. Ponieważ z niecierpliwością oczekiwałam na możliwość skontaktowania się z panem Hedrockiem, pozwoliłam mu wyjść bez słowa sprzeciwu. Raport agenta sklepów mówiący o tym, że przecznicę za moim mieszkaniem wsiadł do prywatnego, luksusowego autolotu i odleciał, zanim agent zdążył wezwać transport, zdumiewa mnie. Szczerze mówiąc nie potrafię tego zrozumieć.

Od tego czasu Cayle nie przebywał w moim mieszkaniu, lecz dzwonił do mnie każdego ranka mówiąc, że na razie nie może zdradzić tego co robi, zapewniając mnie jednocześnie o swojej dozgonnej miłości. Nic mi nie wiadomo na temat raportu stwierdzającego, że od ponad miesiąca służy w randze kapitana w armii jej wysokości. Nie wiem, jak udało mu się otrzymać patent oficerski, ani jakie prowadzi interesy. Jeśli to prawda, jak podaje raport, że wchodzi w skład osobistej świty cesarzowej, mogę tylko wyrazić swoje zdumienie i snuć osobiste refleksje, w jaki sposób tego dokonał. Na zakończenie

proszę mi pozwolić potwierdzić swoją wiarę w Cayle'a. Nie mogę odpowiadać za jego czyny, lecz wierzę, że rezultaty jego działań okażą się chwalebne”.

(podpisano) *Lucy Rall Clark*

14 listopada, 4784 I



To było to. Przez miesiąc Hedrock zwlekał z reakcją czekając na nowe dowody. Teraz gdy czytał raport Lucy, zrozumiał, że nadszedł odpowiedni moment. Właśnie wydarzenia przybrały tak długo oczekiwany przez niego obrót. Nie wiedział, co to dokładnie jest. Odczuwał napięcie i obawę, że umykają mu istotne sprawy. Nie miał jednak najmniejszych wątpliwości - to było to.

Marszcząc brwi, ponownie przeczytał raport Lucy i odniósł wrażenie, że dziewczyna zaczyna być negatywnie nastawiona do sklepów z bronią. Nie przejawiało się to w postępowaniu Lucy, lecz w przeczuciu, że jej czyny mogą zostać błędnie zinterpretowane. Broniła się, a to było złe. Organizacja kontrolowała swoich członków w sposób czysto psychologiczny. Zazwyczaj, w razie rezygnacji, pozbawiano delikwenta istotnych wspomnień, oferowano dodatkową zapłatę uzależnioną od okresu, w jakim świadczył usługi, i „przeganiano” z błogosławieństwem. Lucy jednak była podporą podczas wielkiego kryzysu. Hedrock nie mógł pozwolić, aby konflikt między jej zobowiązaniami wobec sklepów a osobistą sytuacją był jakąkolwiek przeszkodą.

Zmarszczył brwi analizując problem, po czym wystukał numer na stacie.

Twarz Lucy pojawiła się na ekranie i Hedrock powiedział z pasją:

- Właśnie przeczytałem twój raport. Chcę ci podziękować za współpracę.

Doceniamy całkowicie twoją postawę, lecz poproszono mnie... - specjalnie użył takiego sformułowania, jakby stała za tym grupa wykonawcza - poproszono mnie, abys była przygotowana na sygnał od nas w dzień i w nocy, aż do końca

krytycznego okresu.

W zamian za to sklepy z bronią zrobią wszystko co w ich mocy, aby ochraniać twego męża przed wszelkimi niebezpieczeństwami, mogącymi wynikać z jego obecnej działalności.

Zdażył już w części spełnić tę obietnicę wydając polecenia wydziałowi bezpieczeństwa. O ile w ogóle istniała możliwość ochrony człowieka w strefie cesarskiej. Hedrock patrzył badawczo na twarz Lucy. Pomimo swojej inteligencji, ta dziewczyna nigdy do końca nie zrozumie istoty wojny między sklepami z bronią a imperium, pomyślał. Nie było widać bitew, nie słyszało się huku wystrzałów. Nikt nie ginął. A nawet gdyby zniszczono sklepy z bronią, Lucy nie dostrzegłaby tego od razu. Prawdopodobnie jej życie nie zmieniłoby się i nawet nieśmiertelny człowiek nie potrafił przewidzieć, jak wyglądałaby egzystencja po eliminacji jednej z dwóch podstawowych części kultury.

Dostrzegł niezadowolenie na twarzy Lucy. Zawahał się.

- Pani Clark, w dniu ślubu dokonała pani pomiarów kalidetycznych zdolności męża i przekazała je nam. Nigdy nie poinformowaliśmy pani o wynikach, ponieważ nie chcieliśmy pani niepokoić. Myślę jednak, że zainteresowanie przewyższy zniecierpliwienie.

- Są wyjątkowe? - zapytała Lucy.

- Wyjątkowe! - Hedrock szukał odpowiedniego określenia. - Kalidetyzm twojego męża, dziewczyno, w czasie dokonywania pomiarów był najwyższy, jaki zarejestrowano w historii Centrum Informacji. Ten indeks nie ma związku z hazardem i nie potrafimy przewidzieć, jaką przyjmie formę, lecz nie mamy cienia wątpliwości, że wywrze olbrzymi wpływ na cały świat.

Patrzył na nią z troską w oczach. Destrukcyjnym aspektem ich romansu był fakt, że Cayle Clark nic nie robił. On po prostu dołączył do osobistej świty cesarzowej. Jego ruchy śledziło wielu szpiegów. Co prawda, nie było to w stu procentach wykonalne. Kilka jego rozmów poprzez stat było zbyt osobistych, aby wymagały interwencji. Dwukrotnie wymknął się z pałacu i zgubił swoje cienie. To były pomniejsze incydenty świadczące o tym, że to co się działo, działo się w tym wymiarze. Działo się coś wielkiego. Ale nawet Nieludzie ze sklepów nie wiedzieli, co.

Hedrock zapoznał ją ze szczegółami, a następnie zapytał:

- Lucy, czy jesteś pewna, że nic nie zataiłaś? Przysięgam, że jest to sprawa życia i śmierci, a w szczególności jego życia.

Dziewczyna pokręciła głową. Obserwował ją bacznie, ale jej oczy nie zmieniły wyrazu, co prawda źrenice rozszerzyły się nieco, lecz z pewnością nie było to wywołane reakcją na jego słowa. Usta pozostały nieruchome, to dobry znak. Nie potrafił ocenić obserwując jej reakcję, czy mówi prawdę, choć wiedział, że Lucy Rall nigdy nie uczyła się technik kłamstwa, podczas gdy on potrafił kłamać bez zmrużenia oka. Lucy po prostu nie miała takiego doświadczenia. Nie przeszła też szkolenia w zakresie kontrolowania emocji, by umieć podświadomie tłumić reakcje mięśni.

- Panie Hedrock - odezwała się - wie pan, że może pan na mnie liczyć.

Odnosił zwycięstwo niezbędne do realizacji celu. A jednak wyłączył stat niezadowolony, nie z Lucy czy pozostałych agentów, ale z siebie. Czegoś mu brakowało. Jego umysł nie przenikał wystarczająco głęboko do rzeczywistości. Podobnie jak nie potrafił odnaleźć rozwiązania problemu huśtawki czasu, nie

mógł dostrzec czegoś, co niweczyło jego plany, a z pewnością w tej komplikującej się rzeczywistości musiało być doskonale widoczne. Siedząc w swym biurze i składając mozaikę faktów oraz cyfr, znajdował się zbyt daleko od centrum wydarzeń.

Niewątpliwie nadszedł czas, aby Robert Hedrock osobiście przeprowadził śledztwo.

Hedrock szedł powoli Aleją Szczęścia zauważając różnice w jej wyglądzie. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni był na tej ulicy, lecz wydawało mu się to dawno, dawno temu. Przybyło budynków, lecz poza tym nie zarejestrował zbyt wielu zmian. Sto lat nie wywarło żadnego wpływu na metalowe konstrukcje i materiał, z którego wzniesione były budowle, według sztywnych isherskich zasad. Ogólnie, styl architektoniczny pozostał ten sam. Zmieniły się zdobienia. Nowe fasady świetlne zaprojektowane tak, aby przyciągać wzrok, otaczały go ze wszystkich stron. Nie zlekceważono umiejętności odnawiania.

Wszedł do Pałacu Grosika niezdecydowany, jak ma postąpić. Preferował działania spontaniczne. Na razie lepiej nie podejmować decyzji, pomyślał. Kiedy wszedł do „Komnaty Skarbów”, zadzwęczał pierścień na jego małym palcu. Ktoś z prawej strony prześwietlał go. Szedł dalej jakby nigdy nic, po czym odwrócił się, w stronę dwóch mężczyzn, od których napływał impuls. Pracownicy czy niezależni? Ponieważ zawsze miał przy sobie jakieś pięćdziesiąt tysięcy kredytów, niezależni złodzieje mogli okazać się nieprzyjemni. Podeszedł do nich uśmiechając się nieznacznie.

- Obawiam się, że nic z tego - powiedział wprawiając ich w osłupienie. -

Zapomnijcie o wszelkich planach, dobra?

Ten potężniejszy włożył rękę do kieszeni płaszcza, po czym wzruszył ramionami.

- Nie masz broni ze sklepu z bronią - powiedział dosadnie. - Wcale nie jesteś uzbrojony.

Hedrock odpowiedział chłodno:

- Chciałbyś to sprawdzić? - Spojrzał mu prosto w oczy. Mężczyzna spuścił wzrok.

- Daj spokój, Jay - mruknął w końcu do swego kompana. - Ta robota jest inna niż myślałem.

Hedrock zatrzymał go, gdy się odwrócił, by odejść.

- Pracujesz tu? Mężczyzna pokręcił głową.

- Nie - odparł - jeżeli jesteś temu przeciwny. Hedrock roześmiał się.

- Chcę się widzieć z szefem.

- Tak myślałem. No cóż, to była dobra robota, jak była. Tym razem pozwolił im odejść. Nie zdziwiła go ich reakcja.

Tajemnicą siły ludzkiej była pewność siebie. I ta pewność siebie, którą ujrzeli w jego oczach, miała korzenie w możliwościach, o jakich większość ludzi nawet nie słyszała. W całej historii świata nie narodził się drugi człowiek, tak jak on wyposażony w psychiczno-fizyczne, emocjonalne i molekularne mechanizmy obronne.

Lucy dokładnie opisała biuro Martina, więc miał ułatwioną sprawę. Wszedł do korytarza na zapleczu. Kiedy zamykał za sobą drzwi spadła na niego sieć, owijając szczelnie i unosząc nad podłogę. Nie wykonał najmniejszego wysiłku, by się uwolnić. Dla niego było wystarczająco jasno, aby widzieć podłogę półtora metra poniżej. Nie przejął się osobliwym położeniem. Miał czas na kilka przemyśleń. A więc Harj Martin stał się ostrożny w stosunku do nieproszonych gości. To o czymś świadczyło, ale wyjaśnienie zostawi na moment spotkania.

Nie kazano mu długo czekać. Rozbrzmiały kroki. Drzwi otworzyły się ukazując

grubego mężczyznę, który włączył światło i z radosnym wyrazem na twarzy przyjrzał się swemu jeńcowi.

- No, no, no - zacmokał - co my tu mamy? - Umilkł napotkawszy wzrok Hedrocka. Część radosnego nastroju ulotniła się raptownie. - Kim jesteś? - warknął.

Hedrock powiedział powoli:

- Piątego października wieczorem, albo coś koło tego, odwiedził cię tutaj młody człowiek, niejaki Cayle Clark. Co się wydarzyło?

- To ja będę zadawać pytania - rzucił sucho Martin. Ich oczy spotkały się ponownie. - Odpowiedz - powiedział gderliwie. - Kim jesteś?

Hedrock wykonał nieznaczny, lecz niezwykle precyzyjny ruch. Jeden z pierścieni na jego palcach rozpuścił twardy materiał sieci, która rozstąpiła się pod nim niczym wrota. Wylądował na nogi.

- Zaczynaj mówić, przyjacielu. - Cichy głos przeszył grubego lodowatym dreszczem. - Spieszę się.

Ignorując broń i zdumienie Martina, ominął go i wszedł do dużego biura.

Kiedy przemówił ponownie, z jego głosu przebijała wciąż ta sama pewność siebie. Zaledwie kilka chwil później zrezygnowany właściciel Pałacu Grosika zdecydował się na współpracę.

- Jeżeli oczekujesz tylko informacji, nie ma sprawy - zaznaczył. - Data się zgadza. Ten facet, Clark, przyszedł tutaj piątego października około północy. Razem z bratem bliźniakiem.

Hedrock w milczeniu skinął głową. Nie przyszedł tu dyskutować.

- Człowieku - wysapał Martin - to byli najbardziej zimmokrwieści bliźniacy,

jakich kiedykolwiek widziałem i pracowali razem, jak drużyna. Jeden z nich musiał mieć jakieś doświadczenie w armii, bo miał postawę i odruchy żołnierza. To właśnie ten wszystko wiedział. A jaki to był twardziel! Zacząłem coś mówić o tym, że nie jestem byle dupkiem, i dostałem promieniem przez nogi. Trochę za szybko odwróciłem się, aby wyjąć pieniądze z sejfów i kolejny strzał pozbawił mnie części włosów. - Wskazał na łysinę z boku głowy. Hedrock rzucił krótkie spojrzenie. Strzał z bliska, lecz wskazujący wprawną rękę. Sklep z bronią, albo armia. Drogą eliminacji, armia.

- Nic ci nie jest - skomentował. Martin wzdrygnął się.

- Ten facet nie martwił się o moje zdrowie - zakończył uskarżając się. -

Życie robi się zbyt twarde. Nigdy nie przypuszczałem, że klasyczne urządzenia obronne można tak łatwo zredukować do zera.

Po opuszczeniu budynku, Hedrock w medytacyjnym nastroju skierował się na postój autolotu. Istnienie dwóch Cayle'ów stało się faktem. Jeden z nich przebywał w armii dostatecznie długo, aby zdobyć coś więcej niż podstawowe szkolenie oficerskie, które przeszedł piątego października, zaledwie jeden dzień po przybyciu z Marsa Cayle'a Clarka. Rankiem szóstego października, w dniu, gdy wstąpił do wojska, zgodnie z rejestrem posiadał pięćset tysięcy kredytów.

Przyzwoita sumka jak na młodego, ambitnego faceta, ale nie do końca tłumacząca pewne zdarzenia. Wziąwszy jednak pod uwagę zdolności kalidetyczne jej właściciela, nie robiła wrażenia - naturalnie jeżeli kalidetyzm podążał wzorem pieniądza. Przestał o tym myśleć wraz z przybyciem autolotu. Czekala go jeszcze rozmowa z pułkownikiem Medlonem.



Robert Hedrock powrócił do swego biura w Hotelu Royal Ganeel krótko po południu. Przejrzał raporty, które nadeszły podczas jego nieobecności, po czym spędził dwie godziny przy prywatnym telestacie rozmawiając z ekspertem ekonomii z Centrum Informacji. Następnie skontaktował się z członkami Rady i poprosił o natychmiastowe spotkanie. Upłynęło dziesięć minut zanim zebrali się w hotelowym pokoju. Spotkanie otworzył Dresley.

- Wygląda na to, panowie - zaczął - że nasz koordynator znalazł rozwiązanie. Zgadza się, panie Hedrock?

Zapytany, uśmiechając się sympatycznie, wyszedł przed audytorium.

Ostatnim razem, kiedy przemawiał do przedstawicieli Rady, ciążyła na nim świadomość mapy czasu oraz myśl o cesarzowej. Mapa wciąż znajdowała się w budynku. Nadal nie rozwiązano tego problemu, który nabrzmiewał z każdą godziną. Teraz jednak widział rozwiązanie. Zaczął bez wstępów.

- Panowie, rankiem dwudziestego siódmego listopada, za dwanaście dni, przekażemy wiadomość cesarzowej Isher i poprosimy ją o zakończenie działań wojennych. Poprzemy naszą prośbę faktami i cyframi, które przekonają ją, że nie istnieje inne wyjście.

Spodziewał się żywiołowej reakcji i nie pomylił się. Ci ludzie wiedzieli, że gdy chodziło o pracę, nie był jednym z tych, którzy tworzą iluzję złudnych nadziei. (Niebawem mieli odkryć, że jego skuteczność w innych dziedzinach jest równie imponująca.) Stopy pod stołem zaszurały w podekscytowaniu.

Peter Cadron wybuchnął:

- Człowieku! Nie trzymaj nas w niepewności. Co odkryłeś?

- Pozwólcie mi na krótkie streszczenie. - Hedrock uśmiechnął się miło.

- Czy wiecie - kontynuował - że rankiem trzeciego czerwca, cztery tysiące

siedemset osiemdziesiątego czwartego roku Isher zjawił się w naszym sklepie w

Greenway człowiek z roku 1951. Następnie odkryto, że cesarzowa kieruje nową

broń energetyczną przeciwko wszystkim sklepom z bronią w cesarskim mieście.

Ta energia była pewną odmianą atomowej siły, znanej naturze, lecz nowej dla

nauki. Jej odkrycie zapowiada kolejny krok do przodu w zrozumieniu

skomplikowanej struktury napięć czasoprzestrzeni, a idąc dalej przyczyny

powstawania materii. Źródłem tej energii w cesarskim mieście był budynek

postawiony przed niespełna rokiem przy Alei Zwycięstwa. Energia wywarła

zupełnie inny wpływ na sklep w Greenway niż na sklepy położone dalej.

Teoretycznie powinna była zniszczyć każdą materialną strukturę, lecz sklepy z

bronią nie są wykonane z materii, z jaką zwykle ma się do czynienia. O tym

władcy Isher nie wiedzieli. I w ten sposób zaczęły wzajemnie na siebie

oddziaływać gigantyczne siły, co miało miejsce przede wszystkim w czasie.

Dlatego ten człowiek z przeszłości przebył siedem tysięcy lat.

Opisał pokrótce, używając czysto matematycznej terminologii, wysłaną w

otchłań czasu huśtawkę, z McAllisterem na jednym końcu i budynkiem na

drugim.

- Wiele osób nie potrafi zrozumieć istoty huśtawki czasu. Jest faktem

makrokosmicznym, że cały Układ Słoneczny przesuwa się w czasoprzestrzeni z

prędkością około dwudziestu kilometrów na sekundę, podczas gdy planety krążą

po orbicie słońca z różnymi prędkościami. Idąc tropem tej logiki, jeśli zagłębicie

się w przeszłość lub w przyszłość, znajdziecie się w pewnym odległym punkcie

w przestrzeni kosmicznej, daleko od Ziemi. Jest to trudne do zrozumienia dla osób, które myślą, że przestrzeń kosmiczna jest fikcją, produktem ubocznym podstawowej czasoenergii. Według nich napięcie materii, takie jak planeta, nie ma wpływu na zjawiska zachodzące w strumieniu czasu, lecz samo w sobie podlega prawom energii czasu.

Przyczyna balansowania przez dwie godziny i czterdzieści minut po każdym kolejnym przechyle nie jest jasna, lecz natura nieustannie szuka stabilności. Kiedy budynek przenosi się do przeszłości, zajmuje tę samą „przestrzeń”, co w normalnym czasie. Wtedy nie ma żadnych reperkusji (podobieństwo jest funkcją samego czasu, a nie jego produktu - napięcia).

McAllister zaczął od siedmiu tysięcy lat, ten budynek od dwóch sekund. Podaję oczywiście dane w przybliżeniu.

Obecnie nasz przybysz znajduje się kilka kwadrylionów lat stąd, a budynek kołysze się w odległości nieco mniejszej niż trzy miesiące. Oczywiście punkt podparcia przybliży się w naszym czasie, a co za tym idzie, mamy następującą sytuację: budynek już nie wraca w czasie, aż do trzeciego czerwca, kiedy ta huśtawka się rozpoczęła. Proszę pamiętać o tych faktach, podczas gdy przejdę na krótko do innego podziału tej pozornie skomplikowanej, lecz generalnie prostej sprawy.

Umilkł na moment. W tym pokoju znajdowały się bystre umysły. Z satysfakcją dostrzegł, że wszystkie twarze patrzą na niego wyczekująco. Teraz, kiedy już sam znał prawdę, dziwiło go, że oni jeszcze nie domyślali się, w czym rzecz.

- Panowie, przed kilkoma miesiącami Departament Koordynacji odkrył w

wiosce Glay kalidetycznego giganta. Nie mieliśmy problemów ze sprowadzeniem go do Cesarskiego Miasta dzięki ogromnemu, wewnętrznemu ciśnieniu, jakie go rozsadzało. Z początku nasza wiara, iż będzie miał znaczący wpływ na wydarzenia, rozwiąła się z powodu ignorowania przez niego isherowskich realiów. Nie będę wchodził w szczegóły. Powiem tylko, że wkrótce został wysłany na Marsa jako zwykły robotnik. Poradził sobie jednak i niedługo potem wrócił na Ziemię.

Hedrock ponownie ogarnął spojrzeniem wpatrzone w niego twarze.

Wyjaśnił, jak Lucy Rall poślubiła Cayle'a Clarka na kilka godzin przed przybyciem międzyplanetarnego statku z nim na pokładzie, jak obydwaj Clarkowie zabezpieczyli pięćset tysięcy kredytów, a potem odwiedzili pułkownika Medlona, jeden z nich był w przebraniu. Ta wizyta okazała się niezwykle korzystna dla skorumpowanego oficera, który właśnie w tym dniu miał stawić się z jakimś Cayle'em Clarkiem przed obliczem cesarzowej. Po krótkim, hipnotycznym seansie Clark został mianowany kapitanem sił zbrojnych cesarstwa Isher. Wkrótce potem spotkał się z cesarzową.

- Z przyczyny, którą ona uważa za impuls, lecz w rzeczywistości mającej związek z jego kalidetyzmem, włączyła go do swojej świty. Jakikolwiek jest w tej chwili jego wpływ, działa według bardzo interesującego schematu polegającego na bezwzględnej eliminacji jawnej korupcji, co niewątpliwie wzbudziło zainteresowanie ambitnej Inneldy. Nawet gdyby nic więcej nie działało na jego korzyść, i tak ma zapewnioną świetlaną przyszłość w cesarskiej służbie.

Hedrock uśmiechnął się.

- W rzeczywistości Cayle Clark, z którego nie należy spuszczać oka, to nie ten na wolności, lecz ten, który pozostał nieuchwytny w mieście. To właśnie on tworzy historię od siódmego sierpnia. Od tego czasu osiągnął następujące sukcesy i, panowie, zapewniam was, że nigdy wcześniej nie słyszeliście niczego podobnego.

W kilku zdaniach opisał to, co się wydarzyło. Kiedy skończył, w pokoju zawrzało od podekscytowanej dyskusji. W końcu jakiś człowiek zapytał:

- Ale w jakim celu poślubił Lucy Rall?

- Częściowo z miłości, częściowo... - Hedrock zawahał się. Zadał Lucy

konkretne pytanie i jej odpowiedź umożliwiła mu teraz zajęcie stanowiska. -

Powiedziałbym, że stał się niesłychanie ostrożny i zaczął myśleć o przyszłości.

Do głosu doszły podstawowe instynkty. Przypuśćmy, że coś stałoby się

człowiekowi, który w ciągu kilku tygodni dokonał cudu. Panowie, on

najzwyczajniej chciał potomka, a Lucy była jedyną uczciwą dziewczyną, jaką

znał. Ten związek może okazać się niezwykle stały, nie potrafię jednak tego

przewidzieć. Clark, mimo buntu przeciwko rodzicom jest z gruntu dobrze

wychowanym młodzieńcem. Tak czy owak, Lucy na tym nie ucierpi. Zdobędzie

interesujące doświadczenie macierzyństwa. No i, jako żona, ma oczywiście

prawo do wspólnego majątku.

Peter Cadron wstał i powiedział donośnie:

- Panowie, składam podziękowania na ręce Roberta Hedrocka za usługi,

jakie wyświadczył sklepom z bronią. - Aplauz nie miał końca.

- Posunę się dalej - Peter Cadron próbował przekrzyczeć hałas oklasków. -

Powinien otrzymać nominację na pełnego członka.

I tym razem nie znalazł się nikt przeciwny tej propozycji. Hedrock skłonił w podziękowaniu. Ta nagroda stanowiła więcej niż zaszczyt. Jako pełny członek będzie podlegał jedynie badaniom maszyny P p. Jego ruchy i czyny nigdy nie będą śledzone i wreszcie będzie mógł korzystać ze wszystkich udogodnień sklepów tak, jakby stanowiły jego własność. W rzeczywistości i tak to robił, lecz w przyszłości nie będzie żadnych podejrzeń. Otrzymał wielki dar.

- Dziękuję, panowie - odezwał się, kiedy umilkły oklaski.

- A teraz - Peter Cadron uniósł ręce do góry - z szacunkiem proszę pana Hedrocka, aby opuścił pokój Rady, podczas gdy my spróbujemy rozwiązać problem huśtawki.

Hedrock wyszedł ponury. Na chwilę zapomniał o największym z niebezpieczeństw.

Był dwudziesty szósty listopada. Nazajutrz przedstawiciele sklepów z bronią mieli złożyć cesarzowej propozycję zaprzestania działań wojennych.

Bez uprzedniego ostrzeżenia Innelda zesłała do niższych kondygnacji budynku, aby zobaczyć i być może zrobić tak, jak zasugerował kapitan Clark.

Wciąż czuła odrazę. Towarzyszyło jej przekonanie, że cesarzowa Isher nie może angażować się osobiście w jakieś infantylne przygody. W końcu jednak znalazła się tutaj. Przynajmniej będzie obserwować i czekać, aż Clark i naukowcy wrócą z tej wycieczki. Wyszła pospiesznie z autolotu.

Gęsta mgła uniosła się leniwie ku niebu. Była to sztuczna mgła, która od wielu miesięcy zasłaniała tę dzielnicę przed wzrokiem ciekawskich. Cesarzowa ruszyła powoli przed siebie rozglądając się uważnie dokoła. Skinieniem ręki przywołała kapitana.

- Kiedy ten budynek ma się pojawić? Uśmiechnięty młody mężczyzna zasalutował sprężysto.

- Za siedem minut, wasza wysokość.

- Czy macie niezbędny sprzęt?

Słuchała uważnie raportu oficera. Siedem grup naukowców wejdzie do budynku. Każda z własnymi instrumentami. Przyjemnie było uświadomić sobie, że Clark osobiście sprawdził listę automatów w każdej grupie.

- Kapitanie - rozpromieniła się - jesteś prawdziwym skarbem.

Cayle nie odpowiedział. Jej pochwała nie miała żadnego znaczenia. Ta dziewczyna, władająca niemalże całym światem, niewątpliwie nie oczekiwała, aby inteligentni ludzie byli jej absolutnie oddani w zamian za kilka

komplementów i żołąd. Nie miał poczucia winy, a ponadto nie uważał, by to, co zamierzał zrobić, zaszkodziło Inneldzie. Zresztą nie miał już odwrotu. Plan został wprowadzony w życie.

Kobieta rozglądała się z zaciekawieniem. Z prawej strony ziała ogromna wyrwa w ziemi, gdzie jeszcze niedawno stał budynek. Na lewo był park otaczający sklep z bronią. Po raz pierwszy widziała sklep, w którym nie paliły się światła. Widok ten poprawił jej humor. Budynek wydawał się dziwnie odizolowany w cieniu drzew. Innelda zacisnęła ręce i pomyślała: „Gdyby wyeliminować nagle wszystkie sklepy z bronią w całym Układzie Słonecznym, to kilka tysięcy parków z łatwością można by zmienić w cokolwiek. W ciągu jednej generacji - powiedziała sobie z mrocznym przekonaniem sklepy z bronią poszłyby w zapomnienie. Nowe pokolenia dorastałyby zastanawiając się, o jakich to mitologicznych nonsensach opowiadają im rodzice”.

- Na wszystkich bogów kosmosu - odezwała się żarliwie - to się naprawdę stanie.

Jej słowa były jak sygnał do rozpoczęcia gry. Powietrze zamigotało, a z ogromnej symetrycznej dziury wystrzelił ku niebu budynek.

- Dokładnie co do minuty - stwierdził z zadowoleniem, stojący obok Cayle Clark.

Innelda utkwiała wzrok w budowli czując dreszcz podekscytowania. Już raz obserwowała ten proces z tą tylko różnicą, że na ekranie telestatu. Na żywo było zupełnie inaczej. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z ogromu budynku: był wysoki na czterysta metrów, solidny w swej konstrukcji ze stopu stali i plastiku, tak szeroki i długi jak wysoki. Oczywiście musiał być potężny. Inżynierowie



przewidzieli wyolbrzymienia próżni między pomieszczeniami energetycznymi.

Przestrzeń mieszkalna wewnątrz była maleńka. Inspekcja wszystkich poziomów zajęła im około godziny.

- No, cóż - powiedziała z ulgą Innelda - budynek nie wydaje się w żaden sposób naruszony. A szczury?

Szczury umieszczono w środku, gdy budynek pojawił się uprzednio i na razie nie zdradzały symptomów jakichkolwiek zmian. Rozsądek nakazywał jednak przeprowadzenie dokładnych badań. Cesarzowa czekała w pokoju na najwyższej kondygnacji, zerkając niecierpliwie na zegarek.

Irytowała ją sama świadomość podenerwowania. Otulona zasłoną ciszy pustych pomieszczeń zrozumiała, jak nierozsądną podjęła decyzję. Nie powinna nawet rozważać możliwości przyjścia.

Spojrzała na mężczyzn, którzy zadeklarowali gotowość towarzyszenia jej.

Ich milczenie wydawało się nienaturalne. Nie patrzyli na nią, lecz stali bez ruchu utkwivszy zamyślony wzrok w przezroczystej ścianie. Odgłos zbliżających się kroków rozdarł ciszę. Kapitan Clark uśmiechał się trzymając w dłoniach białego szczura.

- Wasza wysokość. Proszę na niego spojrzeć. Nic mu nie jest.

Mężczyzna był tak radosny, że kiedy wysunął do niej rękę z małym zwierzątkiem, wzięła je i spojrzała na nie w zadumie. Wiedziona nagłym impulsem, podniosła rękę i przycisnęła ciepłe ciało do policzka.

- Co byśmy zrobili - mruknęła - bez wspaniałych, małych szczurów? -

Spojrzała na Clarka. - A zatem, jaka jest opinia naukowców?

- Szczury - odrzekł kapitan - są zdrowe pod względem organicznym,

emocjonalnym i psychologicznym. Wszystkie testy wypadły korzystnie.

Innelda pokiwała głową. To potwierdzało jej opinię. Na początku, podczas pierwszego ataku, zanim pracownicy zdali sobie sprawę co się dzieje, budynek zniknął powodując tym samym ogromne zamieszanie. Nigdy nie otrzymała na ten temat spójnego raportu. W chwili gdy budynek pojawił się ponownie, cały personel został ewakuowany i, aż do tej pory, nikomu nie pozwolono na „wycieczkę”. Badania nie wykazały żadnych uszkodzeń czy zmian w organizmach tych ludzi.

Mimo to Innelda wahała się. Nie wyglądałoby dobrze, gdyby nie przybyła na kontrolę. Musiała brać pod uwagę wiele możliwości. Gdyby przydarzyło się jej coś złego, rząd Isher mógłby upaść. Nie posiadała bezpośredniego następcy. Sukcesja przypadnie księciu del Curtinowi, który cieszył się sporą popularnością, lecz wielu ludzi wiedziało, że nie znajduje się w łaskach cesarzowej. Ta cała sytuacja wydała się jej nagle absurdalna. Czuła się osaczona, lecz nie było sensu zaprzeczać rzeczywistości.

- Kapitanie - odezwała się stanowczo - zgłosiłeś się na ochotnika, aby odbyć tę podróż, bez względu na to, czy ja postąpię tak samo. Ja zdecydowanie rezygnuję. Życzę ci szczęścia i żałuję, że nie będę ci towarzyszyć. Obawiam się jednak, że nie mogę tego uczynić. Jako cesarzowa nie mogę sobie pozwolić na takie ryzyko. - Wyciągnęła dłoń. - Masz moje błogosławieństwo.

W niecałą godzinę później budynek pograżył się w nicości. Czekala.

Przyniesiono żywność. Zjadła w autolocie, przeczytała kilka gazet, które wzięła ze sobą, a potem, kiedy ciemności okryły stolicę cesarstwa, zerknęła na zegarek i zrozumiała, że nadeszła pora.

Gdy tylko budynek zmaterializował się tam gdzie powinien, zaczęli z niego wychodzić ludzie. Jeden z naukowców natychmiast podszedł do cesarzowej.

- Wasza wysokość - odezwał się - podróż odbyła się bez kłopotów z wyjątkiem jednego incydentu. Kapitan Clark, jak z pewnością wiesz, zamierzał opuścić budynek w celach badawczych. Tak też uczynił. Otrzymaliśmy od niego jedną wiadomość - przekazał ją słownie za pomocą statuu na nadgarstku. Podał datę: siódmy sierpnia, cztery tysiące siedemset osiemdziesiątego czwartego roku Isher. To ostatnia wiadomość, jaką mieliśmy od niego. Musiało mu się coś przytrafić. Nie stawił się na czas, aby wrócić wraz z nami.

- Ale... - Innelda umilkła, po czym dodała: - Ale to oznacza, że od siódmego sierpnia do dwudziestego szóstego listopada istniało dwóch Cayle'ów Clarków. Ten normalny i ten, który cofnął się w czasie.

Przerwała niepewna. Pradawny paradoks, pomyślała w duchu. Czy człowiek może cofnąć się w czasie i uścisnąć sobie rękę?

- Ale co w takim razie stało się z tym drugim? - zastanowiła się głośno.

Siódmy sierpnia był słonecznym dniem jaśniejącym delikatnym błękitem nieba. Słaby wiaterek dmuchał Clarkowi w twarz, kiedy szybkim krokiem oddalał się od budynku, który przeniósł go do przeszłości. Nikim się nie przejmował. Miał na sobie mundur kapitana z czerwonymi epoletami oznaczającymi członka świty cesarskiej. Wartownicy patrolujący ulice przylegające do budynku osłupieli na jego widok.

W ciągu pięciu minut siedział już w publicznym autolocie zmierzającym do centrum miasta. Miał przed sobą dwa i pół miesiąca zanim powróci do czasu, z którego wyruszył, lecz do zrealizowania celu okres ten wydawał mu się

niezwykle krótki.

Pomimo późnego popołudnia, udało mu się wynająć czteropokojowe biuro.

W agencji zatrudnienia obiecano mu przysłać następnego dnia przed dziewiątą kilku informatyków i księgowych. W pomieszczeniu znajdowały się jedynie meble biurowe, więc przed zapadnięciem zmroku wypożyczył składane łóżko z dwudziestoczterogodzinnej serwisu. Noc spędził na układaniu skrupulatnego planu i dopiero nad ranem zapadł w niespokojny sen. Zerwał się wraz z pierwszym brzaskiem i trzymając w dłoni kartkę z obliczeniami, zjechał windą na dół do jednej z największych firm brokerskich w mieście. W kieszeni miał około pięciuset tysięcy kredytów, które otrzymał od „drugiego” Cayle'a Clarka. Gotówki, głównie w banknotach, było akurat tyle, by pomieścić ją przy sobie nie tracąc przy tym swobody ruchów.

Przed końcem dnia zarobił trzy miliony siedemset tysięcy kredytów. A księgowi na górze mieli pracy po łokcie rejestrując kolejne transakcje. Stenotypiści pisali listy, a dyplomowany księgowy, zatrudniony jako kierownik biura, przyjął do pomocy więcej ludzi i wynajął dodatkowe pomieszczenia biurowe na sąsiednich piętrach.

Zmęczony, lecz triumfujący Cayle przez cały wieczór przygotowywał się do następnego dnia. Doświadczył, czego może dokonać człowiek, który przywiózł ze sobą z przyszłości pełne raporty giełdowe na okres dwóch i pół miesiąca. Tej nocy spał dobrze, lecz nie mógł doczekać się wschodu słońca. A potem kolejnego. I następnego, następnego.

W sierpniu posiadał już dziewięćdziesiąt miliardów kredytów. Przejął kontrolę nad jednym z mniejszych banków, firmami przemysłowymi wartymi

cztery miliardy kredytów i miał udziały w trzydziestu czterech innych instytucjach.

We wrześniu zarobił trzysta trzydzieści miliardów kredytów, co pozwoliło przejąć kolosalny Pierwszy Imperialny Bank, trzy międzyplanetarne korporacje górnicze i zostać współwłaścicielem dwustu dziewięćdziesięciu firm. Przed końcem września przeniósł firmę-matkę do stupiętrowego drapacza chmur w samym sercu dzielnicy finansowej. Trzydziestego września w budynku tym pracowało już ponad siedem tysięcy osób.

W październiku zainwestował swoje dochody gotówkowe w budowę hoteli i rezydencji, wartych w całości trzy i jedną ósmą trylioną kredytów. Również w październiku poślubił Lucy Rall, odebrał telefon od siebie tuż po powrocie z Marsa i umówił się na spotkanie z „drugim” Clarkiem. Dwaj młodzi mężczyźni, posępni i zdeterminowani, odwiedzili Pałac Grosika i odzyskali pieniądze skradzione im przez właściciela Harjego Martina. Suma, jaką odzyskali, nie miała większego znaczenia na tym etapie ich poczynań, lecz chodziło o zasadę.

Cayle Clark zamierzał podbić bezosobowy świat Isher i nikomu, kto kiedykolwiek plunął mu w twarz, nie ujdzie to płazem. Po Harj Martinie przysła kolej na pułkownika Medlona, jako naturalna kolej rzeczy mająca na celu przygotowaniu gruntu na powrót do przeszłości.

Dwóch Cayle'ów Clarków - a tak naprawdę tylko jeden, lecz z innych czasów - taką właśnie historię opowiedział Robert Hedrock członkom Rady sklepów z bronią. Było to fenomenalne posunięcie, które zmusiło cesarzową do zakończenia wojny, by inni żołnierze nie zniszczyli finansowej stabilności Układu Słonecznego, próbując powtórzyć wyczyn Cayle'a Clarka.

Na zewnątrz panował mrok. Fara przechadzał się spokojnymi ulicami Glay i po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że Centrum Informacji sklepów z bronią musi znajdować się na drugiej półkuli z uwagi na panujący tam dzień.

Obraz zniknął, jakby nigdy nie istniał, gdy mężczyzna wrócił myślami do uśpionej wioski. Cicha, spokojna, a mimo to brzydka, pomyślał. Brzydka zgnilizną panoszącego się zła. Prawo do kupowania broni! Serce podeszło mu do gardła, a łzy napłynęły do oczu. Przetarł powieki wierzchem dłoni.

Wyobraził sobie zamordowanego ojca Creel. Szedł dalej, już bez wstydu. Łzy to balsam dla zagniewanego mężczyzny. Twarda metalowa kłódka ustąpiła pod wąskim strumieniem energii miotacza. Jeden błysk ognia i metal rozlał się jak roztopione masło. Fara wszedł do środka. Było ciemno, zbyt ciemno, aby cokolwiek widzieć, lecz nie włączył od razu lampy. Skierował się do konsoly okiennej, zasłonił okna i dopiero wtedy zapalił światło. Westchnienie ulgi wyrwało mu się z piersi na widok maszyn i drogocennych narzędzi.

Drżąc z emocji, połączył się za pomocą telestatu z Creel. Pojawiła się na ekranie dopiero po chwili. Miała na sobie koszulę nocną. Kiedy go ujrzała, zbladła wyraźnie.

- Fara, och Fara, myślałam...

Przerwał jej posępnie.

- Creel, byłem w sklepie z bronią. Posłuchaj uważnie i o nic nie pytaj. Idź prosto do swojej matki. Ja jestem w warsztacie. Zamierzam tu być dzień i noc, aż zapadnie decyzja, że ja tu zostaję... Później przyjdę do domu po jakieś jedzenie i ubrania, ale chcę, żebyś do tego czasu wyszła. Rozumiesz?

Na pociągłą, ładną twarz kobiety powracały kolory.

- Nie musisz wracać do domu, Fara. Zrobię co trzeba. Zapakuję wszystko do autolotu, włącznie ze składanym łóżkiem. Będziemy spać na zapleczu.

Wstał blady świt, lecz dopiero o dziesiątej jakiś cień przesłonił otwarte drzwi. Wszedł konstabl Jor. Zażenowanie malowało się na jego twarzy.

- Mam tu nakaz aresztowania - wyjaśnił ponurym głosem.

- Powiedz tym, którzy cię przysłali - odparł Fara dobitnie - że stawiałem opór podczas aresztowania. I że użyłem broni. - Ruch był tak szybki, że Jor zdążył jedynie zamrunąć oczami. Potężny, wiecznie zaspany mężczyzna nie mógł oderwać wzroku od błyszczącego miotacza w ręku Fary.

- Mam tu wezwanie z Wielkiego Sądu w Ferd na dzisiaj po południu.

Zgadzasz się?

- Oczywiście.

- A więc stawisz się?

- Wyślę prawnika. - Fara uśmiechnął się lekko. - Rzuć nakaz na podłogę i powiedz im, że go odebrałem.

Pamiętał ostrzeżenie sprzedawcy ze sklepu z bronią, by nie wyszydział prawnych instancji władzy imperium, ale po prostu ich nie słuchał.

Jor wyszedł z wyraźną ulgą. Po godzinie, sołtys Mel Dale dostojnie przekroczył próg warsztatu.

- Co my tu mamy? No proszę, Fara Clark - zagrzmał. - Nie ujdzie ci to na sucho. To łamanie prawa.

Fara milczał, podczas gdy sołtys wszedł głębiej. Zdumiewało go, że ryzykował swoim pulchniutkim, drogocennym ciałem. Zdziwienie ustąpiło, gdy

Dale odezwał się niskim głosem:

- Dobra robota, Fara. Wiedziałem, że to w tobie siedzi. Wielu nas z Glay popiera cię. Teraz muszę na ciebie powrzeszczyć, ponieważ na zewnątrz stoi tłum gapiów. Ty też na mnie krzycz, dobra? Wyzywajmy się nie przebierając w słowach, ale najpierw małe ostrzeżenie: dyrektor Automatycznych Warsztatów jest w drodze wraz ze swoimi dwoma goryłami.

Fara obserwował wychodzącego sołtysa. Kryzys nadchodził wielkimi krokami. Opanował się myśląc: niech przyjdą, niech...

Było łatwiej niż się spodziewał, ponieważ mężczyźni, którzy weszli do warsztatu, zbledli na widok miotacza. W końcu jeden z nich odezwał się gwałtownie:

- Spójrz tutaj. Mamy twój weksel na dwanaście tysięcy sto kredytów. Nie zaprzeczysz, że jesteś winien te pieniądze.

- Wykupię go - odezwał się lodowato Fara - dokładnie za tysiąc kredytów, czyli sumę, jaką faktycznie wypłacono memu synowi.

Młody mężczyzna o wyrazistej szczęce popatrzył na niego przeciągle.

- Zgoda.

- Mam tu przygotowaną umowę. - Fara podał mu kartkę papieru.

Pierwszym klientem był starszy człowiek o pociągłej twarzy, Miser Lam Harris. Fara patrzył na niego podejrzliwie i w końcu zrozumiał, że sklep z bronią musiał osiąść na działce Harrisa zgodnie z planem. Godzinę po wyjściu Harrisa, w warsztacie zjawiała się matka Creel. Zamknęła za sobą drzwi.

- No cóż - powiedziała spokojnie. - Udało ci się, co? Dobra robota.

Przepraszam jeśli szorstko się z tobą obeszłam, kiedy do mnie przyszedłeś, ale



my, zwolennicy sklepów z bronią, nie możemy pozwolić sobie na podejmowanie ryzyka za tych, którzy nie stoją po naszej stronie. Ale to nieistotne. Przyszłam, aby zabrać Creel do domu. Najważniejsze, żeby wszystko jak najszybciej wróciło do normy.

Było po wszystkim. Niewiarygodne, lecz było po wszystkim. Wracając tej nocy do domu, Fara dwukrotnie zatrzymał się w pół kroku zastanawiając się, czy nie śni. Powietrze było jak wino. Mały światek Glay rozciągał się przed nim, zielony i wdzięczny. Spokojny raj, w którym czas stanął w miejscu.

Panie de Lany - cesarzowa powitała go z kurtuazją. Hedrock pochylił z szacunkiem głowę. Lekko ucharakteryzowany, przedstawił się jednym z dawno nie używanych nazwisk, by nie zostać rozpoznany w przyszłości.

- Prosił pan o spotkanie.

- Jak pani widzi.

Bawiła się jego wizytówką. Miała na sobie śnieżnobiałą szatę, podkreślającą śniadą skórę odsłoniętych części ciała. Komnata, w której go przyjęła, została zaprojektowana na wzór małej wysepki na Morzu Południowym; palmy i zielone krzaki zewsząd otoczone szmaragdową wodą pieszczącą piaszczyste plaże. Delikatna bryza przyjemnie chłodziła plecy Hedrocka. Innelda spojrzała z goryczą na człowieka o władczym wyglądzie i szczerym spojrzeniu. Oczy, z których biła siła i niespotykana odwaga, wydały jej się przyjazne. Nie spodziewała się tak wyjątkowych cech po przybyszu. Ponownie spojrzała na wizytówkę.

- Walter de Lany - przeczytała w zadumie. Zdawała się wsłuchiwać uważnie w wymawiane przez siebie nazwisko. W końcu pokręciła głowę z zastanowieniem. - Jak pan się tu dostał? Znalazłam to umówione spotkanie na mojej liście i wyszłam z założenia, że szambelan zaaranżował je, ponieważ wiązało się z jakimś pilnym interesem.

Hedrock milczał. Szambelan, podobnie jak wielu dworzan, najwyraźniej nie przeszedł szkolenia defensywnego umysłu. Cesarzowa, choć niewątpliwie pobierała nauki w tym zakresie, nie wiedziała, że sklepy z bronią rozwinęły metody wymuszające korzystne odpowiedzi.

- Bardzo dziwne. - Pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Proszę się uspokoić, pani - odparł Hedrock. - Przyszedłem, aby prosić o  
twoją litość dla nieszczęsnego, niewinnego człowieka.

Trafił w dziesiątkę. Ich spojrzenia spotkały się, i cesarzowa spuściła wzrok.

- Wasza wysokość - zaczął Hedrock cichym głosem - posiadasz władzę,  
pozwalającą ci na akt niezrównanego miłosierdzia wobec człowieka, który  
znajduje się prawie pięć milionów lat stąd, przenosząc się z przeszłości do  
przyszłości, w miarę jak twój budynek zmusza go do coraz większych odchyień.

Musiał to powiedzieć. Spodziewał się, że kobieta natychmiast zda sobie  
sprawę, iż tylko jej zaufani ludzie oraz wrogowie mogą znać szczegóły tej  
sprawy. Innelda poblądła wyraźnie, co potwierdziło przypuszczenia Hedrocka.

- Jesteś człowiekiem sklepów z bronią? - wyszeptwała pobielającymi ustami i  
zerwała się na nogi. - Wynoś się stąd. Wynoś się!

- Wasza wysokość. - Hedrock zachował zimną krew. - Proszę się  
opanować. Nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo.

Chciał, aby jego słowa podziały jak kubeł zimnej wody. Policzki młodej  
cesarzowej zarumieniły się lekko. Stała nieruchomo przez długą chwilę, a  
następnie szybkim ruchem sięgnęła za dekolt swojej sukni i wyjęła połyskująco  
białą broń energetyczną.

- Jeśli natychmiast nie wyjdiesz - rzuciła ostro - strzelę. Hedrock rozłożył  
ręce jak przeszukiwany człowiek.

- Zwyczajny miotacz - rzekł ze zdumieniem - przeciwko defensywnej broni  
ze sklepu z bronią. - Pokręcił głową. - Pani, wysłuchaj mnie choć przez chwilę...

- Nie rozmawiam - cesarzowa poczerwieniała na twarzy - z ludźmi ze

sklepów z bronią.

Ta odpowiedź lekko go zirytowała.

Wasza wysokość - odezwał się Hedrock beznamiętnym głosem. - Jestem zaskoczony tak niedojrzałą reakcją. Przez ostatnich kilka dni nie tylko rozmawiałaś z przedstawicielami sklepów, lecz skapitulowałaś przed nimi.

Zmuszono cię do zakończenia tej wojny i zniszczenia czasoenergetycznych maszyn. Obiecałaś nie pociągać do odpowiedzialności dezertarów i zwolnić ich z przysięgi. I udzieliłaś immunitetu Cayle'owi Clarkowi.

Obserwując jej twarz zrozumiał, że tym razem nie trafił.

- Zastanawiam się z jakiego powodu - odezwała się po kilku sekundach - ośmielasz się mówić do mnie takim tonem. - Własne słowa ożywiły ją wyraźnie.

Odwróciła się z powrotem w stronę krzesła i nacisnęła palcem na oparcie. -

Jeżeli uruchomię ten alarm - ostrzegła nagle - natychmiast przybędą strażnicy.

Hedrock westchnął. Miał nadzieję, że nie będzie musiał ujawniać swojej mocy.

- A zatem czemu nie - zaproponował. - Naciśnij. - Nadszedł czas, pomyślał, żeby zdała sobie sprawę ze swego położenia.

- Myślisz, że tego nie zrobię? - Cesarzowa stanowczym ruchem rozprostowała palec.

Zapadła cisza, którą zakłócał jedynie plusk fał i lekki świst bryzy. Po jakichś dwóch minutach, Innelda ignorując Hedrocka podeszła do oddalonego o kilka metrów drzewa i dotknęła jednej z gałęzi. Z pewnością był to kolejny alarm, ponieważ dziewczyna na krótko zamarła w oczekiwaniu. Następnie skierowała się pospiesznie do gęstych zarośli skrywających szyb windy.

Włączyła mechanizm, a kiedy nie odnotowała żadnej reakcji, wróciła powoli do miejsca, gdzie czekał Hedrock i usiadła na krześle. Była blada, lecz opanowana.

Nie patrząc na niego, przemówiła bez cienia lęku:

- Zamierzasz mnie zabić?

Hedrock pokręcił przecząco głową. Teraz żałował jeszcze bardziej, że musi wyeksponować bezradność dziewczyny, która z pewnością zacznie modernizować mechanizmy obronne pałacu wychodząc z błędnego przekonania, że ochrania siebie przed doskonalszą technologią sklepów z bronią. Przybył tu przygotowany, zarówno fizycznie jak i psychicznie, na wszelkie ewentualności. Nie mógł jej zmusić, by wypełniła czyjąkolwiek wolę, lecz jego palce lśniły od ofensywnych i defensywnych pierścieni. Miał na sobie „oficjalny garnitur” i nawet naukowcy sklepów z bronią zdumieliby się różnorodnością ukrytego w nim arsenału. W bezpośrednim sąsiedztwie Hedrocka przestawały działać energie alarmowe i wszelka broń. W dniu, w którym miała zapaść najbardziej istotna decyzja w historii Układu Słonecznego, przybył na spotkanie wszechstronnie przygotowany.

Młoda kobieta wpatrywała się w niego bacznie.

- Czego chcesz? - zażądała. - Co z tym mężczyzną, o którym wspomniałeś?

Hedrock opowiedział jej o McAllisterze.

- Oszalałeś? - wyszeptała, kiedy skończył. - Ale dlaczego tak daleko? Ten budynek jest zaledwie trzy miesiące stąd.

- Rozstrzygającym czynnikiem jest masa.

- Och! Ale co ja mogę na to poradzić? Hedrock uśmiechnął się smutno.

- Wasza wysokość, ten człowiek godzin jest naszego współczucia i litości.

Unosi się w próżni, której ludzkie oko nigdy nie ujrzy. Oglądał Ziemię i Słońce kiedy się rodziły, dojrzewały i umierały. Nie ma dla niego ratunku. Musimy mu pomóc darowując śmierć.

Innelda wyobraziła sobie opisaną przez mężczyznę noc. Zaczęła słuchać uważniej.

- A co z tą twoją maszyną? - zapytała.

- To duplikat maszyny z mapą. - Nie wyjaśnił, że skonstruował ją w jednym ze swych tajnych laboratoriów. - Brakuje tylko samej mapy, zbyt skomplikowanej, by nanieść ją tak krótkim czasie.

- Rozumiem - padła automatyczna odpowiedź. Cesarzowa patrzyła na niego badawczo i dopiero po kilku sekundach odezwała się powoli: - Jaka jest w tym twoja rola?

Na to pytanie Hedrock nie potrafił odpowiedzieć. Przybył tutaj, ponieważ cesarzowa Isher cierpiała z powodu doznanej porażki i mogła z tego powodu zrobić coś nieprzewidywalnego. Nieśmiertelny człowiek, który przed wiekami częściej ingerował w życie śmiertelników, musiał brać pod uwagę takie rzeczy.

- Pani, nie ma czasu do stracenia. Ten budynek pojawi się tu za godzinę.

- Ale dlaczego - zapytała nie możemy pozostawić tego problemu Radzie sklepów z bronią?

- Ponieważ może podjąć złą decyzję.

- Jaka zatem - upierała się Innelda - jest ta słuszna decyzja? Hedrock odpowiedział.

Cayle Clark ustawił automatycznego pilota tak, by autolot zatoczył szerokie koło nad domem.

- Wielkie nieba! - krzyknęła Lucy Rall Clark. - Dlaczego wybrałeś jedno z tych... zawieszonych miejsc...

Wpatrywała się rozszerzonymi z ciekawości oczami w ziemię poniżej, w wiszące ogrody, w dom unoszący się w powietrzu.

- Och, Cayle! - Zarzuciła mu ręce na szyję. - Jesteś pewien, że nas na to stać?

Cayle Clark uśmiechnął się.

- Kochanie, tłumaczyłem ci wielokrotnie, że nie zamierzam tego zrobić ponownie.

- Nie o to mi chodzi - zaprotestowała. - Czy jesteś pewien, że cesarzowa pozwoli, by ci się upiekło?

Cayle Clark spojrzał na swoją żonę ze słabym uśmiechem.

- Pan Hedrock - wymawiał słowa powoli - dał mi broń ze sklepów z bronią, a poza tym zrobiłem bardzo wiele dla jej wysokości co, jak mi powiedziała przez telestat, docenia. Ona nie potrafi ukrywać uczuć, więc zgodziłem się dla niej pracować na dotychczasowych zasadach.

- Och! - Lucy westchnęła ponownie.

- A teraz przestań wpędzać się w posępny nastrój - poradził jej Cayle. -

Pamiętaj, sama mi powiedziałaś, że sklepy z bronią wierzą w jeden rząd. Im bardziej zostanie on oczyszczony, tym bogatszy będzie świat. I wierz mi... - jego twarz stężała - życie doświadczyło mnie dostatecznie, abym pragnął się do tego przyczynić.

Wylądował autolotem na dachu pięciopiętrowej rezydencji. Poprowadził

Lucy do środka, w dół do jasnych, miłych pomieszczeń, gdzie mieli zamieszkać

do końca swoich dni.

Z perspektywy swoich dwudziestu kilku lat wydawało im się, że na  
zawsze.



# Epilog

McAllister zapomniał, że zamierzał podjąć decyzję. Tak ciężko przychodziło mu myśleć we wszechobecnej ciemności. Otworzył zmęczone oczy i dostrzegł, że unosi się nieruchomo w czarnej przestrzeni kosmicznej. Nie miał pod sobą Ziemi. Znajdował się w czasie, kiedy planety Układu Słonecznego jeszcze nie istniały. Ciemności zdawały się oczekiwać na jakieś kolosalne wydarzenie.

Czekały na niego.

Doznał nagłego olśnienia. Wiedział już, co się wydarzy. I wiedział, jaką zamierzał podjąć decyzję: rezygnacja w obliczu śmierci.

Dziwnie łatwo mu to przyszło. Był znużony. Gorzko-słodkie wspomnienie pojawiło się znikąd, osadzone w odległym czasie i przestrzeni: leżał na wpół żywy na polu bitwy w dwudziestym wieku, skazany na zapomnienie. Potem przyszła refleksja, że umiera po to, aby inni mogli żyć. Teraz ogarnęło go podobne uczucie, lecz o tysiąc razy silniejsze.

Nie wiedział, jak to się odbędzie. Huśtawka znieruchomieje w bardzo odległej przeszłości, uwalniając niebotyczną energię, jaką kumulował w sobie.

Nie ujrzy tego, lecz pomoże w tworzeniu się planet.

Przekład

**Wiesława i Paweł Czajczyńscy**